

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 3

LONDYN

MARZEC

1944

JÓZEF WITTLIN

TADEUSZ KOŚCIUSZKO

I

W pięknie zadrzewionych parkach i na skwerach około tuzina amerykańskich miast — stoi młody oficer z brązu. Niedużego wzrostu, ma na sobie malowniczy mundur z epoki Jerzego Washingtona i Dyrektoriatu. Spod stosowanego kapelusza z kokardą spada mu na kark warkocz pudrowanej peruki, lub też spływają bujne i długie włosy — à la Napoleon w Egipcie. W Chicago i Milwaukee siedzi patetycznie na spiżowym, jak on sam, rumaku, a w rękę trzyma podniesioną szpadę. W Washingtonie, w Bostonie i w Clevelandzie jest tylko piechurem, ale upozowanym niemniej teatralnie, wojowniczo i władczo. Jedyne w ogrodzie Akademii Wojskowej w West Point oraz w miasteczku Yonkers pod New Yorkiem stoi sobie skromnie ze szpadą schowaną w pochwie — tak jak zapewne stał za życia przed swymi szefami: generałem Horatio Gates'em i generałem Nathanielem Greene.

Wystające kości policzkowe, oraz mięsisty, zadarty nos wskazują na to, iż ów oficer, ozdoba amerykańskich zieleńców, nie należał do rasy anglosaskiej. To znaczy: nie odpowiadał swym wyglądem wyobrażeniu o cielesnym typie anglosaskim, jakie powszechnie się ustaliło. Kości policzkowe świadczyłyby o pochodzeniu tatarsko-mongolskim, a zadarty, mięsisty nos...lecz zostawmy w spokoju kości i nosy bohaterów.

Raczej zadajmy sobie trud odcyfrowania nazwiska, poprawnie wrytego na cokołach tych wszystkich pomników. Większości mieszkańców miast, gdzie te pomniki stoją — na pewno to się nie uda. Może tylko w jednym Chicago, gdzie do niedawna żyło więcej Polaków niż w Warszawie, na pytanie: „Jak się nazywa ów jeździec miedziany z zadartym nosem?“ usłyszymy bezbłędną odpowiedź: Kościuszko.

Amerikanin, niepolskiego, pochodzenia, łamie sobie nie tylko język, ale i głowę nad tym, kim był Kościuszko. Coś niecoś słyszał może o nim w szkole, ale już zapomniał. Znacznie więcej wie o drugim Polaku, Kazimierzu Pułaskim, który nie tylko jak Kościuszko—odznaczył się w wojnie o niepodległość Stanów Zjednoczonych, ale za tę niepodległość poniósł śmierć w bitwie pod Savannah, w 33-im roku życia. I zyskał sobie imię „ojca amerykańskiej kawalerii“. Kościuszko nie był kawalerzystą, nie zginął w żadnej bitwie, a po wygranej wojnie opuścił Stany Zjednoczone w doskonałym zdrowiu. Wrócił do Polski w randze generała brygady, skromny i cichy, taki sam jaki wyjechał. W armii amerykańskiej był zajęty głównie jako inżynier przy fortyfikowaniu pozycji obronnych.

Nie miał on tam nawet okazji do brawury, gdyby jego usposobienie w ogóle mu na to pozwalało. Nic też dziwnego, iż w Stanach Zjednoczonych postać jego nie jest tak popularna, mimo pomników, jak postać Pułaskiego któremu zresztą też wystawiono pomniki. Za to w Polsce jeden z nich tylko żyje po dziś dzień w milionach serc: Kościuszko.

Łagodny to był wojownik i człowiek cichy. Jak sam się wyraził, „wolał, żeby go kochano, niż się bano. „Próżnoby w jego życiu, pełnym romantycznych przygód, doszukiwać się aktów pychy czy gwałtu, jakkolwiek pokorną owieczką też nie był. —

Przeciwnie: umiał on największym potęgom ówczesnego świata: carom Rosji, Napoleonowi, i takim przebiegłym statystom jak Fouché, przeciwstawić swój białoruski czy litewski upór. Ale wszyscy, co go znali, zgodnie podnoszą jego wielką skromność, bezinteresowność, dobroduszość i niezwykłe umiający sposób bycia. Żołnierzem i wojownikiem stał się z konieczności. Gdyby historia inaczej obeszła się z jego ojczyzną — kto wie, może Kościuszko zostałby artystą-malarzem. Kobięca niemal czułość i miękkość dziwnie jednoczyła się w tym człowieku z nieugięta wolą walki. Należał on do niewielu ówczesnych Polaków, którzy nie ulegli magii Napoleona. Szybko się zorientował, że morderca rewolucji francuskiej nie dotrzyma swych zobowiązań wobec Polski.

Całe życie Kościuszki było łańcuchem tragicznych walk o urzeczywistnienie hasła obu rewolucyj: amerykańskiej i francuskiej. Tragedią zaś tego, sui generis jakobina, jakobina bez okrucieństwa, był grunt, na który pragnął te rewolucyjne i republikańskie hasła przeszczepić. Rozkopany rosyjskimi, pruskimi i austriackimi bagnietami, ten grunt, usuwał mu się spod nóg.

Wolno przypuszczać, że Stany Zjednoczone nie wznosiłyby tylu pomników jednemu ze swych, owszem — bardzo zasłużonych oficerów w korpusie inżynieryjnym czasu wojny 1776-1783 r., gdyby ów inżynier nie urodził później, w Polsce, na symbol wolności własnego narodu, desperacko, wbrew wszelkiej nadziei i nawet wbrew logice walczącego o swoją wolność. I gdyby nie był jednym z pierwszych bojowników demokracji w Europie. Wszystką zaś chwałę zawdzięcza Kościuszko i w historii i w legendzie — nie odniesionym zwycięstwom, — było ich niewiele — i nie geniuszowi wojennemu czy politycznemu, którego, zdaje się, nie posiadał: wielkość Kościuszki wyrosła z klęsk i zawiedzionych nadziei.

Dzisiejszy świat coraz mniej zrozumienia okazuje takiemu typowi bohaterstwa. Świat dzisiejszy wielbi siłę i sukces, a stawia pomniki zwycięzcom, zdobywcom oraz wirtuozom gwałtu. Bohaterów spraw przegranych obdarza niekiedy jednodniowym współczuciem, grzebiąc ich bez chwały. Lecz kto by pragnął zamyślić się nad owym typem bohaterów, których walka była daremna, a poświęcenie — bez granic, niechaj zajrzy do dzieł poetów angielskich z epoki romantyzmu, niech czyta opowieści Byrona. Może w tej poezji znajdzie wytłumaczenie wielkości skromnego pułkownika inżynierii z fortu Ticonderoga, West Point i Saratogi. I zrozumie, że wielkość Kościuszki była wielkością duszy.

II.

Ar.drzej Tadeusz Bonawentura Kościuszko Siechnowicki miał nie tylko trudne i długie nazwisko. Miał również długie i trudne życie. Urodził się 12 lutego 1746 r. w nikomu przedtem nieznanym wiosce, której nazwa jak gdyby umyślnie stworzona została po to, aby żaden obcokrajowiec jej nie wymówił. Brzmi ona za przeproszeniem wszystkich anglosasów: Merczowszczyzna.

Dziecięce lata upłynęły naszemu bohaterowi w rodzimym majątku: Siechnowicze. Stąd oddano go na edukację do szkoły Ojców Pijarów w Lubieszowie na Wołyniu. Szczegół to ważny, albowiem w dawnej

Polsce szkoły pijarskie uchodziły za postępowe, w przeciwieństwie do szkół, utrzymywanych przez Jezuitów, którzy przez długie wieki mieli nieomal monopol na wychowanie w tym kraju. U Pijarów zapewne zetknął się młody Tadeusz pierwszy raz ze światem starożytnych bohaterów, przedstawionym w pismach Corneliusa Neposa i Plutarcha. Postać Tymoleona z Koryntu — wedle własnej relacji Kościuszki — najbardziej fascynowała jego dziecińnią wyobraźnię i przez całe życie słżyła potem za wzór do naśladowania. Niedoszły oswobodziciel Polski widział w Tymoleonie przede wszystkim mądrego patriotę, prawodawcę, reformatora i obrońcę swobód republikańskich. No i oczywiście podziwiał w nim wielkiego wodza, który na czele zaledwie 5000 żołnierza rozgromił 70 tysięczną armię Kartagińczyków. Trudno jednakże powiedzieć, iż Kościuszko już od najmłodszych lat czuł w sobie żytkę żołnierską lub zdradzał skłonności rewolucyjne. Jeżeli w dziewiętnastym roku życia wstąpił do świeżo otworzonego Korpusu Kadetów w Warszawie, stało się to raczej ze względów towarzyskich, niż ideowych. Ostatni, a nieszczęsny król polski, Stanisław August Poniatowski, wybrany na chwiejący się tron za poparciem cesarzowej Katarzyny ufundował ten Korpus, czyli „Szkołę rycerską Jego Królewskiej Mości i Rzeczypospolitej“ już w pierwszym roku swego panowania. Może przeczuwał, że stanie się ona jak gdyby żywą kaplicą ekspiacyjną jego własnych grzechów, popełnionych później wobec narodu polskiego. Odegrała też ta szkoła niemałą rolę, jako w swoim rodzaju rezerwat ochronny zdrowia moralnego. Kształtowała młode charaktery, narażone a priori na szwank wśród powszechnego zepsucia klasy uprzywilejowanej, które to zepsucie dokonało się za panowania królów z dynastii saskiej. Korpus kadetów był więc w tych warunkach raczej szkołą patriotyzmu i obywatelstwa, niż instytutem ściśle wojskowym. W „Katechizmie kadeckim“ znajdujemy wyraźną wzmiankę o tym, iż absolwenci „Szkoły rycerskiej“ nie są obowiązani służyć w wojsku. W epoce, gdy Polską rządził nie król jej, lecz rosyjski ambasador, pragnął król wychować sobie garstkę młodzieży w duchu zachodnio-europejskiego Oświecenia którego był wielbicielem.

Przyjęcie do takiej szkoły, gdzie liczba elewów nie przekraczała w owym czasie 80-ciu, stanowiło duże wyróżnienie dla syna mniej niż średniozamożnego szlachcica. Zawdzięczał zaś Kościuszko swe 79-te miejsce w gronie elitarnej młodzieży wstawiennictwu pewnej wysoko postawionej osobistości, której — dziwnym zrzędzeniem losu, usiłował później porwać córkę. Współczesne świadectwa stwierdzają, iż Kościuszko był jednym z najlepszych uczniów Szkoły rycerskiej, gdzie obok humaniorów wykładano podstawowe zasady taktyki oraz architektury wojennej. „Celował nad innymi kolegami swą aplikacją i obyczajnością i wprawą do pięknego pisania i rysunku“. Zaskarbił sobie przy tym powszechną sympatię tak, że po ukończeniu szkoły pozostał w niej nadal jako płatny instruktor z rangą kapitana. Zwrócił też na siebie uwagę króla, u którego kadeci bywali na dworskich przyjęciach. Mimo jednak górne ideały, w których imię Szkoła rycerska powstała i które niewątpliwie pielęgnowała, pierwsi jej wychowankowie zasłynęli w Warszawie jako „złota młodzież“ raczej, niż jako Katonowie. Nie mamy powodu uważać Kościuszkę za wyjątek pod tym względem. Możemy tylko powtórzyć za jednym z historyków, że pod wpływem pobytu w Szkole rycerskiej „obudziło się w nim poczucie obowiązku dźwignia sprawy publicznej, honor wojskowy i obywatelski“. A były to nielada cnoty w dobie politycznego i moralnego upadku klasy społecznej, do której Kościuszko należał, i w przededniu pierwszego rozbioru Polski.

Żywot każdego bohatera obfituje w legendy, dorabiane później. Jeżeli bohater zasłynie jako bojownik o wolność ciemniejszego ludu, prymitywni biografowie, a raczej hagiografowie widzą już w jego dzieciństwie połudki,

które go skierowały na obraną drogę. Nie uniknął tego i Kościuszko, któremu nie brak hagiografów. Istnieje legenda, powtarzana nawet przez poważnych historyków, iż wyjechał na studia za granicę po tragicznej śmierci ojca, który jakoby tak okrutnie obchodził się w Siechnowiczach z poddanymi sobie chłopami, że ci go zamordowali. Straszliwe zaś represje na chłopach miały do tego stopnia wstrząsnąć umysłem Kościuszki, iż opuścił dom rodzinny i kraj ojczysty i poprzysiął sobie poświęcić życie wyzwoleniu wiejskiego ludu. Nie wiemy ile ziaren prawdy mieści się w tej legendzie. Historycy, zbijający ją przytaczają o wiele wcześniejszą datę naturalnej śmierci ojca, przy której syn Tadeusz w ogóle nie był obecny, bawiąc podówczas w Warszawie. Bardziej wiarygodną wydaje się okoliczność, że sam król, oraz przemożna w Polsce ówczesnej „familia“, czyli rodzina książąt Czartoryskich, stojąca blisko tronu i opiekująca się Kościuszką — pragnęli bardzo utalentowanemu i bardzo prawemu oficerowi oszczędzić gorszącego widoku. A gorszący widok przedstawiała Rzeczpospolita, rozdarta wojną domową, anarchią i będąca terenem interwencji obcych mocarstw, które w końcu dokonały na niej pierwszego rozbioru. Tak czy owak, wyprawił król Kościuszkę na studia zagraniczne oczywiście na swój koszt. Co do rodzaju tych studiów historycy nie są zgodni. Jedni utrzymują, iż królewski pupil studiował przez pięć lat w szkole inżynierijnej i artyleryjskiej w Mezières, we Francji, oraz w paryskiej „École militaire“. Przeczą temu inni, dowodząc, że nazwisko Kościuszki w zachowanych rejestrach tych szkół nie figuruje. Powiadają natomiast, że owszem — studiował we Francji, lecz nie wojskowość, jeno...malarstwo. W latach 1769-1774 był pono słuchaczem świetnie prowadzonej „Akademii malarstwa i rzeźby“ w Paryżu, której patronował dwór wersalski, oraz całym Wersalem trzęsąca Madame de Pompadour. Wśród cudzoziemskich kolegów Kościuszko, przyszyły bojownik demokracji, miał używać tytułu hrabiowskiego, który w dawnej Polsce w ogóle nie istniał. Jeżeli tak było, niewinne to odchylenie od prawdy czyni nam postać Kościuszki jeszcze bardziej ludzką, potwierdzając fakt, że nawet wielcy ludzie — w pewnych okresach życia — nie są wolni od próżności. Balzac też stawał bezprawnie między swym imieniem, a nazwiskiem rodowym słóweczko: de.

Nie wiadomo, jak tam było z owym paryskim malarstwem „hrabiego“ Kościuszki, bo ani w Luwrze, ani w galerii wersalskiej płócien jego nie spotykamy, co zresztą niczego nie dowodzi. Zachowało się parę rysunków z późniejszych lat, oraz portret Jeffersona. Wiadomo natomiast co innego. A mianowicie, że atmosfera intelektualna przedrewolucyjnej Francji przyniosła umysłowości Kościuszki niepomierne korzyści, spoufalając tę wrażliwą umysłowość z ruchem Encyklopedystów, z pismami Woltera i Rousseau. Studiował przy tym nasz „hrabia“, kapitan i artysta-malarz — ekonomikę. Szczególnie pociągały go nauki t.zw. fizjokratów, zajmujących się materialnym położeniem chłopów, oraz reformą podatków, boleśnie ciążyących na tej klasie społecznej pod panowaniem ostatnich Ludwików. Czytał Kościuszko w Paryżu dzieło Turgot'a „Réflexions sur la formation et la distribution des richesses“, oraz Dupont'a de Nemours: „La Physiocratie“. Słusznie zauważył Michelet, entuzjasta Kościuszki i przyjaciel Polaków: „We Francji urobiła się ideologia Kościuszki i jego humanitarna tolerancja“. Niezależnie od tych studiów nauczył się też Kościuszko nad Sekwaną niejednej rzeczy z dziedziny wojskowości, uczęszczając na prywatne kursy przygotowujące kandydatów do owych wielkich szkół wojennych, do których go nie przyjęto, ponieważ był cudzoziemcem i przekroczył już granicę przepisowego wieku. Podobno „badał“ również fortyfikacje Brestu i uczył się architektury wojennej u mistrza Perronet'a. Ulubioną zaś jego lekturą były w owych latach — bardzo interesujące, lecz jako podręcznik mocno już przestarzałe „Pamiętniki“ Rajmunda hr.

Montecuccouli, słynnego wodza cesarza Niemiec w XVII wieku. W sumie widzimy, że wykształcenie zagraniczne Kościuszki, które łożył polski król, było dość eklektyczne, co zresztą w epoce Oświecenia uchodziło za zaletę.

Wraca Kościuszko do Polski już po pierwszym jej rozbiórce. Sytuacja jego jest niezwykle trudna. Stara się dostać do wojska, chce służyć krajowi, który doznał zniewagi. Lecz nawet człowiekowi z rangą kapitana i nawet stypendyście Jego Królewskiej Mości nie łatwo było w owym czasie dostać się do pułku. Całe bowiem wojsko polskie zostało traktatem rozbiorowym zredukowane do śmiesznej cyfry 11.660 żołnierzy. A przy tym miejsce w pułku trzeba było odkupić od innego oficera za olbrzymią sumę 18.000 złotych polskich. Nie rozporządzał Kościuszko taką sumą, bo w ogóle nie miał pieniędzy. Przypadający na niego udział w majątku Siechnowicze, którym to majątkiem gospodarował starszy brat, był nieduży, a gospodarka braterska była tak fatalna, iż po powrocie do kraju, stanął Kościuszko w obliczu kompletnej ruiny finansowej. Ale nie tylko kłopoty materialne i nie tylko polityczna tragedia Polski uczyniły młodemu oficerowi pobyt w kraju nie do zniesienia. Jako bezrobotny żołnierz, z marką „filozofa“ udzielał po przyjacielsku lekcyj rysunków i historii pięknej córce swojego ongi protektora do Korpusu kadetów, córce wielkiego magnata i dostojnika wojskowego, Józefa Sosnowskiego. Rysunki rysunkami, historia historią, lecz krew — nie woda. Profesor zakochał się w uczenicy, uczenica w profesorze, atoli rodzice nie chcieli wydać swej córki za oficerka bez stanowiska i bez grosza. U samego króla zabiegał Kościuszko o pomoc w uzyskaniu zgody Sosnowskiego, lecz król wolał ostrzec ojca pięknej panny, który wywiózł ją z domu w dzień zapowiedzianej wizyty konkurenta. Potem wydał ją za znanego ponoć, lecz bogatego kretyna, który był księciem Lubomirskim. Istnieje jeszcze inna wersja tej romantycznej historii. Podobno Kościuszko zamierzał pannę starym, rycerskim sposobem — porwać. Rozgniewany zaś Sosnowski chciał, dowiedziawszy się o tym, wyrzucić na zuchwalcu, podlegającym ponadto jego wojskowej jurysdykcji — krwawą zemstę. Aby tej zemsty uniknąć, Kościuszko (który do końca życia pozostał wierny swej pierwszej miłości) — spakował manatki i pospiesznie za pożyczone pieniądze, umknął do Gdańska, skąd popłynął do Ameryki. Bardziej prawdopodobna wydaje się wszakże inna hipoteza, według której niefortunny romantyk udał się drogą lądową, przez Saksonię — do Francji, a stamtąd dopiero popłynął do Ameryki. Dla nas jest rzeczą obojętną, czy przyszedł bohater wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych przechodził pierwszą w życiu chorobę morską na Bałtyku, czy na kanale La Manche.

III.

Jeżeli popłynął do Ameryki nie z Gdańska, lecz z Havre'u, to musiał chyba zatrzymać się przedtem w Paryżu, gdzie wszystkie kawiarnie rozbrzmiewały echem wypadków za oceanem. W Paryżu też poznał Kościuszko bliższe okoliczności, które poprzedziły formalny wybuch powstania kolonistów przeciw Anglii. Może w jednej z kawiarni w pobliżu Palais Royal, przy filiżance herbaty, rozpamiętywał poryw zbuntowanego tłumu, który w porcie bostońskim zatopił owych 340 skrzyń z angielską herbatą. I przejął się entuzjazmem dla ludzi Lexingtonu i „ludzi momentalnych“ (minute-men).

Wszelako postanowienie wzięcia udziału po stronie Dawida w tej nowocześniejszej walce z Goliatem dojrzało w nim jeszcze w Warszawie. Sympatie dla rebeliantów amerykańskich były tam dość powszechne, a ponoć i sam król Stanisław August im sprzyjał. Sprzyjała im również „familia“, i kto wie, czy Kościuszko nie wiozł ze sobą listów polecających od księcia Adama Czartoryskiego do pułkownika wojsk amerykańskich Karola Lee, który wszak niedawno bawił w Warszawie.

Byłoby rzeczą nader nęcącą zetknąć Kościuszkę w Paryżu z autorem „Wesela Figara“ i „Cyrulika Sewilskiego“, hrabią Beaumarchais. Wiadomo bowiem, że Beaumarchais wspólnie z jakimś doktorem Dubourg bardzo żywo zajmował się werbunkiem ochotników do armii amerykańskiej. Niestety nie możemy tego uczynić, z tej prostej przyczyny, ponieważ Kościuszko był już w Filadelfii, zanim Beaumarchais rozpoczął akcję werbunkową na szerszą skalę. Zdaje się, że Kościuszko, podobnie jak Lafayette, należał do pierwszych cudzoziemców, którzy przybyli z Europy do amerykańskich rewolucjonistów. A przybył na koszt własny, lubo zapożyczony, lecz bez pomocy domu handlowego Rodrigo Hortalez et Cie. w Paryżu, która to firma zajmowała się z ramienia rządu francuskiego dostarczaniem Washingtonowi ludzi i broni.

31 sierpnia 1776 roku wysłał Kościuszko w Filadelfii do obradującego tam Kongresu memoriał, w którym ofiarowuje Rewolucji swe usługi. 18 zaś października tegoż roku otrzymuje od przewodniczącego kongresu, Jana Hancocka pismo, zawierające nominację na „inżyniera w randze pułkownika“. Zawdzięczał ją Kościuszko niewątpliwie — przychylniej opinii naczelnego wodza, Jerzego Washingtona, lecz nie mamy dowodów na to, iż był Washingtonowi osobiście przedstawiony.

Tak tedy zaczęła się siedmioletnia służba polskiego ochotnika w amerykańskiej wojnie o niepodległość. Jest to okres niezmiernie ważny w życiu naszego bohatera nie tylko ze względu na to, co on dał Ameryce, lecz i ze względu na to, co Ameryka jemu dała. On — ofiarował budzącym się do wolności Stanom wszystkie zasoby swej szczodrej duszy i wszystkie swe talenty, wśród których poczesne miejsce zajmował talent rysownika. Ameryka zaś dała wielbicielowi Tymoleona żywy a pierwszy przykład urzeczywistnienia ideału demokratycznej republiki, przykład, który odtąd przyświecać mu będzie przez całe życie.

Natychmiast po przybyciu z tego kłębowa intryg politycznych, jakim była feodalna Europa, zapoznał się Kościuszko z prostą i szlachetną treścią „Deklaracji Praw Wirginii“. Czytał też zapewne „Akt Niepodległości Stanów Zjednoczonych“, zredagowany przez późniejszego swego przyjaciela Tomasza Jeffersona. Na przybyciu z Polski, gdzie garstka uprzywilejowanej szlachty była panem życia i śmierci milionowej masy chłopów, na przybyciu z Francji, gdzie chłop, tudzież stan trzeci, czyli mieszczaństwo, cierpiało nieludzki ucisk od arystokracji, jakież wstrząsające wrażenie wyrzucić musiały takie np. słowa tego Aktu:

„Uważamy za niezbitą i oczywistą następującą prawdę: że wszyscy ludzie stworzeni zostali równymi sobie, że Stwórca udzielił im pewnych praw, w rządzie których na pierwszym miejscu postawić należy prawo do życia, do wolności i poszukiwania szczęścia, że w celu zapewnienia sobie tych praw ludzie ustanowili między sobą rządy, których władza wypływa z woli rządzących, że ilekroć jakkolwiek forma rządu sprzeciwia się celowi, w jakim była ustanowiona, naród ma prawo zmienić ją zupełnie i ustanowić nowy rząd“.

Najbardziej wszakże uderzyła Kościuszkę różnica w sposobie uchwalenia tego Aktu przez Kongres, a procedurą polskich sejmów, gdzie jeden głos mógł obalić uchwały całego Parlamentu. To była śmiertelna trucizna dawnej Rzeczypospolitej Polskiej, Rzeczypospolitej, z królem na czele. A nazywała się ta trucizna: Liberum veto. W Ameryce 56 członków Kongresu uchwaliło i podpisało Akt Niepodległości, a to, iż jeden tylko Dickinson się sprzeciwił, nie miało oczywiście żadnego znaczenia. W odczytnie Kościuszki głos Dickinsona zniweczyłby całe dzieło Kongresu.

Więc kreślił, pilnie kreślił pułkownik-inżynier Kościuszko plany fortyfikacji Billingsportu w okolicach Filadelfii. Rzeka Delaware miała być zamknięta palisadami o trzy mile poniżej Filadelfii, ponadto na przylądku Bilynge miały być usypane wysokie szańce. Roboty te nie były jeszcze

gotowe, gdy Kongres ze strachu przed Anglikami, opuścił 2 grudnia 1776 Filadelfię i przeniósł się do Baltimore. Generałom wszelako polecił Kongres umacniać w dalszym ciągu Filadelfię, lecz nie od strony rzeki, jeno od strony miasta, gdyż stamtąd spodziewano się uderzenia Anglików. Na szczęście natarcie to w ogóle nie nastąpiło, a rzeka Delaware tej zimy nie zamarzła, tak, iż napad przez nią stałby się przedsięwzięciem niezwykle ryzykownym. W styczniu 1777, po szczęśliwej bitwie pod Trenton, mógł Kongres powrócić do Filadelfii, którą fortyfikowano dalej. Praca przy tych umocnieniach stanowił niejako chrzest ogniowy Kościuszki, ogniowy chrzest bez ognia i dymu.

Dalsze dzieje naszego bohatera w czasie kampanii amerykańskiej sprzęgają go z osobą generała Horatio Gates'a, który od razu zorientował się w nieprzeciętnej wartości polskiego inżyniera. Kościuszko zaś zachował dla swego pierwszego bezpośredniego szefa nie tylko cześć, ale i wierną przyjaźń nawet wtedy, gdy Gates, w związku z t.zw. intrygą Conway'a popadł w przykry konflikt z Washingtonem. Być może, że ozięłość Washingtona w stosunku do Kościuszki wynikała z owej właśnie przyjaźni Polaka z Gates'em.

Trwała ta ozięłość niemal do końca wojny, mimo iż Washington musiał obiektywnie uznać zasługi Kościuszki. Stosunek ten uległ zmianie dopiero po latach, gdy Kościuszko po raz wtóry przybył do Stanów Zjednoczonych. Wówczas to Washington, w sierpniu 1797 r. powitał go tymi słowy: „I welcome you to the land whose liberties you had been so instrumental in establishing. No one has higher respect and veneration for your character than I have“.

Lecz narazie jest miesiąc marzec 1777 r. Gen. Gates obejmuje dowództwo t.zw. armii północnej, operującej w pobliżu jeziora Champlain, w „Krainie Wyżyn“. Już w maju widzimy tam Kościuszkę, którego generał Patterson polecił jako „zdolnego inżyniera i jednego z najlepszych i najsutelniejszych rysowników“. Adiutant Gatesa—Wilkinson ma o nim również wysokie mniemanie i określa go jako „timidly modest“. W samej rzeczy, Kościuszko jest aż tak skromny, iż przy umocnieniu twierdzy Ticonderoga nad Hudsonem, którą Washington nazwał „kluczem do wszystkich kolonii Nowej Anglii“—wbrew własnemu a odmiennemu pogładowi—realizuje plany, narzucone mu przez naczelnego inżyniera armii północnej, Baldwina. Gdy plany te okazały się do niczego, pisze Kościuszko do Gates'a, który w owym czasie bawił gdzie indziej: „Generale, proszę Cię nade wszystko, nie każ mi robić czegokolwiek wcześniej, niż tu przybędziesz. Powiem Ci przyczynę: lubię zgodę i chcę być w przyjaźni z wszystkimi, o ile to możliwe. Gdyby się upierano i nie chciano wypełnić mej idei, która mogłaby być lepszą — pozostawiłbym im swobodę, tym bardziej, że jestem cudzoziemcem. Wiem, jak muszę być oględnym i ile względów winienem krajowcom. Szczerze Ci mówię: jestem czuły i lubię zgodę. Wolę raczej porzucić wszystko i wrócić do domu i sadzić kapustę“.

Jednakże nie wrócił do Siechnowicz sadzić kapustę. Wyrwał na niewdzięcznym stanowisku i pogodził się z Baldwinem i z losem. Uległa postawa zjednała mu wielu przyjaciół, lecz nie przysporzyła laurów. Z cienia, w jakim był dotychczas dzięki swemu charakterowi, wychodzi na światło dopiero po decydującej bitwie pod Saratogą 17 października 1777. Tam dopiero okazał swe inżynierskie przewagi. Gdy generał Schuyler został usunięty, a dowództwo po nim z powrotem objął Gates — opracował Kościuszko doskonały plan fortyfikacji t.zw. wzgórza Behmisa i przyczynił się przez to walcie do kapitulacji angielskiego generała Burgoyne. Zwycięstwo pod Saratogą wywarło potężny oddźwięk w całym świecie i spowodowało oficjalne uznanie niepodległości Stanów Zjednoczonych przez Francję. Z nazwą tej, tak modnej dziś, miejscowości kuracyjnej, na zawsze odtąd jednoczyć się będzie trudne nazwisko polskiego inżyniera.

Sam Washington nazywał Kościuszkę po Saratodze, w liście z dn. 10 listopada 1777 do prezydenta Kongresu, Henry Laurens'a: „a gentleman of science and merit“. Zdawałoby się, iż po swym pierwszym większym sukcesie, otrzyma Kościuszko awans. Owszem, czynił nawet w tym kierunku pewne starania, lecz były one wielce nieśmiałe. Bo czyż mógł na serio myśleć o własnej karierze człowiek, który tak pisał (w liście do pułkownika Troopa, w styczniu 1778): „*My dear Colonel, if you see that my promotion will make a great many jealous, tell the General that I will not accept it because I prefer peace before the greatest rank in the world*“.

W naszych, nadto już widokiem ludzkiej pychy i samolubstwa prze-męczonych oczach, te cechy charakteru pułkownika Kościuszki, wciąż jeszcze pułkownika, zdają się kwalifikować go raczej do klasztoru, niż do sztabu walczącej armii, gdzie europejscy wolontariusze, osobiłwie Francuzi, nie przestają wynosić pod niebiosa własnych zasług. Nie, nie wstąpił Kościuszko do klasztoru, chociaż przez całe życie wytrwał w celibacie. W marcu 1778 r. spotykamy go w West Point, gdzie pod rozkazami Francuza, inżyniera-pułkownika Du Portail, bierze udział w obwarowywaniu rzeki Hudson. Ma w tej pracy kompana, a raczej rywala, również pułkownika, nazwiskiem Radière. Pan Radière był Paryżaninem, Kościuszko zaś, jak wiadomo, urodził się za przeproszeniem w Merczowszczyźnie. Naturalnie inżynier urodzony w Paryżu uważał siebie za mędrszego od inżyniera, który w Paryżu był tylko gościem i studentem. Doszło między obu inżynierami do starcia, z którego wyszedł zwycięsko Kościuszko. Pułkownik Robert Troop, który był szefem sztabu w owym czasie, tak raportował gen. Gates'owi, piastującemu w tym okresie godność przewodniczącego Wydziału Wojny w Filadelfii: „*The works in West Point are in a great state of forwardness. Kościuszko is very much esteemed as an able engineer, and has made many alterations in the works, which are universally approved*“.

W sierpniu 1778 zjeżdża sam Washington na inspekcję fortyfikacji w West Point. Pierwszy raz ujrzał wówczas Kościuszkę naczelnego wodza. A jak ocenił Washington pracę Kościuszki? Sądząc z listu Kościuszk1 do Gates'a (6 października 1778) — nienajgorzej. Ale czy można się spodziewać spod pióra Kościuszki innej relacji o sobie samym niż taka: „*His Excellency was here with General Du Portail to see the works. After all conclusions was made that I am not the worst of engineers*“.

„Nienajpodlejszy z inżynierów“ siedział w West Point dosyć długo, bo od 26 marca 1778 do lata 1780. A czego tam dokonał? Niechaj o tym powie historyk amerykański George Bancroft: „*West Point was a solitude, nearly inaccessible, now it was covered with numerous redoubts, constructed chiefly under the direction of Kościuszko as engineer, and so connected as to form one system of defence which was believed to be impregnable*“.

Co się zaś tyczy mniejszych skłonności człowieka, który pustynię zamienił w system fortyfikacji nie do zdobycia, to owszem, pofolgował sobie. W West Point trzymano angielskich jeńców. Ich wikt nie musiał być wspaniały, skoro amerykańscy wojskowi na terenie twierdzy, oraz zatrudnieni przy robotach fortyfikacyjnych cywilni pracownicy w liczbie 2500 skarżyli się na głód. Otóż nasz „nienajpodlejszy z inżynierów“ żył tak skromnie, iż za pieniądze zaoszczędzone z żołądu; dokarmił owych wygłodniałych jeńców. Wiemy o tym z relacji pewnego Polaka (który zresztą badał dzieje Kościuszki w Ameryce). Polak ów podróżował również po Australii. W Queenslandzie zapadł on na żółtą febrę i doznał niezwykle troskliwej opieki od jakiegoś sklepikarza, który pielęgnował go we własnym domu. Gdy chory zadał swemu opiekunowi pytanie: co jest powodem tak serdecznej opieki, dowiedział się, że queenslandzki sklepikarz pragnie w ten sposób odwdziżyć się pewnemu Polakowi, który niegdyś uratował od śmierci głodowej jego rodzzonego dziadka. Było

to w czasie wojny amerykańskiej, w twierdzy West Point, gdzie dziad sklepikarza przebywał w niewoli, pojmany jako żołnierz Jego Królewskiej Mości. A ten Polak nazywał się: Koskeusko, lub coś w tym rodzaju...

Nawet gdyby ta historia nie była prawdziwa, z wszystkiego, co wiemy na podstawie wiarygodnych świadectw o zachowaniu się Kościuszki w Ameryce, wyłania się sylwetka człowieka, u którego we wszystkich poczynaniach dominowało serce. Dziś trudno nam pojąć jak to się stało, że człowiek tak wielkim obdarzony sercem, tak wielką wrażliwością na ludzką niedolę, mógł w ogóle nagiąć swą naturę do groźnych funkcji, jakie przyszło mu spełniać w zawodzie żołnierskim. Śmiało można o nim powiedzieć, że nienawidził niewoli, przemocy, tyranii, ale nie czuł nienawiści do ludzi, będących narzędziem tych znieprawdowanych mocy. Nie wiemy, czy Kościuszko osobiście zabił kiedyś człowieka, przybranego w mundur wrogiej armii. Wiemy natomiast na pewno, iż w późniejszych latach, gdy stał na czele powstania całego narodu polskiego przeciw Rosji i Prusom i sprawował władzę dyktatorską, był wielce niepodobny do ludzi, którzy dzisiaj ucieleśniają typ dyktatora. Gdy wzburzony lud warszawski w czasie insurekcji samorzutnie powiesił na ulicach stołecznego miasta kilku utytułowanych zdrajców, Kościuszko, ten niby jakobin, który widział gilotynę w Paryżu, oburzał się na samosąd i wyraził się, że wolałby przegrać dwie bitwy, niż przeżyć ów czerwcowy dzień warszawskich szubienic.

Ale jeszcze daleko do owych czasów, gdy Kościuszko zostanie naczelnym wodzem polskiej insurekcji w r. 1794. Narazie jest marzec 1780 i Kościuszko jest tylko naczelnym inżynierem wojsk amerykańskich. A został nim dzięki popadnięciu w niewolę inżyniera Du Portail, który do tej pory sprawował ten urząd. Niebawem jednak opuszcza Kościuszko West Point, i na żądanie gen. Gates'a otrzymuje od Washingtona nominację na naczelnego inżyniera t.zw. armii południowej. Nim jednak zdążył przybyć na front południowy w t.zw. „strefie czarnej“, czyli murzyńskiej, gdzie toczyła się „mała wojna“, generał Gates poniósł klęskę pod Camden w Południowej Karolinie 16 sierpnia 1780. Skutek był taki, że Gates poszedł pod sąd wojenny, który odsunął go od wszelkiego dowodzenia na przeciąg dwu lat, dowództwo zaś frontu południowego objął gen. Nathaniel Greene, jedna z największych postaci amerykańskiej rewolucji. Stosunki Kościuszki z Greene'm ułożyły się może jeszcze przyjaźniej, niż z Gates'em. Pod Greene'm służy Kościuszko nie tylko jako naczelnny inżynier, którego zadaniem był wybór pozycji strategicznych, ale również i osuszanie bagien, oraz budowanie pontonów dla przeprawy wojsk przez rzeki. Front południowy miał dla Kościuszki i to znaczenie, że tu po raz pierwszy znalazł się na linii bojowej w prawdziwym „polu“. Tu dopiero przeszedł swój autentyczny chrzest ognia, walcząc bądź to jako zwyczajny piechur z karabinem w rękę, bądź to dowodząc oddziałem partyzantów. Na południu wytrwał Kościuszko do końca wojny. Przez cały rok 1782 przebywał w polu pod Charlestonem, a w gazetach amerykańskich z tego czasu coraz częściej spotykamy wzmianki o jego odwadze i waleczności. Już rośnie jego legenda. 14 grudnia 1782 wkracza Kościuszko z wojskiem do zdobytego Charlestonu, w kilka godzin po nim zjawia się dopiero głównodowodzący generał Greene.

W okresie przebywania w strefie czarnej oczywiście wrażliwość Kościuszki zareagowała po swojemu na dolę ludzi czarnych. Zanim swój wieloletni, niewypłacony mu żołd zapisze w testamencie amerykańskim Murzynom, okaże im, ten polski szlachcic — serce. 2 września 1782 pisze do gen. Green'a w sprawie rozdania odzieży po poległym pułkowniku Laurence: „I recommend to you two Negroes belonging to I. C. Laurence... They are naked, they want shirts, jackets, breeches and their skin can bear as well as ours good things“.

Być może, iż ujmując się za Murzynami, myślał też o polskich i białoruskich chłopach, których emancypacja stała się później przewodnią idea jego polityki wewnętrznej. Jakoż w polskich oczach postać Tadeusza Kościuszki jawi się nie w błyszczącym mundurze generalskim, lecz w białej chłopskiej sukmanie, którą nosił w czasie insurekcji na pamiątkę bitwy pod Raclawicami, stoczonej z Rosjanami 4 kwietnia 1794 r. W tej bitwie bowiem pierwszy raz w dziejach Polski wystąpiły czysto chłopskie formacje wojskowe, uzbrojone w kosy i odniosły zwycięstwo nad regularną piechotą i artylerią rosyjską. A powołał Kościuszko chłopów nie tylko obiecawszy im zwolnienie z pańszczyzny, ale widząc w nich rzeczywiście przyszłych obywateli demokratycznej republiki, w której na pańszczyznę i niewolę nie miało być już miejsca. Tu, w armii ludowej Washingtona, zdobył Kościuszko praktyczną wiedzę o potędze ludu i o tryumfie idei republikańskiej.

Przybył ze starego świata, gdzie książęta, lordowie, hrabiowie, wicehrabiowie, markizi i wszelkiego rodzaju panicze, automatycznie, dzięki samemu faktowi „dobrego urodzenia“ osiągalni najwyższe godności w armii. Tu było całkiem inaczej. Tu — lordów zmuszali do kapitulacji synowie ludu, farmerzy, kupcy, bez herbów i bez odziedziczonych tytułów. Generał Greene był przed rewolucją zwyczajnym sobie kowalem. Kapitan Henry Lee — handlował końmi. Generał Morgan, jeden z dowódców w armii Greene'a był po prostu furmanem, a generał Schuyler miał tartaki w Albany. Najwyższy symbol amerykańskiej rewolucji, Jerzy Washington też nie legitymował swej władzy żadnym przywilejem. Był farmerem.

O zwycięstwie Amerykanów nad bogatą Anglią nie zadecydowały pieniądze. Wojsko Washingtona w ciągu tak długiej i uciążliwej kampanii niejednokrotnie składało się z głodomorów i obdartusów. A kto patrzył na to przez siedem lat i uczestniczył w tryumfach i upadkach takiej armii, choćby nawet tytułował się hrabią, jak to niekiedy czynił Kościuszko, zaraził się bakcyłem zdrowia i zdrowie to pragnął zaszczepić na własnej, dalekiej ziemi.

Po skończonej wojnie postanowił Kościuszko wrócić do Polski. Narzeczcie otrzymał awans na generała brygady. Nie był to jednak awans indywidualny, ani nagroda za położone dla Ameryki zasługi. Wszystkich oficerów, po zwycięskiej rewolucji posunął Kongres o jeden stopień w służbowej hierarchii. Dużym zaszczytem było natomiast przyjęcie Polaka do zawiązanego 19 czerwca 1783 r. „Towarzystwa Cyncynatów“. Był on tam jednym z trzech zaledwie cudzoziemców, dopuszczonych do tego świetnego grona dawnych kombatantów. Order Cyncynata: złoty orzeł o brylantowych oczach, zawieszony na białoniebieskiej wstędze — zdobył odą pierś polskiego wolontariusza, który do końca życia zachował gorącą miłość do Stanów Zjednoczonych i wcielonych tam idei.

Opuścił Amerykę w lipcu 1784 r., kierując się przez Francję do Polski, gdzie miał niebawem odegrać jedną z najtragiczniejszych choć najwznioślejszych ról w historii swego kraju.

IV.

Jak bardzo przywiązał się do Ameryki — o tym mówią jego piękne listy do amerykańskich przyjaciół. Tchną one przywiązaniem do kraju, o którego niepodległość walczył. Rzecz można, iż stara krew szlachecka, płynąca w żyłach Kościuszki, odmłodziła się w surowej atmosferze amerykańskich bojów. Zacytujemy jego list (w oryginalnej i, mimo tak długiego przebywania w środowisku anglosaskim, pełnej błędów pisowni), adresowany z Paryża 26 sierpnia 1784 r. do przyjaciela nazwiskiem Williams:

“ My dear Williams, I dare say you think to this day yet, that I shall forget you — you see how often we are mistaken in our conjectures. How happy I should be if you could swallow only half scrupul of my affection, your heart would be open to the conviction, no longer mistrustful but sure as of your own you would me

always ready to render your service in my power. I will not entertain you with the Eligency or affluence of Paris and the other places, because it will give any real pleasure to me or to you. We require more solid food to our unbiassed sentiment, and we are sensible of the strict connexion which nature assigned to peace and innocence, the richness to industry, to tranquility the valour, and the enjoiment of Liberty—dear Word—I wish my Country feel its influence. Can you believe I am very unhappy been absent from your Country it seems to me the other world her, in which every person finds great pleasure in cheating himself out of common sense. The time may have some power to preposses my mind in your Countrys favour and adopt the opinion of greater number of men, but Nature more, it is in every breast, here they take great pains to subside the Charms which constitute real happiness, but you folow with full speed the marked road and you fined by experience that domestic Life with Liberty to be the best gift, that nature had to bestow for the human specie.—

To morrow I am going to Poland and with some reluctance as am informed by one of my countrymen that the affairs of the republic as well as mine are in a very horrid situation, you shall know it in my next. — I must prepare for the worst, perhaps you will see me again in your country, for this reason you must use your influence in Congress in my favor, and write me as soon as you can. Adieu your sincerely
THAD. KOSCIUSZKO."

Istotnie — musiał przygotować się na najgorsze. Nastąpiło ono wszakże dopiero po kilku spokojnych latach, które biografowie Kościuszki nazywają sielanką. Dwudziestoletni blisko okres pomiędzy pierwszym a drugim rozbiorem Polski był jak gdyby pogodnym interludium, dzielącym ostatnie akty ponurej tragedii. Liczne postaci w królewskiej purpurze i w koronach, dodają tragedii Polski i tragedii Kościuszki szekspirowskiego kolorytu.

Pod wpływem wstrząsu, spowodowanego pierwszym rozbiorem, dokonały się pod nieobecność Kościuszki doniosłe zmiany w kraju. Nastąpił niebywały rozkwit nauk, sztuk i w ogóle życia umysłowego: Jednocześnie podniósł się przemysł i handel. Zapanował względny dobrobyt. Znacomici pisarze polityczni i mężowie stanu tacy jak: Wojciech Turksi, ks. Hugo Kollątaj, Stanisław Staszic, domagają się radykalnych reform społecznych, rozumiejąc, iż uratować kraj od zagłady może tylko cały naród, w którym wszyscy ludzie są równi. Rewolucja francuska uskrzydla polską myśl radykalną. O tej rewolucji tak pisze Kollątaj: „Lud z dwudziestu milionów złożony, rzucający kunszta i rzemiosła, ośmielony zagrzebać się w swoich ruinach, bardzo jest straszny przeciw jakiegokolwiek potędze“. Lud polski nie mógł być straszny przeciw połączonej potędze Rosji, Austrii i Prus, jak długo we własnym kraju był niewolnikiem.

Trzeba zapisać na dobro polskich patriotów, że jeszcze przed wybuchem rewolucji we Francji zabrali się do naprawy ustroju państwa, nie bacząc na przemożną opozycję rodzimej reakcji, ani na rosyjskie bagnety. W r. 1788 zbiera się t.zw. Sejm Czteroletni, czyli Wielki. Najważniejszym jego dziełem była słynna Konstytucja, uchwalona w r. 1791. Była ona wprawdzie tworem kompromisowym i przyniosła równouprawnienie tylko mieszczaństwu, chłopom dając zaledwie mgliste obietnice, ale można ją uważać za poważny krok naprzód, po którym nastąpiłyby dalsze, gdyby Polska potrafiła utrzymać polityczną niezawisłość. Wszystkie elementy postępowe opowiedziały się za Konstytucją, lecz reakcja zawiązała przeciw niej haniebną konfederację w Targowicy, do której niestety przyłączył się później tak zasłużony dla polskiej kultury król Stanisław August. Słowo „Targowica“ brzmi w polskich uszach jak gdyby: Vichy, chociaż nic nam nie wiadomo o tym jakoby w Targowicy znajdowały się źródła lecznicze. W krytycznych latach, poprzedzających wybuch insurekcji kościuszkowskiej, rządili Polską przy współdziałaniu nieszczęsnego króla kolejno zmieniający się abetzwowie cesarzowej Katarzyny: Repnin, Sievers, Stackelberg, Igelstrom... Po upadku stronnictwa konstytucyjnego, konfederaci targowiccy sprowadzili wojska rosyjskie, żeby stłumiły rozruchy chłopów.

Wróćmy jednak do pierwszego, tak jasnego roku obrad Sejmu Czteroletniego. Jest on niezwykle interesujący dla Kościuszki, albowiem Sejm

uchwalił wówczas powiększenie liczby wojska do 100.000 ludzi. Nareszcie mógł Kościuszko po kilkuletniej bezczynności w życiu publicznym — służyć w armii własnego narodu. W staraniach o przyjęcie do reorganizowanego wojska pomaga mu — o losie! — ta sama kobieta, z powodu której musiał ongi uciekać z Polski. Ludwika z Sosnowskich księżna Lubomirska jest gorącą orędowniczką Kościuszki u króla, przed którym nie ukrywa niewygasłych uczuć dla niegdysiejszego swego nauczyciela historii i rysunków. Jakoż w r. 1790 poleca Sejm przyjąć Kościuszkę do służby w randze generał-majora.

Tu zaczyna się właściwa epopeja bohaterska cichego dotąd inżyniera z West Point i Saratogi. Błyskawicznie po sobie następujące wypadki wynoszą go szybko na czoło narodu. W wojnie z Rosją r. 1792 dowodzi dywizją w korpusie, którego komendantem jest późniejszy bohater wojen napoleońskich i marszałek Francji, książę Józef Poniatowski, bratanek króla. Przeważające siły rosyjskie zadają klęskę niewielkiej armii polskiej pod Dubienką na Ukrainie. Prusy, z którymi Polska zawarła była traktat obronny przeciw Rosji, nie tylko nie przysłyż z pomocą, lecz po prostu zdradziły. Współ z Rosją dokonały na zdradzonym sprzymierzeńcu drugiego rozbioru w r. 1793. Targowica zachowała się jak Vichy. Patrioci, oraz część generałów polskich, w ich liczbie generał-lejtnant Kościuszko — opuszczają kraj.

Narodowe Zgromadzenie Prawodawcze w Paryżu (Assemblée Législative) jeszcze 26 sierpnia 1792 r. nadało Kościuszce tytuł obywatela Francji. Zaszczyc ten dzielił bojownik wolności z Washingtonem, Fryderykiem Schillerem, Pestalozzim... Pod przybranym nazwiskiem „Barona Biedy“ udał się Kościuszko przez Saksonię do Francji. Francuzi nie szczędzili mu dowodów szacunku, ani sympatii dla polskiego ruchu insurekcyjnego. Pieniądzy wszakże nie dali, ani nawet dyplomatycznego poparcia. Być może, iż nie mieli zaufania do narodu, którym rządziła arystokracja, do narodu, który nie miał serca postąpić ze swym królem tak, jak oni postąpili ze swoim. Życzliwy Polse agent dyplomatyczny Francji, obywatel Parandier, zabiegał, po wybuchu insurekcji, u swego rządu o dwunastumilionową pożyczkę dla powstańców. Tłumaczył swoim szefom, że Polacy zasługują na taką samą pomoc od Republiki francuskiej, jaką otrzymali Amerykanie od „wersalskich despotów“. Na próżno. W interesie Francji leżało wówczas — nie drażnić mocarstw rozbiorowych. Francja wołała widzieć te mocarstwa zajęte pacyfikacją europejskiego Wschodu, niż za Renem. W każdym razie ludzie, rządzący ówczesną Francją pilniejsze niż Polska sprawy mieli w głowach, które sobie wzajemnie ucinali.

Upadła więc nadzieja Kościuszki na obcą pomoc. Powstanie musiało opierać się na własnych siłach. Wybuchło przedwcześnie i szybko zostało zgniecione. Zwycięska bitwa pod Raclawicami (4 kwietnia 1794), w której tak pięknie odznaczyli się chłopci, rozpałała powszechny zapał. 7 maja, w obozie pod Połańcem ogłasza Kościuszko jako Naczelnik narodu — pamiętny Uniwersał, będący niejako uzupełnieniem Konstytucji z r. 1791. Daje chłopom wolność osobistą i prawo do uprawianych przez nich ziem. Hasła rewolucyjne, które proklamuje, porywają nie tylko lud wiejski, lecz i mieszczaństwo. „Cud raclawicki“ działa zaraźliwie. Dodaje otuchy rzemieślnikom warszawskim, którzy pod przewodem szewca Jana Kilińskiego wypędzają ze stoilcy wojska rosyjskie. Król Stanisław August sprzyja powstaniu, ale jest odsunięty od wszelkiej władzy. Jest całkowicie zdany na łaskę swojego niegdyś pupila z warszawskiej Szkoły rycerskiej. Łatwo odgadnąć, że Kościuszko zachował się wobec dawnego protektora wielkodusznie, i z godnością, co mu później paryscy gilotyniści za złe poczytywali.

Krótko trwało upojenie powstańców — sukcesem. Błędy strategiczne Kościuszki, który stosował w tej wojnie swe amerykańskie doświadczenia,

oraz liczebna przewaga wojsk nieprzyjaciela — przyspieszyły klęskę. 6 czerwca ponosi Kościuszko porażkę pod Szczekocinami. Pada tam pod nim koń, rażony kulą pruską. Wbrew bowiem oczekiwaniu, w bitwie tej walily w polskie konie i w polskich ludzi nie tylko rosyjskie, ale i pruskie pociski. Król pruski Fryderyk Wilhelm II osobiście kieruje akcją pod Szczekocinami. Regimenty jego zajmują 15 czerwca — Kraków. Ale sercem insurekcji jest Warszawa. Na wzór jakobinów zawiązał się tam „Klub radykalny“, któremu przewodzi Kollątaj. Kościuszko kieruje wspaniałą, ludową obroną Warszawy. Bierze w niej udział ludność cywilna, podobnie jak we wrześniu 1939. Prusacy musieli odstąpić od oblężenia stolicy. Nie uratowało to powstania od katastrofy. Nastąpiła ona 10 października 1794 w bitwie pod Maciejowicami. Przemocne wojska rosyjskie pod wodzą Fersena zadały tam Polsce śmiertelny cios. Kościuszko, ciężko ranny w głowę i w nogę, dostał się do niewoli. Do końca życia protestował, jakoby pod Maciejowicami miał zawołać: „Finis Poloniae!“ Jednakże trzeci, kompletny rozbiór Polski w r. 1795 był już tylko epilogiem Maciejowic i urzędzonej przez Suworowa masakry ludności cywilnej na przedmieściu Warszawy, zwanym: Praga.

Z wielkimi honorami wieźli Rosjanie rannego Kościuszkę do niewoli. Były to czasy rycerskie, w których pokonany przeciwnik budził cześć dla swych cnót i wielkości ducha. Po bitwie maciejowickiej wyprawili zwycięzcy ucztę, na której pili zdrowie pojmanych generałów polskich.

Przywieziono Kościuszkę do Petersburga i, na rozkaz cesarzowej Katarzyny umieszczono go w twierdzy petropawłowskiej. Tam prokurator generalny Samoiłow poddał dostojnego więźnia śledztwu, prowadzonemu z wielką kurtuazją. Akty tego śledztwa stanowią nader cenny dokument szlachetności charakteru Kościuszki. Całą odpowiedzialność za wybuch powstania wziął na siebie. Wkrótce cesarzowa kazała go przenieść z twierdzy do pałacu hr. Orłowa, gdzie chory więzień żyje wygodniej niż kiedykolwiek w życiu. Angielski lekarz, doktor Rogerson, troszczy się o jego niegojące się rany. Miał Kościuszko przy sobie własnego służącego, Murzyna, oraz kucharza, Jean'a. Miał do dyspozycji powozik, którym odbywał dla przyjemności przejażdżki po Petersbugu. Główną wszakże rozrywką jego przez te dwa lata spędzone w niewoli stanowił warsztat tokarski.

Istnieje popularny sztych, przedstawiający moment, kiedy nowy car Paweł, natychmiast po śmierci swej matki, Katarzyny, odwiedza Kościuszkę w jego wytwornym więzieniu. Otoczony wspaniałą świtą, w towarzystwie syna Aleksandra, z wielką pompą obwieszcza nowy monarcha nieruszającemu się z kanapy więźniowi-inwalidzie, że od tej chwili jest wolny. Pamiętnikarz, opisujący to zdarzenie, stwierdza, że car Paweł zwracając Kościuszce wolność, deklaruje się jako wielbiciel więźnia swojej matki i zapewnia go, iż zawsze był przeciwny rozbiorom Polski. Przyrzeka jej przywrócić niepodległość.

Był zatem Kościuszko wolny i mógł jechać do swej drugiej ojczyzny za oceanem. Nim pojechał, uczynił największą chyba w życiu ofiarę. Za cenę uwolnienia 12 tysięcy jeńców polskich, przebywających po rosyjskich więzieniach lub zesłanych na Sybir, złożył Kościuszko cesarzowi na ręce marszałka dworu, Polaka, Jerzego Wielhorskiego — przyrzeczenie wiernopoddańcze. Przyjął też od cara dar pieniężny w wysokości 60.000 rubli. Sumę tę pragnął obrócić na wspomnienie swych ziomeków. Złożył rodzinie cesarskiej wizytę pożegnalną w Pałacu Zimowym, gdzie przybył w mundurze amerykańskiego generała. Przyjęto go tam nie jak wroga i więźnia, lecz jak kuzyna. Car ścisnął go i całował, zapewniał o swej przyjaźni i obdarzył mnóstwem upominków. Kościuszko ofiarował cesarzowej Marji Fiodorownej zrobioną przez siebie tabakierkę, oraz sukmanę chłopską, tę, którą nosił w dniu fatalnej bitwy pod Maciejowicami.

Carowa go prosiła, żeby jej przysłał z Ameryki trochę nasion ogrodowych. Takie to były czasy.

Opuścił krainę niewoli przez Finlandię, Szwecję i Anglię do Stanów Zjednoczonych. Po drodze odbierał hołdy nieomal jak monarcha. Jechał jak tryumfator, wszędzie witany owacyjnie. Przed domami, gdzie stawał w przejeździe, grały mu orkiestry serenady, wojskowi urządzali pod jego oknami paradne kawalkady, piękne damy z najwyższego towarzystwa, pielgrzymowały do polskiego inwalidy, co przegrał wojnę i stracił ojczyznę. Płakały ze wzruszenia na jego widok i podziwiali go jak gdyby był Monną Lisą. Był to chyba największy w czasach nowożytnych tryumf człowieka zwyciężonego. Istota tego tryumfu jest natury moralnej i wzbudza żal za światem, który dawał się fascynować wielkością czyjejś duszy i wielkością cudzego nieszczęścia. Stał się Kościuszko primadonną cierpienia.

8 sierpnia, r. 1797, amerykański frachtowiec „Adriana“ wiozący chorego i pokonanego Kościuszkę zawinął do tej samej przystani w Filadelfii, gdzie osiemnaście lat temu wysiadł młody i zdrowy i pełen nadziei ochotnik Wojny o Niepodległość Stanów Zjednoczonych. W Filadelfii powtórzyły się podobne sceny, jakie się rozegrały w krajach europejskich, przez które przejeżdżał. Poczciwe kwakry filadelfijskie wyprzęgły konie z karety wiozącej Kościuszkę i zaciągnęły ją pod dom, gdzie zamieszkał. Niebawem Jerzy Washington przysłał list, pełen uznania i czci i zaprosił Kościuszkę do Mount Vernon. Kościuszko uprzejmie odmówił i pozostał w Filadelfii, gdzie zawarł dożgonną przyjaźń z Tomaszem Jeffersonem. Jemu też powierzył na wyjeźdźnym swój testament tej treści:

“ I Thaddaus Kosciuszko being just in my departure from America hereby declare and direct that should I make no other testamentary disposition of my property in the United States thereby authorise my friend Thomas Jefferson to employ the whole thereof in purchasing Negroes from among his own as any others and giving them liberty in my name in giving them an education in trades or otherwise and in having then instructed for their new condition in the duties of morality which may make them good neyghbours, good fathers or mothers, husbands or wives and their duties as citizens teaching them to be defenders of their liberty and country and of the good order of society and in whatsoever may make them happy and useful and I make the said Thomas Jefferson my executor of this.

5th May 1798.

T. Kosciuszko.”

Jakież atoli był powód tak raptownego wyjazdu z Ameryki, gdzie pragnął wszak pozostać na zawsze, gospodarując na roli? Historycy zastanawiają się, czy aby nie zraził się się do antyrepublikańskich rządów ówczesnego prezydenta Adamsa, za którego ogłoszono t.zw. „Alien and sedition bill“, wymierzony przeciw cudzoziemcom. Bardziej prawdopodobnym wydaje się jednak przypuszczenie, że wyjechał nagle na skutek otrzymanych z Europy wiadomości o formującym się pod gen. Janem Henrykiem Dąbrowskim — legionie polskim w ramach armii francuskiej.

Do końca życia tłukł się po Francji, błyszcząc niejako na peryferiach gwiazdy Napoleona, o której to gwiazdzie nie miał dobrego mniemania. Zawierał stosunki polityczne i dyplomatyczne, uczestniczył w obradach i na bankietach, na których wznoszono toasty na cześć Polski i krokodyle lano po niej łzy.

Natychmiast po przyjeździe do Francji, w nadziei nowego czynu zbrojnego Polaków, odesłał Kościuszko carowi pałacę sumienie dług: owe nieszczerne pieniądze, otrzymane w Petersburgu, a złożone w Banku Angielskim, i w uprzejmym liście wypowiedział mu wierność i posłuszeństwo. Tłumaczył się, iż do podpisania aktu wiernopoddaństwa zmusili go rosyjscy ministrowie. Car się rozgniewał, pieniędzy nie przyjął, uważając Kościuszkę za czarnego niewdzięcznika i zdrajcę.

W r. 1806 jest Kościuszko w dość bliskim kontakcie z Napoleonem. Cesarz Francuzów pragnie użyć sławnego imienia byłego naczelnika insurekcji, aby w wojnie z Rosją zjednać sobie uwielbiającą Kościuszkę ludność Polski. Podobno Fouché sfalszował odezwę Kościuszki do

Polaków. Kościuszko ostro stawiał się Napoleonowi i żądał od niego wyraźnych gwarancyj co do przywrócenia niepodległości całej Polski i co do uwolnienia chłopów z pańszczyzny. Żadnych gwarancyj nie otrzymał, a Napoleon uważał go za naiwnego maniaka. W roku 1812 pragnie Kościuszkę pozyskać zwycięski car Aleksander I, jego wielbiciel tak samo jak ojciec, car Paweł. I znów Kościuszko żąda od Aleksandra odbudowania niepodległości całej Polski oraz uwolnienia chłopów z pańszczyzny. Aleksander wezwał go w końcu na Kongres Wiedeński, aby jego autorytetem wzmocnić swą własną pozycję jako króla Polski. Kościuszko odniósł się do Aleksandra z sympatyczną rezerwą, do niczego się nie zobowiązał, lecz był mu wdzięczny za przywrócenie choć „mienia Polski“ w t.zw. Królestwie Kongresowym.

Właściwie już od bitwy maciejowickiej nie brał Kościuszko czynnego udziału w polskich ruchach niepodległościowych i wojskowych. Ostatnie lata życia spędził w Solurze, w Szwajcarii, w domu zaprzyjaźnionej rodziny Zeltnerów. Aktem z dn. 2 kwietnia 1817 uwolnił całkowicie od pańszczyzny wieśniaków w swych dobrach siechnowickich. Zmarł 15 października tego roku, uwielbiany przez miejscową ludność, zwłaszcza przez ludność ubogą z powodu legendarnej dla niej dobroci. W rok potem sprowadzono jego zwłoki do zajętego przez Austriaków Krakowa i pochowano uroczyście na Wawelu, w narodowym sanktuarium Polaków. Dziś na zamku wawelskim rezyduje niemiecki gubernator. Kazał on z bastionu zamkowego usunąć konny posąg Kościuszki. Ale niedaleko Krakowa znajduje się inny pomnik wielkiego Naczelnika. Żaden gubernator nie potrafi go usunąć. Jest to bowiem wysoki, zieloną darnią nakryty kopiec, sztuczna góra, usypana ku czci Kościuszki rękami polskiego ludu. W kopcu tym znajduje się również garsć ziemi, zebranej z amerykańskich pól, na których walczył Kościuszko.

„Wawel runie, zostanie mogiła Kościuszki“ — powiada polski poeta romantyczny. I nie tylko mogiła po nim zostanie, ale i wszystkie pieśni, które nasz lud o nim śpiewa i wszystka miłość.

I zostaną nieśmiertelne strofy Byrona w „Age of Bronze“:

“Ye who dwell
Where Kosciuszko dwelt, remembering yet
The unpaid amount of Catharine's bloody debt!
Poland! o'er which the avenging angel passed
But left thee as he found thee, still a waste,
Forgetting all they still enduring claim,
Thy lotted people and extinguish'd name,
Thy sigh for freedom, thy long flowing tear,
That sound that crashes in the Tyrant's ear—
Kosciuszko!

MARIA PAWLIKOWSKA

ROZMOWA Z SERCEM

Gdzie odpoczniesz? Na wiślanym piasku,
Czy na łące naszej, wśród jaskrów?
— „Mogę tylko odpocząć w Przeszłości”
Rzekło serce wyraźnie i jasno,
„Mogę tylko odpocząć w Przeszłości...”

Ależ jutro pogodniejsze i słodsze!
Nie chcesz wytchnąć w powojennym świecie?
„Już zapóźno. Gdybym było młodsze!
O, Przeszłości, jak do ciebie wrócić,
O, Przeszłości, jak do ciebie dotrzeć?...”

Serce, serce, musisz się uprościć!
Wpierw niech w tobie rezygnacja zagości,
Poczem raj ci się nowy otworzy.
Serce rzekło: „Biję dla Przeszłości!
Chcecież mnie głodem zamorzyć?”

Serce, uporem grzeszysz!
Serce, błądzisz w tęsknocie!
Choć jest wiele cudów w świecie bożym,
Wiele dobra pośród wszechrzeczy,
Lecz Bóg dotąd Przeszłości nie stworzył
Jako miejsca powrotów i pociech...

MARIAN CZUCHNOWSKI

DEDYKACJA

Pani Marii Prywosowej

Najmilsi,
Jeśli was dojdą kiedyś mój smutek i wiersze,
Na morskich falach niesione, i wiatr,
Życie będzie napewno inne i może jaśniejsze
Od wierszy i smutku, co odstał od warg.

Chciałbym nad wami spaść z deszczem
Artyleryjskich pocisków i rakiet.
Otworzyć niebo jak ranę. Niech pali i piecze.
Dziś inaczej, cierpiąc, kochać nie potrafię.

Przestań serce. Nie dręcz mnie dłużej.
Przestań, i nie chciej dłużej na trwogę bić.
Oczy jak plakat gorący na murze,
Z napisem „Wolność“, za którą warto bić się i żyć.

A niechaj sobie cały świat na prawo.
Ja prosto, i naprzód. I znowu na lewo.
Witaj, walczący Krakowie. Jak się masz, Warszawo,
Wzburzona znowu od strzałów i gniewu.

Posyłam słowa jak gwiazdy,
Blask rakiet, trzask maszyn, ogień i dym.
Szorstkie, proste, wyrwane wyrazy:
Że wierzę, że walczę, że słowa te dojdą. I że żyję tym.

FIOŁKI

Wcale nie było szklanej fontanny—
To obłok — wybuchł i rósł.
W ogrodzie ślicznej, Zielonej Panny,
Pachniała ziemia, suknie i mróz.

Nie umiem znowu niczego wybaczyć,
Ani nie umiem niczego zapomnieć.
Może ten ogród w strasznej rozpaczycy!
A ja? Nie umiem. Zresztą, cóż po mnie?

Patrzcie! Z ziemi oczy podnoszą
Mokre fiołki, ogród i brzask.
A drzewa rudą posoką broczą
I serce bije; tak bije dział wrzask!

Powoli, ciężko, w burym obłoku
Zatrzeszczał żelaznej bramy szczęk.
Podstępnie, skrycie wyszedł szary mur z mroku.
Ciszey! Zamilczcie! Znam ja ten mur i ten szczęk.

Nawet poranek zły, rdzawy, plami
I mur, i suknie, i mrozu skrzyp.
To serce bije krótkimi salwami.
I znowu słycać trzask tłuczonych szyb.

Teraz w wiosennym, mokrym ogrodzie
Na drzewach pąki, jaśniejac, lśnią.
A pod drzewami skrada się, chodzi,
I mur, i ogród. I drzewa drżą.

I osypany fiołkami, bury,
Zatrzeszczał znowu ponury mur.
Już nawet nie wiem, poraz który.
Zresztą wszystko mi jedno, który to mur.

Ja...mogę jeszcze...drugie pięć lat...
Tylko, gdy wiosną znowu fiołki, ogród i brzask,
I mróz, i suknie, i zimno krat,

I trzask tłuczonych szyb i wichru wrzask,
I bić tak strasznie będzie znowu serce moje,
Ja panią proszę: Niech pani rzuci za mur, za bure wiersze krat,
Mokre, zimne fiołki, które zrywaliśmy oboje.

POŻEGNANIE JEŃCA

Poco przyszlście tu, gdzie gwiazdy trzaskają, jak iskry?
Ja wam chcę, na szyję — wstęgę koncertyny,
Gdy prędko wybuch granatów wścieka się w podwórzu!
Dosyć niewoli — chciałbym całować mokre usta Wisły
I ujrzeć szare lasy Karpat; szumieć, młody, w wybuchach leszczyny,
Gościńcami wędrować w błyskach drzew i kurzu.

Szaleństwo. Puście. Nie mogę już więcej.
Więc to tu? Doszedłem do kresu. I dalej
Pali się miasto, deszcz, noc i kamienie.
A ja bym to wszystko wysadził w powietrze. Niech już koniec będzie.
Jak bomba uniósłbym w górę ulice, gmachy, lasy alej!
Niech dzwonią bryzgi kulomiotów, pożar i zniszczenie.

Czy mię zniszczą w więzieniu,
W lagrze, czy padnę w boju,
Czy zbir mię nagle zastrzeli zza węgła —
Jam życie spokojne, świadomie na wojnę zamienił.
Tak chciałem. I zamiast szczęścia, radości, spokoju,
Z mym życiem się walka, rozterka i bieda sprzysięgła.

Ach! Jak nie mogę zapomnieć kraju, do którego nie wrócę!
W szarych, ostrych promieniach zórz.
Gdzie po mnie płakać będzie warta smukłych brzóz.
Wiem, na ziemię się rzucę,
W brzozowym gaju, w mroku, dzikich, polnych róż.
A z sinych niebios zjeżdżać będzie wolno w lasy Wielki, Srebrny Wóz.

Na łąkach stoją kwiaty, jak zdrowe dziewczęta,
W szerokich, pstrych kapeluszach.
Zagubił się refren prostej, żołnierskiej pieśni:
„Będą za nami panny płakały”. Nie pamiętam
Ani łąk, ani pieśni. Śpi wiatr w polnych gruszach,
Ciężki, jak młoda, martwa kobieta w groszowej powieści.

Wio, czarny koniu, pojedziemy znowu.
Dokąd? Nie pytam. I wszystko mi jedno.
Świt się zaciska nad nami, jak wargi zabitej.
Prędej! Do żony... Do domu!
Kocham nadal, jak w bujnej młodości, tę cichą chłopkę i tęsknię za biedną.
Gdzie mnie do was, najłodsza, do domu, do Rzeczpospolitej!

Idźcie dalej. Rzućcie mnie na drodze.
Huczą lasy, spowite burzą, brzaskiem i żalobą.
Noce mnie męczą. Młodość moją do głębi wyzarły.
Wrócę, choć dzisiaj odejdę. Nanowo się w Polsce urodzę.
Żegnaj kraju. Pokój z tobą.
Nie mogę, najdroższy. I księżyc ogromny, jak oczy umarłych.

LIST

Co miałem z życia?

Zarłem szary, więzienny mur.
Gryzłem latami żelazo krat.
Tężały w oczach: noc, bloki gór,
Wolny, szeroki świat.

Zmartwienie matki z góralskiej krwi.
Chłuba, nadzieja sądeckich chat.
Kochałem wolność. Niebo, gdy grzmi.
Burzę, wicher i grad!

Łamałem mury, ściany i drzewa,
Żelazne zamki, cegłę i gmach.
Na dnie jak łura jaskrawa łśni,
Tryska mój gniew. Z samego dna.

I nie żałuję dziś bujnych lat.
To tamten ogień w górach się tli!
Jestem tak samo młody i rad,
Że znowu walczę, jak w tamte dni.

Pękają mury, śmiech i do bram
Biją prostackie salwy i dym.
To mnie, to wszystkim nam —
Biją, nie im!

Otwieram żyłę i piszę do domu.
Będzie to stąd ostatni list.
Za nocą wiatr — drży pokryjomu.
M. P. Data. Wiatr i Middle East.

Co miałem z życia?

Wietrze, nie mów nikomu,
Jak pokryjomu —
Padają łzy, na list,
Na młodość i na Middle East...

WSZYSTKIE TRZY

Szepnęła cicho: kochany,
Nie mogę tak dłużej, wychodzę za mąż.
Poszła. Powiew westchnął wiślany,
I płacząc, westchnęła, samotna gwiazda.

Druga, błękitne oczy spuściła
I jeszcze ciszej szepnęła: mój miły!
Co, najśłodsza? Czego drzysz, miła?
Nie mogę tak dłużej, nie mam już siły.

Trzecia miła, wysoka i blada,
Nocą odeszła, smutna i wiotka,
I nie szeptała, tylko płakała
Cicho, w mrocznych opłotkach.

Dziś nie pamiętam ich oczu i ust,
Jak całowały i kochały mnie.
Trzeszczał mech, liście i chrust,
Gdy się skradałem sadami we mgle.

I nie pamiętam ich młodych rąk,
Które drżały i obejmowały.
Smutno w pamięci. Odejdźmy stąd.
Cóż więcej, miłe, mi po was zostało?

Płakały oczy, i usta, i wy,
I sady, i rzeki, i las.
Szeptały wszystkie: nie mogę dłużej, nie mogę, kochany.
Rozumiem: pora mi odejść. Odejść mi czas.

Odszedłem, i dotąd jeszcze idę przed siebie,
W dale. I dokąd, dokąd tak iść?
Tyle przeszedłem i ciągle na niebie
Szept, i ta sama, samotna gwiazda lśni.

O N

Wieźli. Pośpiesznie wieźli karetką. Szybko i wprost.
Wiatru i serca olbrzymi huk.
Stanęli. W szczerym polu stanęli na skrócie dróg.
Oni i on. Pluton, ciemność, ziemia i most.

Och, żeby tak!
Żeby tak! tutaj i teraz, tak głupio i źle!
Niebo błysnęło szeroko, świeże, mokre jak krew.
Obco, zimno i bylejak.

Nigdy nie zdradzał, szedłem naprzekór
Wszystkiemu i wszystkim. Uparciem się bił.
Jak motor, żywy strumień, wwierca się w bruzdy żył.
To nic: spokojnie serce! Męcz się, trzymaj, i dalej bij.

Noc brudną śniedzią chmur jęła lśnić.
I poco teraz myśleć o tem i tu? Proste: koniec rachunku.
Adieu, kochani. Zjeżdżamy!...
Serwus śmierci, skoro dłużej nie można już walczyć i żyć.

Podeszli do niego. Razem. Podpełzli, jak szczury.
Chcieli zawiązać oczy i świat.
Nie trzeba. Wytrzymam...
Wytrzymał, patrzył i padł
Ogromny na ziemię, na salwę, na noc i na chmury.

DROGA MLECZNA

Jakież grom, jaka gwiazda przeklęta,
Świeciły nad moją kołyską?
Rozbijam się w życiu, zatrzaśnięty w pęta,
Choć będę krótko trzymam przy pysku.

Żyję, i wali we mnie cios za ciosem!
Walczę, nigdy nie klóczę się o to,
Czy warto? Co będzie? Nie spieram się z losem,
W jaki mnie wsadzi kryminal i poco?

I znowu rąbię twardo prawdę i pałę mosty za sobą.
Idę tam, gdzie nigdy nie było nadziei.
Aż wreszcie mnie złamią, zaduszą, i zgniotą.
I padnę gniewny, jak moi najbliżsi, w następnej kolei.

Do góry głowa! Jeszcze rok, czy dwa.
Co nam na tym zależy? Naprzód, byle śmiało!
Nie oglądajmy się wstecz. Nic więcej nam dziś nie zostało,
Prócz drogi naprzód. Więc naprzód prowadźmy nasz marsz.

Gdy ojciec umierał, gasła ciężko Droga Mleczna.
Szeptem powiedział: „Mój drogi, wyjeżdżam daleko w stylu podróży.”
I kiedy mnie tak samo przyjdzie zakończyć mą podróż wśród burzy,
Świeć, gromie, i pal się dalej, moja gwiazdo, przeklęta, zimna i wieczna.

Niech płonie nadal, jak niegdyś, nad moją nieszczęsną kołyską —
Śmierć, noc i gwiazda. Więcej nie chcę. To wszystko.

HAMSIN

Gwałtowny wiatr od pustyni
Rośnie, jak ogień artyleryjski.
W lasach cyprysów, sosen i pinij
Tryskają żółte pociski.

Nie mogę spać, krzyczę po nocy,
I nigdzie nie ma dla mnie ratunku.
Jeszcze się bronię przeciw przemocy,
Jak wiatr w pustyni, wytryskam z gruntu.

Jeszcze się bronię, jeszcze zwyciężam.
Nie ustępuję i rosnę w sobie.
Poza mną cmentarz, przede mną cmentarz.
I serce całe w żalobie.

Wieje pustylny wicher i ogień.
Niech wieje wicher! Niech trzeszczy ogień!
W taką noc wichru, żalu i lęku
Niechby już serce nagle mi pękło!

Wiejcie wichry. Wiejcie na zachód.
Wiejcie na północ. Wiejcie na Tatry.
Niech krzyk mój słyszą wiślane piachy,
Lasy i góry. Krzyczcie dalej, pustylnne wiatry.

Noc czarną farbą kamienie maże.
Jak bure widma rosną bez przerwy,
Kłęby cyprysów, żal, krzyk i nerwy.
I kopią doły czarni grabarze.

Czarni grabarze, bądźcie spokojni! Zimni obwiesie,
Golnijcie szybko po tęgim kieliszku czystej
I pochowajcie mnie w młodym padesie,
Jeśli nie będzie miejsca dla mnie na ziemi ojczystej.

Jerozolima — Tel-Aviv — Haifa — Tyberiada, marzec — grudzień 1943 r.

KSAWERY PRUSZYŃSKI

MARGRABIA WIELOPOLSKI

III. KU WŁADZY I U WŁADZY

Co się dzieje, jeśli do stawu, niezwykle starannie odgradzonego od dopływów, poczną się naraz wlewać strumienie nowej wody, nie zastalej, rwącej? Stanie się wiele rzeczy. Najpierw popęka skorupa wodorostów jaka zieloną pleśnią pożerała coraz to większe płyty tafli wodnej, potem brzeg obeschły zacznie posuwać się wyżej i wyżej, a wody będą podmywać go coraz mocniej. Wreszcie staw przestanie się mieścić w łożysku które jeszcze parę lat temu było całkiem wygodne. Zacznie je za to rozpierać. Ciśnienie wody będzie wyszukiwać miejsca słabe, gdzieby się mogło przelać. Będzie przec na groble, ciężyc na słuzach. Im większy będzie dopływ, tym ciężyc będzie silniej. Jeśli zaś tym wodom nie damy ujścia, nastąpi katastrofa.

Okolo roku 1860 stało się tak właśnie z tym wielkim, zamarłym stawem polskim jakim było Królestwo Kongresowe. Dopływy jakie naruszały zatechłość jego spokoju były różne i liczne. Potężną rolę grał czynnik biologiczny. Wyrosła cała młoda generacja która sama nie przeżyła klęski 1831 roku i patrzyła na nią tylko przez pryzmat tak łatwo w Polsce wyrastającej legendy. Podobnie jak podchorążowie 1830 roku — właściwi

sprawcy tamtego powstania — nie mogli znaleźć sobie miejsca w własnej armii W. Ks. Konstantego, tak samo ta nowa generacja nie znajdowała dla siebie miejsca w ówczesnej Polsce. Jakżeby je znalazła? Wieś, jako warsztat pracy, kurczyła się; dwór i chata były jednak napęczniałe młodym elementem, który dorastając tylko tu zawadzał. Miasto? Przemysł budził się powoli, bardzo powoli, był obcy, przede wszystkim niemiecki. Aby syn ziemiański wyrósł nie tylko na epuzera ale jeszcze na inżyniera potrzebna była wyższa szkoła; tej brakło. W tym samym czasie w Niemczech młode pokolenie szło do przemysłu, we Francji i Anglii szło poza tym do handlu światowego, kolonii, marynarki, armii. Ale na horyzontach Kutnowskiego czy Płockiego, Hrubieszowszczyzny czy Zamoyszczyzny, nie było kominów fabrycznych i okrętowych masztów. Był za to las. I istotnie to młode pokolenie miało w czasie dosłownie pójść „do lasu”.

Dopływ biologiczny nie był jedynym który zmącał zatęchły spokój Królestwa. Szły jeszcze wiatry obce. Pokolenie które dorastało nie znało Zachodu, ale łowiło jego echa. Widziało jak powstawały lub krzepły państwa których dawniej w ogóle nie było. Powstało niepodległe Królestwo Włoskie ogarniając jedno za drugim prawie już wszystkie ziemie na których rozbrzmiewała mowa Petrarci. Francja używała mu pomocy; i jeszcze jakiej! Och, to już nie jest Francja spasionego egoisty Ludwika Filipa, mówili sobie Polacy, to Francja napoleońskiego dziedzica, Napoleona III. Pomógł Włochom, pomoże i nam. (Jego ministrem spraw zagranicznych — szeptały ciotce — jest przecież Oleś Walewski, syn polskiej kochanki Boga Wojny: młody Koźmian ma do niego dostęp w każdej chwili; czyż nie są to dowody przekonywujące?) W północnych Włoszech, w Cuneo, jest polska szkoła wojenna; prowadzi ją Mierosławski (ten sam, z 1848 r). Oto co sobie mówili nasi przodkowie temu lat osiemdziesiąt parę. Czy bardzo możemy ich potępiać za wishful thinking? Nie. Oni przynajmniej mieli doń pewne podstawy. Wszak Napoleon III istotnie kokietował Polaków, Włochy istotnie powstały, na Bałkanach rosła młoda niepodległość serbska, a pułkownik Cuza na czele paru kompanii wojska stworzył to co niebawem miało być Rumunią. Ba, pod boki Konstantynopola wykluwała się już zwolna Bułgaria, a niepodległość grecka o którą walczył Lord Byron liczyła sobie blisko trzydzieści lat dość burzliwego życia. Ludzie co patrzyli na to wszystko kierowali potem wzrok na Polskę. Czyż było możliwym by tylko tu nic się nie zmieniło, kiedy wszędzie zmienia się wszystko? Polska wzbierała oporem. Wody w stawie poczęły się podnosić.

Gdzie indziej, zwiastunami zmian politycznych są ulice pełne ludzi; w Polsce z dawna zaczynało się od kościołów, pogrzebów i obchodów. Czasem i na tym się kończy, ale tym razem nie. Pierwszym z nich był bodaj pogrzeb sędziwego generała Krasieńskiego, któremu po zgonie naród polski z tą polską lekkomyślnością jaką ten naród miał zawsze w stosunku do swoich generałów wybaczył naraz czterdzieści lat gorliwego służalstwa. Ale potem zmarła wdowa po generale Sowińskim, inwalidzie o drewnianej nodze, co we wrześniu 1831 roku padł na szanach Woli. A jeszcze — prawda! — obchód Trzech Wieszców. Potem przyszedł obchód trzydziestej rocznicy Nocy Listopadowej; znowu pochód, policja, tłumy. W Warszawie stawało się goręcej. Towarzystwo Rolnicze Zamoyskiego, które rozbudowało się okazałe miało swe obrady; z jednej strony władze rosyjskie chciały je skrepować w jego rozwoju, z drugiej żywiły konspiracyjne które już się odzywały chciały je skłonić do wystąpienia przeciw Rosji. „Adres do tronu” z wyluszczeniem, w oględnej formie, żalów, roszczeń i nadziei — oto były środki jakimi w owych czasach, w państwach bez parlamentu, ale przecież z opinią publiczną, poddani powiadamiali władzę o swej woli. Przez luty ciągnęły się w Warszawie, w gmachu

Resursy Kupieckiej, obrady Towarzystwa. Śledziła je Polska i pisał o nich „Times”. W ostatnim dniu napięcie wzrosło. Z Miodowej, Franciszkańskiej, Nowego Świata podeszły tłumy które miały swymi okrzykami podniecić nastroje owego polskiego „sejmu de facto”. Z zamku generał gubernator książę Górczakow wysłał swych Czerkiesów, Kozaków i żołdatów; bagnety miały ów polski „sejm de facto” nakłonić do uległości. Ale ziemiański sejm pod laską Pana Andrzeja obradował w zamknięciu i ściany pięknego pałacu broniły go i od polskiego tłumy, i od obcych bagnetów. Tymczasem więc skonfrontowały się tamte dwie siły; warszawska ulica i rosyjski żołnierz.

Żołnierz ten był, jakby umyślnie, szczególnie obcy. Ci Czerkiesi, Kałmucy i Dońcy byli obcy każdemu w ogóle miastu. Zwłaszcza zaś temu miastu. Step, alus i Kaukaz były ich światem. Tu czuli się nieswojo a więc niepewnie. Stanie z bronią u nogi, w środku wrogiej ulicy, pod oknami milczących domów i spojrzzeniami nienawiści, wznagało napięcie. Naraz, od Bernardynów, wysunął się jakiś pochód. Książdz, krzyż, ludzie. Sotnia runęła z miejsca, jakby chcąc zdeptać zarodek buntu. Właśnie go rozniecił. To na co napadła był zwykły, nikomu nie znany, pogrzeb. Ale w międzyczasie książdz, trumna, katafalk, wszystko to leżało już na bruku stratowane przez konie kozackie. W chwilę później padły strzały innego rosyjskiego oddziału który także nie wytrzymał napięcia. Pięć zupełnie niewinnych ofiar poległo od tych strzałów.

Znowu w naszych czasach nie możemy pojąć by pięć ofiar ulicznego zajścia mogło uczynić takie wrażenie jak owego 27 lutego 1861 roku. Ale był to — znowuż — dobry wiek XIX, kiedy o mniejszą ilość poległych padały trony, kiedy królowa Wiktoria o jednego polskiego powstańca — (co prawda był to hrabia Plater) — pisała listy odręczne do cara, — i tak dalej, i tak dalej, i tak dalej. Car był właśnie uwikłany po uszy w podwójny konflikt: wewnętrzny i zagraniczny. Właśnie przeprowadzał u siebie w Rosji uwłaszczenie chłopów, lawirując pomiędzy oporem konserwatywnych ziemian a buntami anarchicznych muzyków. Właśnie prowadził swoją misterną dyplomatyczną grę z Napoleonem III, starając się o to aby cesarz Francuzów przestał być Kominternem wszystkich uściskanych narodowości w Europie. Wreszcie był to wciąż jeszcze okres w którym Aleksander II szedł na kompromisy. Zaraz po krwawym starciu Rosja się cofnęła. Namiestnik Górczakow oświadczył, że winni oficerowie będą ukarani, przyjął delegację obywatelstwa, zdał rządy miasta w ręce komitetu obywatelskiego i jego straży ochotniczej. Naraz zniknęli z ulic Kozacy i Czerkiesi. Jakaś niemal ludowa milicja, swojska, amatorska i polska, zajęła jej miejsce. Pogrzeb Pięciu Poległych miał być monstre obchodem. Cała Polska nim żyła, cały świat o nim pisał. Obchód robiono potem długo, pełne tygodnie, drukowano obrazki, poświęcano medaliki, pisano wiersze; zaczęto wdziwać żalobę narodową. Wszystko to było bardzo piękne, rzecz jasna, a przede wszystkim ogromnie polskie. Tak, ale — co dalej?

Towarzystwo Rolnicze, ów krajowy „sejm de facto”, zebrał się niezwłocznie i ponownie nie po to, rzecz jasna, aby radzić nad sadzeniem grochu czy importem peruwiańskiego guana, ale właśnie tym co dalej? Dalej „adres do tronu” narzucal się zebranym. Chciała go i Rosja. Czegoż Polacy chcą? Czy istnieją takie warunki, za cenę których Rosji na Zachodzie przestałaby wciąż wadzić sprawa polska, osiągnięty byłby spokój wewnętrzny, umożliwiające dalsze słowiańskie plany? Czego Polacy chcą? Petersburg dawno naglił Górczakowa aby to wysondował, a Górczakow przez różnych ludzi przypierał do muru Zamoyskiego. Ale Pan Andrzej rozkładał ręce. Był to jego ulubiony gest. Cóż on, jednostka może powiedzieć? Ale jest Towarzystwo Rolnicze. Ono powie za kraj. I nocą z 27 na 28 luty Towarzystwo Rolnicze zeszło się na najważniejsze

obrady w czasie całego swego istnienia. Tu nie chodziło już o typ pluga czy trójpolówkę, o orkę głęboką, czy płytką. Najpoważniejsza i jedyna organizacja społeczna kraju miała powiedzieć władzy czy i na jakich warunkach możliwe jest pojednanie pomiędzy Polską a Rosją.

Ludzie z innego pokolenia marzyliby o takiej chwili. Kółłataj który przystąpił do Targowicy, Czartoryski który był ministrem spraw zagranicznych Aleksandra, Staszyc który był radykałem, ludzie takiego pokroju marzyliby kiedyś o takiej chwili. Ale tłum notablów Towarzystwa Ludowego nie składał się z Kółłatajów, Czartoryskich i Staszyców, ale z Hreczko-sejskich, Poczcziwińskich i Mociumpańskich. Aby dorość do swej roli „sejm de facto” musiałby być senatem mędrców. Tymczasem nie był nie tylko senatem, nie był nie tylko sejmem, ale nie był nawet sejmikiem. Był po prostu odpustem. Gdyby na tym zebraniu przeważali ludzie konspiracji, to zamiast adresu do cara uchwaliliby manifest niepodległościowy. Car, świat i naród wiedziałby, że innej formuły jak niepodległość w granicach z 1772 roku nie ma. Oczywiście, w niczym by to Polsce nie pomogło, ale byłoby choć to. Świat wiedziałby że cała Polska stoi za rewolucją. Gdyby owej nocy na sali Resursy Kupieckiej obradowali realisci polityczni to za cenę uznania Rosji zażądałby takich, innych, jeszcze innych, ustępstw. Tak z Habsburgami postąpili w innym czasie Węgrzy; tak z tym samym carem postąpiła w tym samym prawie czasie roztropna Finlandia. Ale w tym sek, że ów sejm de facto nie składał się ani z „czerwonych” ani z naprawdę „białych”. Bał się panicznie okrzyku „zdrada” jeśli pójdzie na ustępstwa nawet w sprawach tak oczywiście przegranych jak granice sprzed lat dziewięćdziesięciu. Na okrzyk „do broni” brakło zaś szaleństwa. Noc zbiegała, mowy się wlokły, odpowiedzi nie miano. A odpowiedź trzeba było dać.

Ku największej wściekłości już i tak zakłopotanego Towarzystwa wyplłynął projekt konkretny. Przyszedł on od Margrabiego. Wielopolski, rzecz znamienna, nie przyniósł go sam. Czy samo zjawienie się niepopularnej postaci już położyłoby projekt? Czy Margrabia miał dla tego odpustu za wiele pogardy? Mniejsza o to. Dość że jego projekt przyniósł, zgłosił i bronił, Tomasz Potocki. Był to — zdawało się — dobry poseł. Szwagier Wielopolskiego, potomek wielkiego rodu, był inwalidą z powstania listopadowego. Pod Długosiodłem, w jednej z tych arcy polskich szarż ułańskich, stracił obie nogi. Jeśli człowiek co lał krew w walce z Rosją przemawia za porozumieniem z Rosją mogłoby to, zapewne, tylko przemawiać za nim. Niestety, szlachta wolała znacznie bardziej tych co ani krwi dotąd nie leli, ani jej leć nie mieli, a tylko darli się ze ani piędzi. Potockiemu zarzucano zresztą że jest „chłopotomanem i słowianofilem”. Był on z dawna zwolennikiem zniesienia pańszczyzny, uważał że Polacy zbyt wiele mówią o polskości, Witebska a zbyt mało o polskości Poznania. Toteż uważano go, oczywiście, za szkodliwego marzyciela. Ci co milczeli o Poznaniu i sławili dobrodziejstwa pańszczyzny, uchodzili, rzecz jasna, za tęgie umysły.

Ale nawet wtedy gdyby poseł Wielopolskiego był typowy plytkiewicz, z gatunku tak pasującego do popularności polskiej, nie wiele by wskórał. Projekt jaki przynosił był bowiem projektem konkretnym. Stwierdzał on wyraźnie, brutalnie nawet, uznanie władzy cesarskiej z uznaniem praw narodu. Prawa narodu to były polska administracja, polskie szkolnictwo średnie i wyższe, polska odrębność Królestwa. Właśnie Królestwa. Wielopolski wyraźnie stawał na linii Bugu. Poza tą linią cesarz rosyjski był dla niego cesarzem rosyjskim. Ale w ziemiach po Bug był tylko królem polskim. Absolutnym wprawdzie, to jasne. Wielopolski nie żądał przywrócenia tej konstytucji z wyborami, z sejmem, jaka wyrosła z Traktatem Wiedeńskim, a przepadła z Powstaniem Listopadowym. Wielopolski nie wysuwał żądania wskrzeszenia polskiej armii. Wielopolski

wiedział że tych trzech rzeczy: konstytucji, armii polskiej i Kresów, Petersburg nie odda. Ale to co wysuwał było do przyjęcia.

Owej nocy Towarzystwo Rolnicze stało na rozdrożu. Zza okna z lutowym mrozem dolatywały pomruki ludowej burzy. Krakowskim Przedmieściem przecwałowały niepewnie i nerwowo patrole kozackich razwiedek. A oni mieli do świtu udzielić swej odpowiedzi. Czy idą na ustępstwa wobec Rosji byle ona na ustępstwa poszła? 1772, 1815, 1831, Rejtan, sejmy rozbiorowe, przeszłość, teraźniejszość... Ale był nie tylko projekt Wielopolskiego. Był jeszcze projekt Stawiskiego.

Dziś my nie wiemy kto był ów pan Edmund Stawiski. Ale pociesmy się: historycy wiedzą o nim nie wiele więcej. Był to, w bliżej nieokreślony sposób, zasłużony znawca sprawy włościańskiej. W owych czasach pełno było takich znawców i wszyscy zawsze byli zasłużeni. Poza tym był to gładki, kochany, serdeczny człowiek, taki jak oni wszyscy w tym Towarzystwie Rolniczym, — a także w całej tej Polsce. Taki pan Andrzej Zamoyski — w jeszcze mniejszym formacie. Otóż pan Edmund pisał mowy i wygłaszał toasty, a wszyscy podziwiali ich gładkość, takt, układ, godność i czczość. Toteż owej nocy wpłynął i projekt zacnego pana Edmunda. Poparła go gorąco sama wyrocznia opinii polskiej — pan Andrzej Zamoyski. Warto posłuchać co pan Andrzej widział tak przekonującego w elokubracie pana Edmunda? To właśnie że „nic nie żądając, żąda jednak wszystkiego.” Albowiem „prosić o nic nie możemy, a żądać nie mamy prawa”.]

I istotnie projekt adresu do cara opracowany przez pana Edmunda był pod tym względem niedoścignionym ideałem. Można by było go wydać i dzisiaj w wypisach ad usum polskich premierów, wodzów naczelnych, ambasadorów i pomniejszych mężów stanu, aby przynajmniej wiedzieli jak kazać swym sekretarzom układać przemówienia w których długo mówiąc nie powiedzieliby nic. Przynajmniej Pan Edmund czynił to we wzorowej polszczyźnie i kulturalnej formie. Była tam więc mowa o opatrności, o warunkach bytu, o kościele, o społeczności, o poznaniu celów, o zasadach płynących z ducha narodu, i o bardzo wielu innych niemniej pięknych rzeczach. Nad ranem Tomasz Potocki odwiózł Wielopolskiemu jego projekt odrzucony jednomyślnie, a około południa kancelaria namiestnika Gorczakowa miała już i projekt Stawiskiego, — jednomyślnie przyjęty.

Na Zamku stary księżę Gorczakow czytał go raz i drugi. Potem wziął do pomocy biurokratów rosyjskich i polskich. Czytali razem. Oglądali tekst polski i francuski, znowu polski i znowu francuski. Ale nie mogli zeń zrozumieć niczego. Polska, jak dziewczyna z piosenki, nie mówiła „tak” i nie mówiła „nie”. Ale takie dziewczyny są miłe tylko w piosence, w życiu zrazu nas podniecają, potem szybko nam brzydą. A w polityce? Trudno! W okresie w którym Polska utraciła doświadczenie polityczne, Rosja je nabyła, w okresie gdy Polacy wydawali ulotki Rosjanie wygrywali układy. Brak własnego państwa już wywarł swój wpływ. Kraj, nachylony nad adresem pana Edmunda mówił: „jakkie to piękne”. Świat czytając ten sam adres w „Times’ie” i w „Le Temps” mówił: ci Polacy są naprawdę nierealni. I właściwie wszyscy, i Kraj i Świat, mieli trochę racji.

Z kolei namiestnik przeszedł do lektury odrzuconego jednomyślnie projektu Wielopolskiego. Po swej klęsce u rodaków Margrabia usunął się był do Chrobrza. Nawet nie doczekał jeszcze jednego narodowego obchodu: pogrzebu pięciu poległych. Było to zupełnie nie po polsku — i zupełnie w jego stylu. „Przekreśliliśmy go na zawsze” — mówiła Warszawa. W istocie rzeczy było wręcz przeciwnie. Najbardziej znieawidzony, pogardzany, ośmieszony nawet, a przede wszystkim najbardziej samotny człowiek w Polsce, teraz właśnie zaczynał swój start do historii. Po tygodniu wzywa go Gorczakow telegraficznie; w Warsza-

wie zaczynają się rozmowy. Trwają one przez cały prawie marzec. Ich wyniki powędrowały do Petersburga, gdzie poddano je pośpiesznie Radzie Ministrów. 26 marca Aleksander II podpisywał w Pałacu Zimowym ukaz o reformach w swym Królestwie Polskim, oraz nominację mocą której Aleksander hrabia Wielopolski, margrabia Gonzaga Myszkowski obejmował stanowisko dyrektora wyznań religijnych i oświecenia publicznego w Królestwie. Tytuł był skromny. Rola była olbrzymia. Zdumienie narodu największe.

* * *

Dzięki czemu ludzie dochodzą do władzy będąc samotni, niepopularni, znieawidzeni? Dzięki samym sobie. Wielopolski docenił i wyzyskał trafnie splot sytuacji; wewnętrzne kłopoty Rosji i jej pragnienie spokoju w sprawie polskiej; zagraniczną politykę Rosji — jej flirt (i dąsy na przemian) z Francją, gdzie znowu spokój w sprawie polskiej był potrzebny dyplomacji rosyjskiej. Reformistyczne tendencje samego cara, a wreszcie jeszcze jedną okoliczność maluczką a ważką. Tak maluczką że jej później niemal nie dostrzegli nasi wielcy historycy, choć ją dobrze docenili już wówczas bardziej życiowi od wielkich historyków współcześni. Oto w samej twierdzy wroga, na Zamku, w otoczeniu namiestnika, miał margrabia naturalnych sprzymierzeńców. Byli nimi polscy biurokraci w rosyjskiej służbie.

Ze szkół wynosimy mylne wrażenie jakoby z upadkiem Powstania Listopadowego młoda państwowość Królestwa Polskiego runęła w całości. Tak nie było. Prawda, znikł sejm, senat, konstytucja, odrębna od Rosji armia, ale pozostały pewne zręby administracyjne Królestwa, takie jak Rada Stanu, Rada Administracyjna, Bank Polski, granica celna. Jedne z nich polikwidowano w następnych latach, inne ograniczono, ale część tych urzędów polskich oparła się burzy mikołajewskiej.

Było to tak jakby po pożarze domu pozostały części fundamentów, a nawet ściany, choć runął dach i inne ściany. Otóż Wielopolski chciał się dogrzebać do tego wszystkiego co pozostało po pożarze, i od tego rozpocząć odbudowywanie stopniowe domu.

Ocalały zaś nie tylko pewne instytucje. Zachowali się i ludzie żywi: urzędnicy polscy. Zapewne, byli to ludzie o zgoła podejrzanym patriotyzmie, wątpliwych charakterach, lecz o niewątpliwej wiedzy i doświadczeniu państwowym. Jakby o tym powiedziano z zachwytem we Francji ils savaient gerer les affaires. Byli wśród nich dawniej pisarze, jak Szaniawski, byli jeszcze i teraz świetni prawnicy jak Hube, zręczni intryganci jak Karnicki no i wreszcie ludzie mierzący wysoko i mogący wiele, jak znieawidzony w kraju przechrta a „protektor” margrabiego na Zamku, prokurator Enoch. Jedno jest pewne. Rzadko kiedy w swej historii (a już na pewno nie za naszego życia) miała Polska równie wytrawną administrację. Pomimo rządów Paskiewicza, pomimo panowania Mikołaja, dokonali oni tego co zawsze zalecają ludzie bez charakteru, a umięją dokonać ludzie zręczni; przetrwali. Potrafił przetrwać. Wprawdzie Królestwo Polskie nasiąkało coraz bardziej urzędnikami Rosjanami, i to nie tylko na wyższych szczeblach; wprawdzie faktycznym rządcą Królestwa był ostatnio przewrotny i złośliwy Muchanow; zajmował on właśnie to stanowisko na które teraz przechodził Polak — Wielopolski. Ale Polacy w administracji Królestwa bronili się milczkiem, uparcie, wytrwale. Dorównywali Moskałom w wiernopoddaństwie, przewyższali ich w wiedzy, rutynie, znawstwie terenu. Toteż każdorazowy namiestnik słuchał ich nawet wtedy jeśli nie byli na naczelnych stanowiskach. Zawsze stanowili kamarylę ukrytą, sieć szarych eminencyj, która, jak wiemy, potrafi być potężna. Otóż ta wpływowa klika czcząc cesarza-Rosjanina, czołgając się przed namiestnikiem-Rosjaninem, nienawidziła Rosjanina-kolegę-urzęd-

nika. W stosunku do tej czeredy rosyjskich urzędników jacy, mimo heroicznego oporu Polaków, wlewali się coraz liczniej w kadry administracji Królestwa, panowała święta nienawiść ich polskich kolegów. Może dla nich, w stosunku do zaborcy, twierdzą nie był każdy próg, ale na pewno była im twierdzą każda posiadłość. Dla Mickiewicza i Puszkina sprawa polska była jednym, dla cara i powstania czymś innym, a dla biurokracji polskiej i rosyjskiej jeszcze czymś innym. Łąką na której jedni się pasą, a drudzy chcieliby paść się sami. Mickiewicz i Puszkini to wielcy poeci, ale życie składa się z wielkich ilości szarych dni i wpływ szarych urzędasów bywa na nie, niestety, znacznie większy, znacznie bardziej konkretny i trwały.

Otóż wszystkie projekty reform, jakie w toku marcowych rozmów z Górczakowym przedłożył był Margrabia, musiały zachwycić ową polską biurokrację wokoło Zamku. Przede wszystkim oznaczaly one odsunięcie rosyjskiego czynnika wojskowego od steru, sprowadzaly go do roli załóg wojskowych; a żadna poważna biurokracja na świecie nie może znieść szarogęsiowania się armii w dziedzinach jakie do armii nie należą. Tym bardziej obcej armii. Po drugie konkretne plany reform, — szkolnej, żydowskiej, chłopskiej, urzędniczej, miejskiej, musiały pociągać wszystkie ambitne żywioły biurokratyczne. Tak było zawsze. Urzędnik, jeśli jest kimś, marzy nie tylko o podwyżce, o awansie, zabiega nie tylko o spotkanie swego ministra w windzie, a dyrektora na korytarzu. Marzy jeszcze i o tym aby zamiast odwalac głupie papierki inicjował duże rzeczy, by działał, wywierał wpływ, organizował, stanowił. Tak samo ambitny wojskowy cieszy się z wojny, garnie się do udziału w kampanii zamiast siedzieć w hotelowym biurze. Czytając plany reform jakie zalecał Wielopolski, biurokraci warszawscy musieli zapalać się do myśli że oni, właśnie oni, będą te rzeczy przemyślane głęboko, opracowane szczegółowo, logiczne w koncepcji, wprowadzać w życie. Ich rola nimi rosła. A wreszcie działała jeszcze jedna, nader życiowa okoliczność. Oto projekty margrabiego przewidywały przede wszystkim wymiecenie z Królestwa tej czeredy rosyjskich urzędasów, która zlatywała się tu z głębokiej Rosji, ciemna, chciwa, złodziejska, wyniosła, obca. Panowie szlachta z Towarzystwa Rolniczego pomijali tę czeredę wzgardliwym milczeniem. Dla nich przeciwnikiem był car, Petersburg, orzeł dwugłowy: owe ruskie robactwo wydawało się już pomniejszym złem, następstwem tamtego, wielkiego. Jeśli już cierpi się tamto, można cierpieć i to. Ale biurokraci polscy myśleli inaczej niż ziemianie. I oto naraz w tym społeczeństwie polskim z którego oni byli wyobcowani, traktowani nieco jak zdrajcy, nieco jak lokaje obcy, nieco jak owi biblijni celnicy w Ewangelii, pojawiał się człowiek wielki nazwiskiem, umysłem, wykształceniem, a wreszcie odwagą cywilną, i on podejmował, od strony społeczeństwa, ich ciche troski. Jego program w stosunku do Rosji nie rozpoczynał się od Witebska i roku 1772, ale od chwili obecnej i od tych drobnych pasażów rosyjskich. Nareszcie ktoś! — powiedzieli sobie polscy urzędnicy wokoło namiestnika.

Gdyby sprawa polska była w tej chwili załatwiana na niskim szczeblu, Wielopolski nie miałby szans. Tak samo jak przychylnie mu były — z racji własnego interesu — polskie elementy biurokracji Królestwa, tak samo wrogiem mu były — (to się jeszcze pokaże) — rosyjskie elementy w teje biurokracji. Ale na ten raz, sprawa polska nie leżała w ich ręku. Leżała wyżej. Załatwiał ją sam namiestnik, książę Górczakow, który niebawem miał prowadzić politykę zagraniczną Petersburga, traktować z Napoleonem, rozmawiać z Bismarkiem. Załatwiał ją sam car. Dla nich kwestia czy w Sandomierskim lub Płockim urzędować będą Iwanowy, Popowy i Smierdiukowy, czy też Wolscy, Jankowscy i Koziczcy, była zupełnie drugorzędna. Ważne było tylko pod którą z tych obsad ziemie nad Wisłą będą przynosić mniej kłopotów. Właśnie okazało się, że pomimo Kozaków na ulicach Warszawy i Muchanowych na warszawskich

urzędach Polska przyczyniła same kłopoty najjaśniejszemu panu. Może bez Kozaków i Muchanowych będzie przyczyniła mniej kłopotów, lub nie przyczyniła ich wcale? Wszak to właśnie dowodził, argumentując dobitnie, rzeczowo, ze swą niemiecką logiką, margrabia Wielopolski.

* * *

Nie trzeba sądzić by te szczupłe zmiany z jakimi Wielopolski zaczął były jego ideałem. Wręcz przeciwnie. W rozmowach marcowych z Gorczakowym Wielopolski przedstawił program bardzo obszerny. Obejmował on nie tylko stworzenie urzędniczej, opracowującej ustawy, Rady Stanu, przywrócenie uniwersytetu, województw, dawnego (sprzed 1830) herbu i mundurów urzędniczych, nie tylko stworzenie samorządu miejskiego i wiejskiego, ale nawet Rady Senatorskiej zwolywanej corocznie, i Rady Wolnej co dwa lata. Miały być, to prawda z cesarskiej nominacji, ale jednak coś jak parlament. Gorczakow obciął z tego przede wszystkim to co zbyt pachniało parlamentem, zachowując Radę Stanu, w miejsce uniwersytetu wstawił nową nazwę „Szkoła Główna”. Samo słowo „uniwersytet” było u władców ówczesnej Rosji przeraźliwym pojęciem.

W Petersburgu cesarz obciął jeszcze wiele z tego czego nie skreślił Gorczakow. Pozostała zatem autonomia administracyjna, reformy szkolne, włościańskie, prawne, wyodrębnienie Warszawy od Petersburga, Królestwa od Rosji, stworzenie nad Wisłą ośrodka rządzenia tym krajem. Było to niewątpliwie mało. Ale znowu pamiętajmy, że za Wielopolskim w tej chwili nie stał naprawdę nikt. To nie jego projekt przeszedł był w Towarzystwie Rolniczym, to nie on, a jego przeciwnik sprawował w Polsce rząd dusz, to nie za nim, a za jego przeciwnikiem szło społeczeństwo z karnością właściwą wprawdzie nie Anglikom czy Francuzom, ale niewątpliwie baranom. Gdyby Wielopolski mógł powiedzieć na Zamku: „Mam za sobą kraj. Przemawiam w imieniu paru milionów moich oświeconych rodaków. Opinię Polski wyrażam ja” — to zapewne mógłby być w tej chwili wytargować więcej. Ale właśnie z woli społeczeństwa polskiego, z woli pana Andrzeja, pana Edmunda i innych narodowych wyroczni, był on samotny. Do porozumienia z Rosją mógł włożyć tylko kapitał swego rozumu. Innego kapitału nie miał. Kapitał ten — kapitał zaufania, tak cenny w polityce — miał za to Zamoyski. Ale sam go nie używając, nie dawał go użyć i innym.

W kilkanaście dni po objęciu przez Polaka wysokiego stanowiska w administracji Królestwa społeczeństwo postanowiło pokazać jeszcze dobitniej, wobec świata, Rosji i Polski, jak bardzo ów Polak — Wielopolski — nie reprezentuje Polaków. W tych czasach kiedy pięć ofiar w starciu ulicznym było już wydarzeniem europejskim, wielkanocne święcone wystarczało dla demonstracji. Właśnie — co za szczęście — przypadła Wielkanoc. Wszystko co żyło w Warszawie, co liczyło się i znaczyło, pośpieszyło hurmem na kielbasy, szynki, baby i jajka do Pana Andrzeja. Owego roku wielkanocne swe obżarstwo spełniali jeszcze jako akt narodowy. Dziś wydaje się to nam tak dalekim i naiwnym jak owe czasy frejlin, politycznych hrabin i adresów do tronu. Ale jeszcze w dziesięciolecia całe potem rozprowadano o owym święconym jako o politycznej demonstracji. I była to demonstracja. W Rosji przeciwnicy porozumienia z Polską mieli dzięki polskim gorliwcom jeszcze jeden argument: „widzicie, Wielopolski nie reprezentuje nikogo. Nie poparty przed dojściem do władzy, nie uzyskał poparcia po dojściu do niej”. Ale Wielopolski i tu się nie cofnął. Począł łamać.

Kiedy społeczeństwo, dojrzałe do niepodległego bytu nie posiada własnego państwowego życia, wtedy tworzy sobie formy poboczne takiego życia. Żyje poza państwem. Za naszych czasów mleczarskie kooperatywy ukraińskie w Małopolsce Wschodniej były dla Ukraińców czymś znacznie więcej niżby nimi były dla narodu we własnym niepodległym państwie.

Kiedyś, dla Irlandii, kościół katolicki był jeszcze i przystanią życia narodowego. — Otóż takimi formami życia narodowego było w Królestwie Polskim owych lat znane nam już Towarzystwo Rolnicze — i Kościół. Na gruzach własnej państwowości Kościół wyrósł na jakąś ersatz-państwowość: wobec braku reprezentacji społecznej Towarzystwo wyrosło na ersatz-parlament. Ale obecnie, zdaniem Margrabiego, tamte czasy się kończyły, a zaczynała nowa era: stopniowej odbudowy własnego państwa. Nie na skutek cudu, łaski nieba, kataklizmu, pomocy obcej, ale kolejnej ewolucji. Owe namiastki poczynają wadzić. Toteż w powitalnej mowie mianej niebawem do przedstawicieli duchowieństwa ultrakatolicki Margrabia powiedział wyraźnie, że nie ścierpi mieszanina się kościoła do polityki, nie będzie tolerował „państwa w państwie”. W stosunku do Towarzystwa Rolniczego postąpił jeszcze ostrzej, bo je rozwiązał.

Bardzo mało obrońców Margrabiego zdobyło się dotąd na obronę obu tych kroków. Natomiast prasa zagraniczna tych czasów, na ogół przychylna Polakom a nie Margrabiemu, rozumiała je lepiej. A jednak postępowanie Wielopolskiego nie mogło być inne, jeśli miało być konsekwentne. Ta rola polityczna jaką odgrywał kościół była tylko wynikiem niezdrowych stosunków zaborczych, braku własnego państwa. Nie wychodził na niej dobrze ani naród, wtlaczany do kruchty, ani kościół, wpłątany w walki polityczne. Z Towarzystwem Rolniczym było to jeszcze bardziej oczywistym. Znaczenie fachowe tej instytucji było — jak słusznie ocenił tak znakomity badacz jak Władysław Grabski — arcymierne, za to rozpolitykowanie olbrzymie, ale niestety, jak się to objawiło owej nocy obrad w Resursie — pozbawione wszelkiej zdolności do pobrania za naród jakichkolwiek decyzji. Wielopolski mógł się spodziewać, że w swej trudnej grze z rosyjskim partnerem będzie stale narażony na jakieś wycieczki kościoła czy Towarzystwa w dziedzinę polityczną. Chciał to uprzędzić. Z kościołem, jak zobaczymy, był poza tym w najlepszych stosunkach. Niebawem postarał mu się o znakomitego kierownika w Polsce, dbał o podniesienie poziomu nauk w seminariach, ułatwiał kontakt z Rzymem. Ale z polityki go sobie wyprosił. Pełno ludzi z Towarzystwa Rolniczego zawezwał niebawem do współpracy w reformie agrarnej. Ale z polityki ich wyobcował. Był to właściwie jedyny polityk polski który poszedł na pewien „rozdział kościoła od państwa”, w skromnych, rzecz jasna, zarysach, przeprowadzony bez złości do Kościoła, a przeciwnie, z poszanowaniem jego roli duchowej, jeśli nie świeckiej. Tak pojmowali zresztą stanowisko Wielopolskiego współcześni. Tak je też rozumieli badacze tej epoki.

Tymczasem nadszedł nowy krwawy wypadek. Oto na skutek rozwiązania Towarzystwa Rolniczego doszło do nowych zaburzeń. 8 Kwietnia tłum demonstrujący przed Zamkiem dostał się pod ogień Rosjan. Było to zgodnie z świeżo opracowaną ustawą o zbiegowiskach, jaką właśnie wydał Wielopolski. Wzorowana na podobnych ustawach angielskich posiadała ona cały ceremoniał przestróg jakie wojsko miało zastosować przed oddaniem ognia. Bicie w bębny, potrójne wezwanie, i t.p. Ale tłum nie znał jej jeszcze i słysząc bicie bębnów tylko się zbiegł. Paręset ofiar w zabitych i rannych było na placu. Tym razem nie było to pięciu poległych. Była to rzeź.

Na wiadomość o niej, Wielopolski przerywa urzędowanie i śpieszy w karetce na Zamek. Tłum poznaje Wielopolskiego. Karetka zostaje obrzucona kamieniami, zdemolowana, zatrzymana. 59-letni starszy pan, o tuszy Churchilla, wysiada z niej i piechotą, z synem i doktorem Chałubińskim, przeciska się na Zamek wśród wyzwisk i kamieni tłumu, a strzałów Rosjan. W pięć minut po jego dostaniu się na Zamek, wybiega goniec od Górczakowa; wstrzymać ogień! Na Zamku tymczasem rosyjski generał Chrulew kłóci się z roztrzęsionym polskim dyrektorem wydziału spra-

wiedliwości, Wołowski. Chrulew twierdzi że on tylko wykonał ustawę której akt podpisał Wołowski; Wołowski lka, że tamten wprowadził ją w życie za wcześnie. Na to Wielopolski zwalnia obu od odpowiedzialności. Wszak to on uplanował ustawę; on pokryje jej wykonanie. W kilka godzin później odezwą rozplakatowaną na ulicach czyni to istotnie.

W Polsce, gdzie krew zawsze przeraża, gdzie rządzący niczego tak się nie boją jak brania odpowiedzialności na siebie, gdzie zwyczajem każdego szefa jest zwać winę na podwładnych, krok ten robi wrażenie. Po dymisji rozhisteryzowanego Wołowskiego, Wielopolski obejmuje i tę tekę. Sprawuje odtąd nie tylko sprawy wyznaniowe i oświaty, ale sprawiedliwości. Faktycznie zaś, prawie całość cywilnych rządów w Królestwie. Jego śmiałość, zimna krew i decyzja, pochopność w braniu odpowiedzialności za rzeczy którym winien nie był, zaimponowały wszystkim. Petersburgowi, namiestnikowi, biurokracji, Rosjanom. A nawet zaimponowały i rodakom. Prestige rósł. Opornie, ale rósł.

W tym cośmy napisali na tych kilku ostatnich stronach nakreśliłmy tylko etapy którymi Wielopolski umacniał się we władzy. Mowa do duchowieństwa; rozwiązanie Towarzystwa; zachowanie się w zaburzeniach oto te etapy. Ale w tym samym czasie od pierwszego dnia swego urzędowania, w jakimś gorączkowym pośpiechu, Wielopolski wprowadzał jedną za drugą reformy. Historia miała je związać na zawsze z jego nazwiskiem. My z dalekiej perspektywy możemy powiedzieć jedno: rzadko kiedy w historii polskiej tyle, tak ważnych i tak celowych reform przeprowadzono w tak niezmiernie krótkim czasie. Rzadko kiedy mieliśmy do czynienia z reformami tak postępowymi i tak przemyślanymi. Ten człowiek doszedłszy do władzy wiedział przynajmniej co z władzą tą robić. A każdy z nas wie, że nie o wielu włodarzach Rzeczypospolitej można powiedzieć to samo.

Już sam zakres owych reform jest imponujący. Obejmują one bowiem oświatę, administrację, sprawy agrarne, sprawę żydowską. Zaczynają od spolszczania administracji. W parę tygodni po dojściu Wielopolskiego do władzy „Gazeta Rządowa” poczyną drukować codzienne olbrzymie listy urzędników „uwolnionych” — tak to wtedy łagodnie nazywano — od służby państwowej. Są to wszystko Rosjanie czy zaprzędani zupełnie Rosji karierowicze. Na ich miejsce przychodzi tłum Polaków, ściąganych przez Wielopolskiego z Galicji i Poznańskiego, czasem Litwy, gdy miejscowych wykształconych ludzi jest za mało. Równoległe do tego postępuje reforma agrarna. Była ona paląco na czasie. Gorączka demonstracyj jaka ogarnęła od lutego miasta przerzuciła się już od marca na wieś. Tylko z tą różnicą, że miasto szło przeciw Rosji, gdy wieś przeciw dworowi. Wielopolski pamiętał o roku 1846 w Galicji. Toteż z pośpiechem, już 16 maja, wydał ustawę która wprowadzając okup pańszczyzny położyła jej kres na ziemiach Królestwa Kongresowego. Było to przed powstaniem, przed aktami carskimi, przed Milutinem i całą późniejszą działalnością caratu zmierzającą do skłócenia na zawsze polskiej wsi i polskiego dworu. Projektuje ustawę o samorządzie gminnym, która władze na wsi przenosi z rąk właściciela folwarku, ziemianina, do rąk samych chłopów. Wprowadza w ciągu lata 1861 wybory do nowych, powołanych z jego inicjatywy, ciał samorządowych powiatowych, gubernialnych i miejskich, a wreszcie rozpoczyna pracę nad dwoma reformami które w pełni wejdą w życie dopiero w następnym roku: szkolną i żydowską. Pierwsza polegająca będzie na wyposażeniu Królestwa w 3.000 szkół początkowych, 24 powiatowe, 15 gimnazjów, Liceum w Lublinie, Szkołę Główną w Warszawie i Instytut Politechniczny w Puławach; druga, rozpoczęta już teraz, na pełnym równouprawnieniu żydów.

Rzecz jasna, że żadna z tych reform nie była zmianą rewolucyjną. Chłop został zwolniony od pańszczyzny, ale nie otrzymał jeszcze własności

ziemi. Reforma nie załatwiała sprawy bezrolnych których na wsi było koło miliona, co stanowiło niemal ćwierć całej ludności Królestwa. Zakres uprawnień samorządu był szczupły, raczej doradczy tylko: (choć, nawiasem mówiąc, znacznie jeszcze rozleglejszy od tych ram w jakich za naszych czasów obracał się samorząd w niepodległej Polsce). Równouprawienie żydów знаło pewne ograniczenia: ale były one wyraźnie przejściowe, i miały wygasnąć ostatecznie z chwilą gdy polska szkoła i przymus polskiego języka narzucony żydom w aktach prawnych dokona asymilacji. Wielopolski był niewątpliwie konserwatystą. Ale należał do konserwatystów tego rodzaju co Disraeli w Anglii, Stein i Hardenberg a potem Bismarck w Prusach, którzy zamiast lewicy sami przeprowadzali reformy. Z tym wszelako, że kraj który reformował był bardziej od tamtych zacofany, a społeczeństwo nie udzielało poparcia. Lewica „czerwonych” nie przyjmowała żadnych reform, póki nie będzie niepodległości: prawica „białych” nie popierała ich także.

Zjawisko jest bardzo ciekawe. Przeglądając literaturę epoki trudno znaleźć u współczesnych sądy krytyczne o reformach Wielopolskiego. Nienawidzono człowieka; chwalono dzieło. W sprawie agrarnej zasięgał zdania fachowców, ziemian i ekonomistów: w sprawie szkolnej pedagogów, uczonych i pisarzy: w administracyjnej, korzystał z wzorów obcych i biurokratów zawodowych: w żydowskiej z szeregu postępowców. Któż mógł oponować przeciwko polszczeniu administracji, tworzeniu całej sieci polskich szkół i dwu wyższych uczelni? Wprowadzaniu samorządu? Ba! Nawet kwestia żydowska w owych czasach wyglądała inaczej niż za naszych. Ruch rewolucyjny na wypródki z konserwatystami starał się wciągnąć żydów do polskiego społeczeństwa, pchał ich do demonstracji narodowych, do modłów za ojczyznę. Owa sielanka polsko-żydowska, taka nie do pomyslenia w innych czasach, wywołała wreszcie łagodne sprzeciwy duchowieństwa, które nie widziało racji aby w dniu rocznic narodowych Gęsia i Nalewki zapełniały kościoły, lub żeby bardziej patriotyczni narodowcy posuwali swe uczucia aż do uczęszczania na modły w synagogach. Nie było też jeszcze tłumów nagnanych z Rosji „litwaków” a faktycznym ministrem skarbu powstania styczniowego miał być niebawem bogaty asymilant — Kronenberg. Także i żydowska ustawa Wielopolskiego nie mogła oburzać opinii. — Ale, jak i inne reformy, nie pociągnęła jej. Naród stał obojętny. Najlepiej przyjął jeszcze przeprowadzone z końcem lata wybory do samorządów oraz nominacje do Rady Stanu. A gdy po nagłej śmierci starego Górczakowa i przejściowych rządach generała Suchozaneta przybył z Moskwy nowy namiestnik zruszczały francuz hrabia Lambert jedyną troską umiarkowanych były starania aby te pożyteczne niewątpliwie reformy przeprowadzał kto inny. Pan Andrzej.

Jak wytłumaczyć zjawisko że obóz który na wiosnę przybierał postawę Rejtana, jesienią już rozmyśla o tym aby samemu robić to co wtedy określał pochopnie „nową Targowicą”? Dlaczego w lutym porozumienie z Petersburgiem było zbrodnią, gdy je zawierał Wielopolski, a w październiku byłoby zbawienne, gdyby je robił Zamoyski? Czym wytłumaczyć te zmiany? Czy w międzyczasie carat przedzierzgnął się w anioła? Czy może naraz dawał Kresy, konstytucję, odrębne wojsko? Też nie. Czy kozacy przestali siec nahajami? Jak na złość, siekli właśnie jeszcze bardziej? Jakież jest więc wytłumaczenie tego, że ci co przed dziesięć miesięcy uważali porozumienie z Petersburgiem za zdradę stanu, teraz dawali do poznania że przestanie być zdradą stanu, jeśli zawrą je oni? Jest tylko jedna na to odpowiedź. Nawet przeciwnicy Wielopolskiego zrozumieli wreszcie, że niepodległej Polski tak bardzo jeszcze „nie czuć w powietrzu” jak o tym wróżył wieszcz pan Andrzej Zamoyski, musieli przyznać że reformy ich wroga przyniosły Polsce wiele, i że kulawe porozumienie

jest lepsze od braku porozumienia. Ale doszedłszy do takiego pomysłu nie zaczęli wcale Wielopolskiego popierać. Zaczęli go tym silniej zwalczać. Aby, rzecz prosta, zająć jego miejsce. W tej właśnie chwili jesiennej to Wielopolski przeszedł do ataku. Po śmierci Gorczakowa miał z jego następcami na namiestnictwie warszawskim najgorsze stosunki. Suchozanet, Lambert, wreszcie Luders, trzech generałów kolejno wysłani do Warszawy, wzmagali tak czy owak terror wojskowy i bezprawia. Kraj był znowu między falą narodowych obchodów i pogrzebów, a szarżami kozaków. Wielopolski żądał coraz więcej i coraz stanowczej, i to właśnie w tym okresie kiedy prawicowa opinia topniała jak wosk. Podawał się do dymisji. Wreszcie otrzymał rozkaz z Petersburga udania się do cara.

W Warszawie wszyscy sądzili że kariera „markgrafta” jest skończona. Radość jaka zapanowała wśród biurokracji rosyjskiej Królestwa równała się chyba tylko tej radości jaka zapanowała po salonach polskiego społeczeństwa. To prawda, że Rosja wprawdzie nie została odepchnięta do Dniepru: no, ale za to Wielopolski padł! Wielopolski zaś istotnie udał się nad Nową i z wykonaniem rozkazu carskiego zwlekał tylko. Już niepokoiono się w Rosji i zastanawiano czy nie wezwać oponenta kibitką?

Ale oponent pozostał w Warszawie dla jednej małej racji. Oto 3 listopada miało nastąpić otwarcie kursów przygotowawczych do przyszłego uniwersytetu otwieranego w Warszawie pod nazwą Szkoły Głównej. I człowiek stary bez którego Polska nie miałaby tej uczelni nie mógł sobie odmówić, wśród tylu cierpień i walk, jednej małej radości: widzenia tej chwili.

Po czym odjechał. I znowu, jak to w Polsce bywa, odczuto naraz, po niewczasie, jego brak.

D. C. N.

KAROL ESTREICHER

ŻYCZENIE

Jednego dnia w roku 1931, pewien młody doktor filozofii, którego imię zamilczę przez dyskrecję, uzbrojony w tajniki wiedzy konserwatorskiej, w zapal muzeologa i w doświadczenie życiowe jakie daje świeży dyplom naukowy, stał u wejścia do Collegium Maius gestykulując żywo. Protestował przeciwko zeszczeniu kapliczki św. Jana Kantego gdzie popełniono rzecz niesłychaną! Oto w izdebce z ołtarzem świętego profesora jakieś nieumiejętne ręce wybieliły ściany, polakierowały mense, wyczyszczyły lichtarze a z boku zawiesiły oleodrukowy obraz Serca Jezusowego odejmując patynę wieków zakątkowi. Na ołtarzu krzyczały kolorami anilinowych farb papierowe kwiaty, dwie sztuczne palmy wyrastały na stopniach, podłogę zaścielono linoleum w deseń lilii, a co już było najgorsze obraz świętego lśnił wyglancowany naftą i cebulą. Te porządki wykonano pośpiesznie widocznie przed niedaleką uroczystością patrona Uniwersytetu.

Stary bedel Michał Orkisz, który sześćdziesiąt lat służył w Muzeum Uniwersyteckim i zmarł z nim razem, spokojnie wytrzymał atak furii konserwatorskiej.

— Zakurzy się, pająki i muchy zawalają, kopeć od świec zaczerni, lichtarze pozielenieją, nie będzie za miesiąc znać nawet. Wilgoć tu wielka, zrobi swoje.

— Starożytny charakter kapliczki został bezpowrotnie zatarty.

— Jaki starożytny charakter panie doktorze? Sam pamiętam jak za rektoratu nieboszczyka pana Łepkowskiego całą kapliczkę na nowo zrobili. Okno wtedy wybili i witraż dali.

— Przywrócono wtedy stan pierwotny...

— Nowe sklepienie zbudowali, dali nowy ołtarz i obraz...
 — Obraz jest stary...
 — Gdzie tam? Pan Jabłoński go namalował, bo na starym nic nie było widać i był nadpalony od świecy właśnie jak twarz świętego.
 — W każdym razie tak jak obecnie kapliczka nie może pozostać. Kto jest odpowiedzialny za te porządki?
 — Niech się pan nie irytuje, przecie mówię że czas szybko zrobi swoje.
 — Ale chciałbym wiedzieć kto jest za to odpowiedzialny?
 — Ano pewnie zrobiła biała Antośka bo ona tu sprząta. Wedle swej najlepszej woli i za użebrane pieniądze — wzruszając ramionami mówił stary woźny.

Było coś w jego głosie co ostudziło zapal konserwatorski. Istotnie odświeżenie kapliczki miało smak prymitywny i tani ale zarazem było wzruszające. Dokonała go własnymi rękami kobieta zazwyczaj siedząca w kruchcie kościoła świętej Anny, cicha i zamodlona, która otaczała szczególną czcią świętego Jana z Kęt.

Znałem ją dobrze. Rankiem siadała na jednej z ławek plantacji opodal Uniwersytetu, jakby odetchnąć chciała słońcem i zielenią. Zbierała datki od studentów i profesorów, uważając ich za swoich dobrodziejów. Na zimę znikała. Gdy listopad strącił ostatnie liście z kasztanów, gdy sieć zaczęły deszcze i nastały dni krótkie chowała się, jak zwierzę zasypiające snem zimowym, by pojawić się w marcu z pierwszymi promieniami słońca.

Znałem ją dobrze od dawna. Przychodziła kiedyś do babki, potem oddziedziczyła matka opiekę nad nią. Nazywano ją białą Antosią od płócien-nych chust w które się owijała. Posługiwała kiedyś w Bibliotece Jagiellońskiej lecz nieszczęście wtrąciło ją w stan łagodnego obłędu, jak ludzie mawiają o tych którzy przebywają w świecie odmiennych wizji. Mówiła dziwne rzeczy i dziwnym językiem. Błogosławiła także swym dobrodziejom.

Historię białej Antośki opowiadał mi ten sam Orkisz. Oboje byli rodem z Rudawy. Jako kilkunastoletnia dziewczyna przyszła Antośka do Krakowa na służbę w Bibliotece, do szorowania i czyszczenia w składach ksiąg. Działo się to dawno, bardzo dawno...

— Taka głupia była że nie wiedziała nawet kiedy jej przyszło rodzić — opowiadał Orkisz — i jak się z niej inne dziewczuchy śmiały że ojca nie zna, zabiła ze złości dziecko. Cisnęła je w dół kloaczny zaraz po urodzeniu, a potem gdy dziecko naszli to żalowała. Nie obeszło się bez procesu i nawet do sądu na świadka panią dyrektorową a babkę pana adwokat ciągnął, bo chciał wywieść że z Antośki porządna dziewczyna była i że ją zamroczyło tylko. Kiedy ją z kryminału puścili wyszła na umyśle pomyłona i pod kościołem św. Anny lub tu pod świętym Kantym siada. Opiekował się nią brat Albert. Ludzie mają dla niej szacunek bo Brat jej odpuścił. Tak mówią. Ona dużo może...



Wielki jałmużnik Krakowa, brat Albert Chmielowski miał kiedyś wyjść z balu „pod Baranami” zmęczony przyjęciem i świetnym życiem które wiódł. W noc karnawałową, gdy księżyc oświecał zaśnieżone miasto szukał motywów malarskich. Wśród szkarp Biblioteki, obok kapliczki świętego Jana, spotkał Antośkę oplakującą swój grzech. Wtedyto pocieszając ją, miał pójść za nią i zstąpić w świat inny.

Nie wiedział o nim. Subtelny artysta, wykształcony w Monachium przyjaciel Witkiewicza, Gierymskich, Sienkiewicza, syn zamożnej rodziny, szczęśliwy i śniący o sławie, ujrzał zbiorowisko ludzkie którego się nie domyślał.

Po zasypaniu Wiślicka zostały w najuboższej dzielnicy na Stradomiu stare kanały, których nie zburzono. Przesztano ich używać gdy Wisła popłynęła głównym korytem a sklepione korytarze zdano na własny los. Było tam pustowisko zupełne a tylko na nową groblę przez lata zwożono śmieci. Miejsce zresztą było wyklete bo w niedalekim dworku na ulicy Smocze mieszkał Georg Pickel, ostatni kat krakowskiego sądu dziedzicznie tę godność piastujący. Olbrzym o byczym karku i niskim cofniętym czole, z wybaluszonymi gałami oczu, ze złotym łańcuchem na brzuchu, zgarbiony, z rękami do kolan, odstraszał każdego. Mieszkał samotny, składając pieniądze na posag dla swej córki, którą we Wiedniu kształcił. Tylko najodważniejsi zarhodzili do niego po kawałki sznura z szubienicy, po psi łój leczący choroby, po gwóźdź do przebicia wpiora, po pergamin na zaklęcie, po lubczyk i po różdżkę wodną. Wojavał z nim ksiądz Golian słynny kaznodzieja, wyzywał go z kazalnicy, ale Pickel twierdził że tylko więcej klientów ma po każdym takim kazaniu.

Śmieci nie wszystkich odstrasza. Wszędzie są tacy co razem z głodnym psem szukają w nich źródła życia. Śmietnisko na grobli przyciągało nędzę krakowską, a wyloty kanałów zastąpiły im dom. Kogo szpital św. Ducha wypuścił, kto z więzienia wyszedł lub kto bał się sprawiedliwości, z zasady szukał schronu za Smoczą ulicą. Była tam rzeczpospolita żebraków i nędzarzy, dziadów, śmieciarzy i włóczędzów, rządzona wedle ustaw własnych, tym silniejszych że umownych. Z Picklem miała ona znowę i pakt egzekucji, zawarty za opłatą roczną. Stało tam prawo że kto wmiesza się w ustawy brackie będzie pobity i policja winnych nie odszuka, co Pickel brał na siebie. I wiele innych praw tam przestrzegano i specjaliści od ran nieogajanych i od okaleczeń dzieci, od symulacji i od deformacji ciała, od targu stanowiskami, raz na rok przed wielkim odpustem św. Stanisława odbywali swe kontrakty. Zjeżdżały na nie dziady z całej okolicy, przybywały dziady kalwaryjskie i częstochowskie nawet, dla załatwienia swych kalectw, sporów lub kupienia dobrego miejsca.

Tam to, w wylocie kanału sklepionego w czasach gdy król zmurował miasto Kazimierz, w miejscu oświetlonym kagankiem schodzili się w nocy żebracy i nędza ludzka legła się razem ze szczurami. Tam gdzie tylko śmierć-wybawicielka zaglądała, zawlokła przyszłego dobroczyńcę Krakowa Antośka. Tam ujrzał ludzi pozbawionych człowieczeństwa, łachmany miał budzące odrazę. Tam poczuł powołanie twórcy zakonu Albertynów.

Jak prawa żebracze ominął, co uczynił że wyszedł stamtąd, że nikt nie porwał się na niego, pozostało jego tajemnicą i tych natchnionych sił jakie nosił w sobie. Faktem jest że niedługo założył w małym domku na Kazimierzu schludne i ciepłe schronisko, faktem jest że Pickel z Krakowa wyjechał i czego nie dokonał złotousty kaznodzieja to uczynił cichy i pokorny brat. Zniknęło z Krakowa prastare targowisko żebracze, które w XVII stuleciu było już znane i wspomniane jest w jednym ulotnym druku rybałtowskim, a na jego miejscu działał począł zakon nowy reguły św. Franciszka, założony przez ścisłego obserwanta.

Nie wiem jak dalece prawdziwą jest ta historia z żywotu brata Alberta, lecz coś prawdy na niej być musiało bo pamiętam że Antośka zbierała po domach starą odzież i wszelkie gałgany i że nosiła ją do schroniska Albertynów.

Poznałem ją pierwszy raz w dniu w którym panował u nas nastrój uroczysty i mama kręciła się cały czas między kuchnią a jadalnym pokojem gdzie pięknie nakryła stół. Rozstawiła kwiaty, ojciec zaś wyciągnął z kantorka wina i wódki, po czym siadł na fotelu i próbował czytać „Czas”. Ale jakoś mu nie szło.

— Trzeba nareszcie obić te fotele bo wyglądają niemożliwie — stwierdził.

Zapowiedział swą wizytę sam prezes Akademii hrabia Stanisław Tarnowski, a prócz niego miało przyjść wiele gości i ciekaw byłem żeby to widzieć. Ojciec został dziekanem, został także członkiem Akademii Umiejętności i z tego powodu wydawał przyjęcie, a mnie nie wiem czemu rozpieła duma.

Tymczasem ojciec narzekał:

— Ach! jakież ciężki dzień — mówił, ale czułem w jego głosie zadowolenie.

Wylazłem na okno i gapiłem się na ulicę. Chciałem widzieć gości przybywających do nas, a przede wszystkim hrabiego Tarnowskiego, zajeżdżającego w poszostnej karocy z hajdukami.

O nowych godnościach ojca dowiedziałem się onegdaj. Mama zapowiedziała nam że musi przygotować „przyjęcie dziekańskie”. Zaraz Krzysia wszystko wiedziała.

— To taka uczta na której nowy dziekan musi kolegom dać jeść i pić za to że go wybrali.

— Kto tak nakazał — spytała Ewa, a wiedziałem że pyta przez gospodarską oszczędność — to pewno dużo kosztuje?

Przypomniałem sobie ucztę Wierzyńka i żeby Krzysi zaimponować a Ewę nastraszyć, a także dlatego że byłoby to prawdziwym uswietnieniem uczty dodałem, że tata rozda swym kolegom wszystkie talerze, noże, łyżki i widelce, te używane od święta.

— Nieprawda — powiedziała Ewa.

— Nie kłam, zwłaszcza jak nie wiesz — ostro skarciła mnie Krzysia.

Tego było mi za dużo. Od jakiegoś czasu obie siostry twierdziły że kłamię, gdy wymyślałem sobie wspaniałe historie i wyśmiewały się ze mnie niemiłosiernie.

Stały obie na kilimie przed stolikiem kolorując wodnymi farbami wzór z kwiatów. Podkrałem się i pociągnąłem silnie za dywanik. Upadły obie, a Ewa pociągnęła za sobą stolik. Farby, obrazki i szklanki z brudną wodą znalazły się obok nich na podłodze. Ewa stłukła kolano a Krzysia udawała tylko że stłukła, bo wcale nie krzyczała z bólu. Była bardzo blada. Teraz ja się śmiałem.

— Zbij go — rozkazała Ewie.

Nie zdążyłem uciec przed Ewą i rozpoczęło się szamotanie, z którego wiedziałem że nie wyjdę zwycięsko. Ciągnąłem Ewę za włosy i wyrwałem jej zapinkę, co powiększyło tylko jej wściekłość. Siadła na mnie okrakiem i tłukła mnie pięściami po plecach, aż zatkało mi dech. Krzysia tryumfująco patrzyła z boku. Ryknąłem z bólu i na zapas.

Najpierw wpadła Walentyna z kuchni i rozdzieliła nas, potem mama. Rozpoczął się przewód sądowy i każde z nas wytoczyło swe zarzuty. Podczas procesu siostry pokłóciły się która z nich mocniej stłukła sobie kolano, co odwróciło uwagę ode mnie. Mama zainteresowała się jedynie kolanem Krzysi, bo ona chorowała na gruczoły w szyi. Na Ewę nawet nie spojrziała. Ewa zaczęła szlochać.

— Ja na pewno jestem podrzutkiem — stękała pociągając nosem, aż doczekała się klapsa od matki co ją uspokoiło.

Koniec końców rozpedziła matka każde do innego pokoju, gdzie mieliśmy siedzieć rozpamiętując nasze winy.

— Mam przyjąć gości a jakże mogą, kiedy dzieci takie niegrzeczne. Cioci Zosi dzieci nigdy takich awantur nie robią.

— Niech pani dziewczynki pośle pojutrze do starszej pani, a jego lepiej zostawić tutaj, za karę i żeby tam czego na despekt nie zrobił — doradziła Walentyna, która zawsze trzymała moją stronę a teraz domyśliła się że wolę zostać w domu.

I tak siedziałem w domu przyglądając się od rana przygotowaniom do wieczornej uczty, od obiadu zaś sterczałem w oknie i wyglądałem wspaniałej karocy.

Pod koniec czerwca wyludniał się Kraków. Mieszkańcy zamykali na wszystkie spusty mieszkania, zaciągali rolety w oknach, meble przykrywali pokrowcami i z koszami, z tobołami, z dziećmi i z kurą na zimno jechali na wakacje. Niedługo i my tak wyjedziemy — myślałem — a tylko uczta którą ojciec wydaje, przedłuża nasz pobyt w mieście. Co do mnie mogłem już jechać bo kozik, zakopiańską siekierkę, guziki na sznurku oraz pistolet korkowy trzymałem razem, by każdej chwili być gotowym na alarm. Józio i Halszka Korzeniowscy już pojechali, ruszyli całą kompanią Turowicze i pani Turnauowa z Wisią, wyjechał także stary profesor Tretiak który mieszkał naprzeciwko.

Na ulicy było pusto. Dzieci z suteryn na których zabawy zazdrośnie patrzyłem, opalały się po półkoloniach letnich i nie było ani Józka kuternogi, ani rudej Mańci, ani Rózi Ośkówniej, ani Staszka Zaka. Słońce ukośnie oświetlało przeciwną kamienicę, pod którą wlokła się stara żebraczka.

Mama zbliżyła się do okna...

— Biała Antosia wlecze się, pewnie do nas.

— Ojej — powiedział ojciec — odpraw ją, czegoż chce?

— Miała przyjść po rzeczy dla Brata.

— Że też właśnie dzisiaj musi przyjść.

— Pewnie dowiedziała się że zostałeś wybrany dziekanem i idzie ci powinszować.

— Mogłaby kiedy indziej...

— Nie, bo wie że zejdą się tutaj profesorowie, to będzie czekać pod bramą na datki od nich.

— Co ona tam wie o profesorach.

— Zebrze koło Biblioteki, chodzi na wszystkie pogrzeby, a nie opuści nigdy procesji świętego Jana Kantego gdzie profesorów ogląda. Stąd wie wszystko. Pójdę jej coś dać.

— No to i ja dam jej parę buczków.

Chciałem być świadkiem tej sceny, bo w ogóle tego dnia chciałem być świadkiem wszystkiego. Więc pobiegłem na tylne schody.

Tylne schody była to instytucja społeczna naszych kamienic dla mnie bardziej interesująca od schodów głównych. Tu stary węglarz dzwigał w duckach węgiel, praczka na strych niosła bieliznę, baba wiejska przywoziła mleko i jarzyny, tu klóciły się służące i kucharki lub w letnie wieczory oparłszy na poręczu ganków spracowane ręce wiodły rozmowy i ploty kamieniczne.

Tędy także prowadziła najdziwniejsza droga, której nigdy nie poznałem, skierowana w podziemia życia, do suteryn naszej kamienicy. Dzień inną tam biegł koleją niż na górze, innym mówiono tam językiem, inne pielęgnowano obyczaje. Wcześniej rano stamtąd biegli ludzie do pracy, dzieci były tam blade i niegrzeczne, kobiety zmęczone a mężczyźni gniewni. Zimą na oknach żółty lód zwiślał, latem duszny zapach mydlin się wydzielał, a tylko kwiatki były tam piękniejsze czerwone fuksje i pelargonie, rozłożyste mirty, sztywne kliwie i żelazne liście, jakby nagrodzić chciały brak słońca w mieszkaniach. Stamtąd i Staszek Bąkowski poszedł do kryminału zakuty i tam panna Franka, o której ze zgorszeniem szeptano po kuchniach, zażyła jednego dnia trucizny.

Mama nie lubiła abym zaglądał na tylne schody. Wręcz zakazywała mi chodzić tam, ale wymyślałem się na nie ilekroć byłem zmęczony zabawą czy lekcją i zapragnąłem odmiennych a mocnych wrażeń. Ich dostarczali owi wędrownicy kamienic, ludzie żyjący swobodą, cyganki co wróżyły i kradły, druciarze słowaccy, handełesy, włóczęgi i żebracy. „Domokrążcom wstęp wzbroniony” taki napis wywieszony na schodach głównych kierował nomadów naszych miast na tylne schody, ostatni zabytek feudalizmu, pańskości pozłacanej, podejrzenie budzący dziecinne że tam jakaś prawda życia istnieje, którą matka chce ukryć przede mną.

Raz jeden bawiąc się na tylnych schodach, zobaczyłem kulawego męża w szarej włosiennicy, jak wyszedł pokorny i cichy od hrabiny Stojowskiej, bogatej damy która na dobroczynność nie skąpiła majątku. Poszedł do suteryn, do chorej Smoluchowej, pocieszyć ją po stracie męża. Zbiegły się kucharki i dzieci, jakiś żebrak przyplątał się do jego nóg, a ja nie śmiałem podejść do niego choć dziwną ufność budziła jego twarz. „Brat Albert” — szeptano z cziłą najgłębszą.

Teraz na ganku tylnych schodów na pace z węglami siadła Antośka a Walentyna nałożyła jej kawał mięsa z ziemniakami i zupy nalala do garnuszka.

Ubrana była w płótna i przepasana sznurem św. Franciszka, którego węzły wymykały się jej spod kaftana. Twarz miała zdrową i młodą, otoczoną siwymi kosmykami. Zwracały uwagę jej oczy, tak jasne iż uchwycić nie można ich było. One dawały jej wyraz zapatrzenia, odbierały rzeczywistość jej spojrzeniu.

Powtarzała starożytnie wyznanie św. Atanazego szybkim, zdyszczanym głosem. Równocześnie kreśliła w powietrzu krzyż:

— Przechmierny Ojciec, przechmierny Syn, przechmierny Święty Duch. Na przyjęcie ich wszyscy ludzie wstać mają i zdać sprawę z uczynków swoich, z dopuszczenia złego, opuszczenia dobrego, z grzechów wiadomych i niewiadomych. A którzy źle czynili pójdą w wiekiasty ogień, a którzy dobrze w żywot wieczny.

Czyniło to widocznie wielkie wrażenie na Walentynie. Więc spytała szybko:

— Chcecie Antosiu kapusty?

— Bóg zapłać siostrze, jadła ja wczoraj i przed wczorajem.

Nie była głodna bo jeść dostawała od kucharek i u klasztornych furt ile chciała, a czasy były takie że nie skąpiono jedzenia temu kto prosił o nie w Krakowie.

Mama przyniosła jej stary płaszcz i moje ubranie z którego wyrosłem. Antosia wrzuciła rzeczy do worka.

Znowu nie patrząc szeptała:

— Dobra pani, gołąbku maryjacki, siostrze najbiedniejszych, będzie ci nagrodzone miłosierdzie.

— Dużo Antosia zebrała?

— Zbieram ja po ludziach dla ludzi — rzekła wymijająco.

Nadszedł ojciec niosąc parę buczików. Były prawie nowe ale ojciec narzekał że mu je szewc wmówił. Antosia oceniła wartość daru.

— Bóg wynagrodzi panie dziekanie.

— Już wszyscy wiedzą że tata wybrany — pomyślałem sobie z dumą.

I ojcu musiało być przyjemnie bo wyjął z portmonetki pieniądze i wręczył Antośce.

Szepnęła błogosławiąc:

— O następcu świętego Jana Kantego! Niechże się dzisiaj panu dziekanowi spełni każde życzenie, każde życzenie...

U drzwi zadzwonił dzwonek.

— Dziękuję, dziękuję — powiedział ojciec i wyszedł witać pierwszych gości.

Poleciałem i ja do przedpokoju.

Niestety straciłem możliwość zobaczenia karocy z hajdukami hrabiego Stanisława Tarnowskiego. Chociaż Magdusia twierdziła że przyjechał on zwyczajną dorożką, jakoś nie mogłem jej uwierzyć. Lecz nie tylko ja wyobrażałem sobie Tarnowskiego jako pana feudalnego na zamkach i włościach, lecz wierzyło w to wielu starszych i poważniejszych ode mnie, i wierzy do dzisiaj jeszcze. Legenda której dopomógł Matejko malując portret Tarnowskiego gdy z hetmańskim gestem trzyma berło rektora, uczyniła z niego wodza Stańczyków pełnego niezłomnej siły. Takim chcieli

go zgodnie widzieć i jego wrogowie i przyjaciele. A był tymczasem Tarnowski profesorem który lepiej umiał głosić niż przewodzić, literatem stylistą który przeważał nad uczonym, racjonalistą któremu kazano być kaznodzieją. Okrzyczano go hetmanem i bodaj na starość uwierzył w to sam. Stąd komedia pomyłek.

Byłem zawiedziony. Tarnowski był niski a myślałem że będzie wspaniały i wyniosły. Nosił brodę która go czyniła podobnym do żyda i nie przemawiał wcale donośnym głosem, ale spokojnie, dobrotliwie, jak święty Mikołaj. W jednym mnie tylko nie zawiódł. Gdy suchą, kościstą ręką pogłaskał mnie po głowie, dojrzałem przez skórę cienkie, niebieskie żyły na niej i przekonałem się naocznie że hrabiowie mają niebieską krew, nawet jeśli są profesorami.

Przeszli do pokoju. Tam siadł Tarnowski a zaraz po nim zaczęli się schodzić inni goście, sami koledzy i przyjaciele uniwersyteccy ojca. Dużo ich tego dnia było, bardzo dużo bo przybyli ojcu powinszować dziekanatu i członkostwa Akademii. Były to przecież ważne szczeble na drodze profesorskiego życia, wiodącej od habilitacji do rektoratu.

Wskrzесиć dzisiaj postaci owych profesorów w pamięci nie przychodzi mi trudno, bo widzę ich wyraźnie jak stali i rozmawiali, jak śmieli się i toczyli dyskusje. Przypatrywałem się im z jakąś nieprzepatą ciekawością zasunięty w kącie wielkiego biurka ojca. Byli tu jakby po to abym ich zapamiętał.

Każdy to mógł poznać że byli profesorami i to profesorami Uniwersytetu Jagiellońskiego. Wszystkie sprawy bowiem wykładali od początku lub powtarzali po dwa razy, chociaż jasne było o co rzecz idzie. Zawsze pewni tego co mówili, wyrokowali o sprawach świata, wzajemnie wyrażając sobie uznanie, nawet wtedy gdy nie zgadzali się ze sobą. Zauważyłem wcześniej że w ich mniemaniu każda rzecz była jasna i prosta, byle załatwić ją tak, jak oni doradzali. Niestety życie biegło innymi torami niż oni to głosili w „Czasie“. Lecz humoru im to nie psuło a także nie psuło im to życia.

Jeden Rudolf Starzewski z przyjaciół ojca był inny ponieważ nie był profesorem — a za to zawsze spieszył się do redakcji gdzie mogły przyjść jakieś ważne depesze.

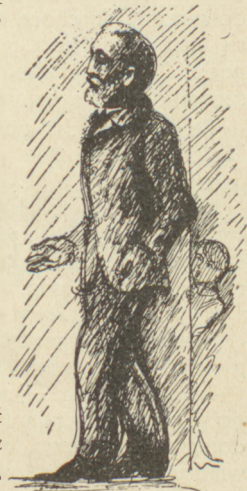
Chociaż pan Jaworski twierdził że żadnych telegramów redakcja „Czasu“ nigdy nie odbiera, ale że wszystkie tłumaczy z „Neue Freie Presse“, to z doświadczenia wiedziałem że tak nie było. Raz kiedy wieczór siedział u nas Starzewski wożny z redakcji doniósł że ze Lwowa przyszła depesza o wyborach do sejmku, ale tak zniekształcona że jej nikt przeczytać nie może. Numer był już na maszynie więc chyba trzeba będzie czekać aż następna depesza nadejdzie?

— Po co wstrzymywać numer? — spokojnie odpowiedział Starzewski. Niech Rakowski pójdzie do delegatury Namiestnictwa i zapyta dyskretnie jak w zeszłym tygodniu ustalił Bobrzyński na poufnej konferencji ze Stapińskim wynik wyborów. Tam wiedzą na pewno.

— Cóż taki zmarszczony stoisz, nudzisz się między profesorami? Ja także — przerwał me obserwacje Jaworski.

Trudność rozumienia tego co mówili była ogromna. Nigdy nie wiedziałem kiedy mówią na żarty, a kiedy na serio, zwłaszcza gdy odnosili się do mnie.

Na przykład pan Ulanowski wmówił we mnie że istnieje maszynka do rachunków którą nakręca się jak zegar, wkłada pod poduszkę a ona przez



sen uczy dodawania. Był bardzo zadowolony gdy dowiedział się że prosiłem aby mi taką maszynkę kupiono.

Albo pan Smolka. Od niego nauczyłem się indiańskiego jak twierdził hasła bojowego: Sfragistyka!, a gdy tak zawołałem na Magdusię, poleciała do mamy z wymówieniem że nie będzie służyć w domu gdzie jej od sufraganów wymyślają. Było wiele kłopotu z tego powodu.

Zapytałem raz pana Rostafińskiego jaka jest różnica między Akademią Umiejętności a Uniwersytetem?

— Już w XVI wieku wyjaśnił to Bielski napisawszy „Rozmowę dwóch baranów o jednej głowie, starych obywatelów krakowskich“.

Znowu zostałem nabrany. Kiedy w wiele lat później przeczytałem to dziełko nie dojrzałem tam prócz tytułu żadnej aluzji do Akademii i Uniwersytetu.

Pod oknem rozmawiali profesor Fierich, Zoll i Czerkawski. Czerkawski był profesorem ekonomii, wesołym i żartobliwym choć był ciężko chory.

— No cóż, proszę panów, ekonomiści twierdzą że najpewniejszą lokatą kapitałów są papiery państwowe. Stąd na giełdzie wzrost akcji austro-węgierskiego Banku i rosyjskich pożyczek we Francji.

Pewnie mówił na żarty, bo tak zawsze czynią ekonomiści.

Kiedy przyłączył się do nich młody profesor Kumaniecki zapytali go:

— A co tam z wojną na Bałkanach?

Kumaniecki był ekspertem strategicznym Wydziału Prawa z tego powodu że odbył służbę wojskową i miał rangę kapitana rezerwy.

— Nowa broń jaką są mitraliezy okazuje się nadzwyczaj skuteczna, zwłaszcza w zastosowaniu z balonów na uwięzi. Brygada kawalerii bułgarskiej została nią zupełnie rozbita. Toteż w następnej wojnie balony będą odgrywać ważną rolę wojskową.

Strategiczne wywody Kumanieckiego przerwał Czerkawski czysto ekonomiczną uwagą:

— Mocarstwa nie interweniowały zbrojnie na Bałkanach gdyż wojna nowoczesna przekracza wszelkie możliwości budżetowe. Pociągnęłaby ona kompletne bankructwo za sobą. To gospodarczy pewnik, który daje większe bezpieczeństwo pokoju niż trybunał w Hadze.

Nagle wszedł ksiądz Pawlicki, pogodny, wygolony do gładka. Spóźnił się bo zatrzymał go fryzjer.

— A jakże dziwnie jak ojciec wchodził do Figla na Rynku — powiedział Kazimierz Morawski.

— Zatrzymał mnie dłużej niż zwykle mój drhogi, bo toczyliśmy ważną dysputę.

— Polityczną?

— Nie. Mówiliśmy o nieśmierthelności duszy u Platona...

I Morawski z księdzem Pawlickim, jako dwaj prawdziwi miłośnicy starożytności zaczęli rozmawiać między sobą po grecku. Twierdził o nich tłumacz Homera profesor Czubek, że mówili dobrze, tylko z lekkim akcentem paryskim. Ale o Czubku z kolei mówiono że jego greczyzna ma akcent podhalański.

Mama siedziała koło Tarnowskiego i Bobrzyńskiego, dwóch ekscelencji do których wszyscy odnosili się z nadzwyczajnym szacunkiem, co objawiało się tym że krytykowano ich poza oczy. Widziałem że uśmiechała się uprzejmie gdy odpowiadała na pytania, a naprawdę myślała o tym czy w kuchni jest wszystko w porządku.

Wśród grupy młodych profesorów i docentów panowała ożywiona dyskusja literacka. Przewodził jej Wacław Tokarz broniąc książek Wilhelma Feldmana.

— Zapytaj Tarnowskiego co myśli o tym — doradził mu ktoś.

— Daj pokój — powiedział Chrzanowski — zirytujesz go tylko.

— A żebyś wiedział że zapytam — odrzekł Tokarz.

I podszedł do siedzącego w fotelu dwukrotnego rektora Uniwersytetu i prezesa Akademii mówiąc:

— Podobno ekscelencjo, Feldman pisze w Zakopanem dzieje naszej myśli niepodległościowej w XIX wieku. Zamówił je u niego Gubrynowicz i ma wydać na wiosnę.

— Co ekscelencja myśli o Feldmanie jako o krytyku literackim? — nie bez złośliwości zapytał Krzymuski.

— Odkąd Kraków pamiętam był zawsze sceną na której wszyscy chcieli być aktorami a nikt nie umiał być widzem. Tak jest z panem Feldmanem.

— Dzieło Feldmana będzie katechizmem dla Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych — ciągnął dalej Tokarz — chce on dowieść że przez cały wiek XIX myśl polska była zwrócona ku wolności.

Teraz wmiszał się Bobrzyński podnosząc głowę i rzucając spojrzenie na obecnych:

— Feldman jak zwykle myli dwa różne pojęcia. Jeśli ci których on popiera wywalczą niepodległość obawiam się że naruszą wolność.

Zauważyłem już dawno że ilekroć rozmowa schodziła na tematy polityczne matka przerywała ją zρέcznie. Tak było i teraz. Spytała o profesora Wróblewskiego który wyjechał z Krakowa. Ale i to był temat drażliwy, bo łączył się z wyborami do Akademii.

— ... socjalista, radykał, bardzo czerwony, no to koniecznie trzeba go wybrać — powiedział Ulanowski.

— Trochę wygaduje na Akademii że jest reakcyjna — zauważył z godnością Fierich.

— Tym lepiej — replikował Ulanowski — widać interesuje się jej pracami. Takich trzeba popierać. Niedawno zgłosił się do mnie młody człowiek, socjalista, który prowadzi studia nad Modrzewskim. Zrobił jak najlepsze wrażenie. Chcemy go wysłać za granicę.

— Wróblewski jest świetnym znawcą nie tylko prawa rzymskiego, ale i cywilnego, lecz jego wybór zirytuje Pinińskiego — stwierdził Bobrzyński.

Nagle wszyscy zamilkli, bo odezwał się Tarnowski.

— Wiem że kto nie jest członkiem Akademii to krytykuje jej zarząd, co jest zawsze dowodem że zależy mu aby być wybranym w poczet jej członków. Tak samo było i za czasów Szujskiego, choć uczonych było wtedy mniej niż obecnie.

— Więc pan prezes jest za jego wyborem?

— Stanowczo.

— Ale Lanckoroński i Piniński będą niezadowoleni. Ich kandydat ma uznanie w Wiedniu...

— W Akademii — podkreślił z naciskiem Tarnowski — nie możemy się kierować opinią sfer dworskich.

— A jeśli wyboru nie przyjmie?

— Na pewno przyjmie i będzie zadowolony, panie kolego — powiedział Tarnowski. Wróżę mu świetną przyszłość. Jeszcze kiedyś zostanie prezesem Akademii.

Mieli swoje zwyczaje których przestrzegali usilnie. Starsi do młodszych zwracali się po imieniu lub mówili do nich „panie kolego“, młodszy tytułowali starszych wedle ich uniwersyteckich godności. Starsi nie lubili jeśli młodszy z nimi dyskutowali, więc młodszy poprzestawali na zadawaniu starszym kłopotliwych pytań. Wszyscy cenili sobie równowagę swego życia, którą mieli za pewną i ustaloną. Żyli w zakonie wiedzy i oświaty.

Profesorowie kpili i wyśmiewali się ze siebie samych, żartowali ze zwyczajów uniwersyteckich, których jednak starannie przestrzegali. Gdy

Baudoin de Courtenay porzucił katedrę twierdzono, że najbardziej gorszącym w jego działalności było nie to że z katedry wojował z Panem Bogiem, ale że ani razu nie był na procesji św. Jana Kantego. Pelen fantazji Wincenty Lutostawski nie znalazł jako filozof uznania w Krakowie (choć posiadał je w Oxfordzie) nie dlatego że propagował neomesjanizm, ale dlatego że był razem z językoznawcą Callier zwolennikiem powrotu do natury, co groziłoby zniesieniem zwyczaju tóg na uroczystościach. Tak przynajmniej słyszałem; kto chce niech wierzy.

Wyśmiewali się ze zwyczajów uniwersyteckich lecz niechętnie widzieli jeśli młodsze szkoły akademickie je powtarzały. Co naturalną było własnością Jagiellońskiej Wszechnicy, nie powinno było gdzie indziej być naśladowane.

— Podobno w warsztatach krakowskich Warchałowskiego, zamówił Wyczółkowski togę rektora Akademii Sztuk Pięknych — powiedział Mycielski.

— Zwyczaj noszenia tóg jest w Uniwersytecie stosunkowo nowy, a datuje się z XVIII wieku, kiedy profesorowie nie chcieli paradować w mundurach Józefińskich urzędników — wyjaśnił Rostański, który choć botanik, był jak wszyscy w Krakowie historykiem z zamiłowania.

— Mówią że Frycz zaprojektował dla Wyczółkowskiego togę z kolnie-
rzem z pawich piór — dodał Mycielski — bo to jest w duchu „Sztuki“.

Znowu rozmowa przybrała nieoczekiwany zwrot.

— No drogi dziekanie, to już połowa kariery uniwersyteckiej za tobą — powiedział Smolka do ojca — a po rektoracie to już cała.

— Odtąd bliżej końca niż początku — westchnął Tarnowski — to szybko idzie, ja ani się spostrzegłem odkąd jestem na emeryturze.

— Stracił na tym Uniwersytet — grzecznie rzucił z boku ktoś z młodszych profesorów.

— Od czternastego wieku tak traci i nic się nie zmienia.

— Przede wszystkim pensje które są liche — dodał ojciec, narzekający od jakiegoś czasu, że go coraz więcej kosztujemy..

— Pensje i pogrzeby są zawsze te same — powiedział Morawski, główny mówca Uniwersytetu. Brak mi tematów i należałoby właściwie ustalić raz na zawsze rodzaj mów pogrzebowych, coś jak egzekwie...

— Które by mówcy nie dłużej niż po minucie wygłaszali — dokończył nie bez aluzji Siedlecki.

Teraz wystąpił Kostanecki.

— Na ostatnim pogrzebie uniwersyteckim było ogromnie nudno. Mam pomysł aby umrzeć poza Krakowem przez co nie będzie mów, a wy będziecie mnie życzliwie wspominać.

— Ale lekarzy pozbawi to zajęcia, nieprawdaż? — zwrócił się Ignacy Chrzanowski do Aleksandra Rosnera.

Ten odparł natychmiast:

— Mnie jako akuszerowi zależy jedynie na tym aby pacjenci rodzili się w Krakowie.

— Ja mam inny pomysł — powiedział Jaworski. Róbcie sobie co chcecie ze mną po śmierci, tylko urządźcie mój pogrzeb o jedenastej rano bo przed jedenastą spóźnią się wszyscy, a jeśli zrobicie o trzeciej po południu to będziecie mieli popsutą drzemkę.

— A ty jak chcesz umierać? — zapytano Krzymuskiego?

— Myślę że pomysł aby umierać za Krakowem dobry, tylko niechby to była przynajmniej jakaś elegancka miejscowość, Biarritz, Ostenda...

— A ty jak diekanie? — padło pytanie skierowane do ojca, który właśnie nalewał wino do kieliszków.



— Mój Boże, nie wiem, dajcież pokój...
— No powiedz, powiedz swoje życzenie...
— Nie wiem — odrzekł — tak mi dobrze z wami, że chciałbym, chciałbym chyba wśród was...

W pokoju pociemniało, a chmura która zesłała nad miasto uczyniła letnie popołudnie ciężkie i szare. Zbierało się na burzę.

Nie wiedziałem że życzenia spełniają się czasami w najbardziej nieoczekiwanej formie, nie wiedziałem tego choć spojrzalem przez okno i zobaczyłem że pod murem, mamrocząc pacieże na intencję swych dobrodziejów, siedziała biała Antośka, bezlitosny wykładnik Losu.

TEODOR PARNICKI

SPOWIEDŹ OTTONA TRZECIEGO

(Fragment powieści „Srebrne Orły”)

SYLWESTER DRUGI I ARON

Długo przechadzali się po kolumnowej galerii. Na ciemnym niebie jak zbroja na wojowniku dotkliwie ugodzonym, pękały srebrzyste chmury. Jak kropelki krwi, migotały już tu i tam czerwonawe gwiazdy — gdzie indziej, jak lzy, lśniły gwiazdy diamentowe. Silny poryw wichru szarpał gwałtownie cieniutkim, wysokim drzewkiem.

— Spójrz na to drzewko — rzekł papież do Arona: — przyjrzyj się, jakie jest wyniosłe, jaką dumną, przepyszną ma koronę. Widzisz: przed chwilą wiatr targnął nim, i uderzyło o ten potężny konar sąsiedni.... A oto teraz — patrz, patrz — w inną już gnę się stronę — już łamie swe gałązki o kamień kolumny... Z taką niebawem będziesz rozmawiał duszą. O ile oczywiście zdołasz mądrze nakłonić ją, by pozwoliła ci rozmawiać z sobą. O ile nie zatnie się, nie zagnieżdzi głęboko jak ślimak w skorupie, — ograniczając całą spowiedź do pośpiesznego wymieniania grzechów. Ale musisz, musisz, Aronie, nakazać tej duszy, by nie recytowała, ale rozmawiała z tobą. Najważniejsze, synku, byś zdołał jak łowca wprawny wyzła, puścić kajakającą się duszę na trop spraw, co jak zwierz wielki w najnieдоступniejszej się zasztywają gęstwinie. Takich spraw, których może nigdy dotąd nie tknął głos sumienia, nie przeczuł nawet w sobie, nie uwierzyłby, że są, że tam w gąszczu się zaszły. Pamiętaj: to jest najważniejsze. To, co on sam będzie dzięki tobie wiedział o sobie, ważniejsze jest niż to, co ty się dowiesz od niego. Widzisz, jak gwiazdy rozdzierają mrok, powoli rozświetlają niebo? Ty będziesz taką gwiazdą, Aronie. Te na niebie powinny zazdrościć tobie. Żaden mrok bowiem takich nie kryje w sobie tajemnic, co mrok duszy ludzkiej. Takich ciekawych tajemnic, synku. Gwiazda zobaczy Rzym i Tybr, góry i morze, pałace i kościoły, ciała zwierząt i ciała ludzi. Ty zaś zobaczysz to, czego żadna nie ujrzy gwiazda — to, co człowiek ma w sobie, to, czego nie wie o sobie. Polubiłem cię, bom zobaczył, że oto miłujesz mądrość wspaniałą starożytności prawie tak, jak ja ją miłuję. Ale czy wiesz, co jest — mędrszego w dziedzictwie całym owej mądrości starożytnej? Nie nauka budowania gmachów, ani

nauka rządzenia królestwami, ani prowadzenia wojen, ni badania gwiazdy liczb, ni pisanie wierszy, ni przedziwna nauka muzyki nawet. Ale króciutka nauka „Poznaj samego siebie”. Oni, co w grzechu pierwotnym żyli, i umarli, przeczuli to, co nam, chrześcijanom raczyła wprost objawić Mądrość Przedziwna: najważniejsze jest to, co nie dookoła nas, lecz w nas. Myśl twoja ważniejszą jest sprawą, Aronie, niż sprawy wszystkich królestw świata. Pamiętasz słowa Zbawiciela „Uczono was: nie będziecie cudzołóżyć; a ja wam powiadam: ktokolwiek patrzy na niewiastę, iżby jej pożądał, już ją scudzołóżył w sercu swoim”. Stary Zakon Żydowski jak i pogański, troszczył się o czyn, społeczności szkodzący; nasz troszczy się o myśl, co nigdy może nie będzie wypowiedziana — o myśl, co duszy myślącego jedynie szkodzi, — bo szkoda na duszy największą jest szkoda; bo przecież naprawdę nie masz ważniejszej sprawy, niż doskonalenie duszy własnej, a jakimi drogami...

Urwał. Dziedzinec bowiem zaroił się od postaci ludzkich. — Pan Cesarz radjeżdża! Już jest przed bramą! — rozległy się okrzyki.

— Otworzyć i oświetlić bazylikę — rozkazał Sylwester Drugi: wszyscy ojcowie, jacy są w Lateranie, udadzą się przed główny ołtarz, śpiewając psalmy pokutne!

Zwracając się zaś do Arona, dorzucił pośpiesznie półgłosem:

— Nie wolno ci będzie zwierzyć się przede mną z tego, co usłyszysz od Pana Cesarza. Pamiętaj o tym! Uważaj! A teraz idź — przygotuj się, wyostrz swoją myśl, jak wojownik miecz ostrzy przed bitwą... Będę się modlił, aby natchnęła cię jak najobficiej swymi łaskami Mądrość Przedwieczna... Chcę ci jeszcze dać kilka rad. Nacieraj śmiało pytaniami, choćby najzuchwalej godzącymi w dumę spowiadającego się. Im będziesz, śmielszy, tym lepiej. Jeśli zaczniesz mówić o sprawach Imperium, doradzaj by posłał koronę królewską Patrycjuszowi Bolesławowi, księciu polskiemu. Surowo żądaj, by Pan Cesarz jak najrychlej wziął sobie małżonkę. Najlepiej którąś z księżniczek z rodu Karłowingów. Wyjaśnij, że nie poniża majestatu wzięcie sobie żony z rodu podupadłego — poprzez małżeństwo blask cesarski spadnie na wybrankę i wywyższy ją ponad wszystkie królowe okręgu ziemskiego. Postaraj się sprawić, by Pan Cesarz oddalił od siebie Teodorę Stefanię. Jeśli nie zdołasz, przynajmniej osiągnij, by myśl cesarska często musiała wracać i to w długi czas po spowiedzi do sprawy oddalenia Teodory Stefanii. To ważne. To bardzo ważne. Pamiętaj: bardzo ważne.

Otto wchodził do bazyliki Jana Chrzciciela, otoczony licznym zastępem presbiterów i mnichów — wraz z nimi śpiewał „miserere mei, Deus, secundum magnam misericordiam Tuam”. Miał na sobie ciemną, bez żadnych ozdób, szatę — no głowie wieniec laurowy. Przed głównym ołtarzem ukląkł, zdjął wieniec, położył go na tacy, dotknął liści płonącym lucywie. Wieniec długo się palił — przez cały czas śpiewania siedmiu psalmów. Gdy chór umilkł, cesarz wyciągnął rękę ku tacy, wziął garść świeżego, jeszcze niezupełnie wystygłego popiołu, posypał nim sobie głowę. Tłum rozstąpił się — Otto samotnie skierował się ku kaplicy, gdzie czekał Aron. Poprzez bazylikę przeleciał głuchy wieloustny szept: zgromadzeni rozpoznali spowiednika, dziwili się nieoczekiwanemu, wyróżnieniu, zazdrościli, nie pochwalali, Otto też go poznał. Poznawszy, ucieszył się. Nade wszystko cieszył go szmer zdumienia i zgorszenia za jego plecami: stało się, jak sobie życzył — papież wyznaczył do spowiedzi kapłana, istotnie najmniej chyba znaczącego spośród wszystkich, jacy go otaczali — młodego mnicha przybłądę, dopiero niedawno wyświęconego. Otto nawet przypomniał sobie, że ów mnich dokonywał przekładów z greckiej księgi, opisującej zwyczaj dworu Bazyleusów. To go również ucieszyło. Miał przed sobą raczej dworzanina papieskiego, niż poważnego przedstawiciela stanu kapłańskiego. Owa spowiedź przed byle kim najlepiej chyba dowodzi,

że papież podziela mniemanie cesarza, iż naprawdę godzien jest wysłuchiwać jego grzechów tylko sam Bóg.

Otto uklęknął i bijąc się w piersi, długo recytował formułę pokutną. Potem pośpiesznie, ale wyraźnie i z dużą dokładnością począł wyliczać dnie, kiedy zaniedbywał modłów i postów. Nie było ich dużo. Cesarz nie usprawiedliwiał owych zaniedbań wojnami, podróżami, chorobami. Bił się w piersi i szybko wyszeptał: — Zgrzeszyłem, żałuję, poprawię się.

Szczerą skruczą rozbrzmiewał jego głos, gdy przyznawał się do zbytniej — wbrew złożonym ślubom — powolności w dziele wznoszenia kościołów ku czci świętego męczennika Wojciecha Adalberta. Przecież ślubował wnieść je we wszystkich znaczniejszych miastach Imperium, a oto nawet kościół na wyspie Tybrowej nie jest jeszcze ukończony: bił się więc w piersi, kajał się, przyrzekał poprawę.

Z kolei poprosił o odpuszczenie grzechu skąpstwa: za mało złota rozdał pomiędzy klasztory, którym nakazywał modły za duszę niedawno zmarłej babki, cesarzowej Adelaidy. Bił się w piersi, kajał się, przyrzekał poprawę.

Wyznał, że niesprawiedliwymi podejrzeniami krzywdził margrabiego Hugona. Nie powiedział jednak, o co go posadzał. Aron nie pytał.

Wyznał, że zbyt opieszale bada sprawę arcybiskupa magdeburgskiego Gizylera, który wbrew kanonom zagarnął ziemie byłego biskupstwa merseburgskiego. Szczególnie mocno bił się w piersi, wspomniawszy obelgi, jakimi obsypał arcybiskupa mogunckiego Willigiza. Nie dodał, za co rozgniewał się na arcybiskupa.

Zaskoczył i oszołomił Arona uwagą, że nie spełnia należycie swoich obowiązków wobec Imperium, bo oto zwleka wciąż z wysłaniem korony królewskiej najwierniejszemu swemu słudze, Patrycjuszowi Bolesławowi, księciu polskiemu. Oświadczył, że w lecie po raz drugi odwiedzi grób świętego męczennika Wojciecha Adalberta w mieście słowiańskim Gnieźnie i wówczas osobiście włoży koronę na skronie Patrycjusza Imperium.

Przyznał się też do grzechu zbytniej pobłażliwości. W związku z uroczystościami ku czci Romulusa polecił zwolnić z więzień rzymskich nie tylko złodziejów, ale nawet morderców. Ten grzech starał się usprawiedliwić: zależy mu bardzo, by w owych dniach uroczystych nie było w Rzymie ani jednego domu, w którym by nie panowała radość.

— — Kiedyś się ostatnio spowiadał, synu? — przerwał mu Aron.

Nagłe pytanie oszołomiło Ottona. Uniósł wysoko w górę przepyszne brwi, rozchyliły się piętne wargi, bijąca się w piersi ręka zawisła w powietrzu. Aron uczył gwałtowne tętnienie w skroniach, szum w uszach, chłód w końcach palców: stawał do boju. Nie był pewien, czy Ottona bardziej zdumiewało samo postawienie pytania, czy też słowo „synu”, którym młodociany spowiednik wyraźnie zaznaczał, że w tym, który przed nim teraz klęczy, widzi tylko kornego pokutnika, sobie podległego, nie cesarski majestat.

Otto długo nie odpowiadał. Mierzył spowiednika gniewnym spojrzeniem co rzucało Arona na przemian w zimno i zar. Wreszcie wycedził przez mocno zaciśnięte zęby datę poprzedniej swojej spowiedzi.

— To grzech, synu, ciężki grzech taka długa przerwa, — powiedział Aron, robiąc olbrzymi wysiłek, by nadać swojemu głosowi brzmienie jak najspokojniejsze.

Zastanawiał się, czy nie zażądać wyjaśnień, dlaczego cesarz tak długo unikał spowiedzi; znając przecież treść rozmów Ottona z papieżem w tej sprawie, nie był pewien, czy zdoła wybrnąć szczęśliwie z dysputy o uroszczeniach cesarskich do otwierania swej duszy bezpośrednio przed majestatem Bożym; musiałby te uroszczenia nazwać herezją, — Otto zaś, spokojnie wysłuchujący tego rodzaju zarzuty, gdy z ust papieża wychodziły, mógłby nie ścierpieć, aby mu je czynił przypadkowy spowiednik, mnich przybłąda: gotów dać się ponieść gniewowi, odejść i oświadczyć Sylwestrowi Drugiemu,

że przed takim zuchwalcem spowiadać się nie będzie; a przecież on, Aron, dobrze wie, jak bardzo papieżowi zależy na szczęśliwym przeprowadzeniu tej spowiedzi do końca.

Po namyśle więc poniechał mogących wywołać spór pytań, nakazując z powagą, nawet ostro, władczo, — by cesarz nie zaniedbał ponownego wyświadczenia się w okresie świąt Wielkiejnocy.

— By przebłagać Trójcę Najświętszą — dodał — wstrzymasz się, synu, od wszelkich uciech ciała, od wszystkich rozkoszy stołu i łoża aż po dzień Oczyszczenia Marii Panny Błogosławionej. Z wszystkich grzechów bowiem, jakieś dotąd wymienił, to był najcięższy, a otóż nie wspominał o nim wcale. Jakiegoś nadto nie wyznał grzechu, synu?

Nim ostatnie wypowiedział słowa, znowu uczuł, że tętni mu w skroniach, szumi w uszach, stygną końce palców, zamiera serce. Oto ujrzał twarz Ottona na wysokości swojej głowy. Nie mógł mieć wątpliwości: cesarz podnosił się z klęczek, zamierzał przerwać spowiedź. W oczach jego nie trudno było wyczytać wzburzenie: jakto, mnich przybłąda, dzieciuch, nic nie znaczący, umyślnie wybrany, by od nicości jego wspaniale odbijała cała świetność majestatu cesarskiego, ośmiela się nie tylko zuchwale zadawać pytania, ale nakazywać umartwienia i to takie, których by nie odważył się zlecić Ottonowi nawet sam papież? Chwilę mierzyli się w milczeniu oczyma: bliski omdlenia Aron przywoływał na pomoc ostatkiem sił resztki wyczerpanej w nierównym boju pomysłowości. Bezgłośnie wzywał ratunku u Ducha Świętego i Zofii, Mądrości Bożej — udało mu się zmusić gniewny wzrok cesarza, by za jego podążył spojrzeniem: oczy Arona wskazywały na wciąż jeszcze przepelniający bazylikę tłum presbiterów i mnichów, na z dala widną w blasku świec niezliczonych ciemną postać papieża, który klęcząc przed głównym ołtarzem powtórnie intonował „Miserere mei, Deus... „Co pomyślą, co powiedzą oni wszyscy, wspierający teraz żarliwą modlitwą wysiłek pokutny cesarza, — gdy zobaczą, że odchodzi gniewny od spowiednika — gdy zrozumieją, że świętokradczo przerwał błogosławiony obrzęd kajania się? Aron czuł, że Otto rozumie wymowę jego spojrzenia, że zaczyna uspakajać się, wahać się, niepokoić — przyspieszył więc końcowe natarcie, mające rozstrzygnąć bitwę. — Śpiesz się, synu, — rzekł rozkazująco: — śpiesz się wyznać resztę swych grzechów, bym ci udzielić mógł co prędzej rozgrzeszenia, po czym przejdiesz przed główny ołtarz, by w gronie sług Bożych modlitwą żarliwą przyspasabiać się do przyjęcia Ciała i Krwi Pańskiej, których ci jutro udzieli ojciec najświętszy, pokazując tym Miastu i Światu, że pobożność twoja — wbrew mniemaniu głupców — nie mniejsza jest od wspaniałej twej rzymskości.

Powiedziawszy to, Aron już nie dojrzał na wysokości swej głowy oczu Ottonowych. Cesarz znów klęczał, jeszcze korniej zgięty, niż uprzednio. — Zgrzeszyłem lekkomyślnością — wyszeptał drżącym głosem, bijąc się w piersi znacznie żarliwiej niż uprzednio: — Pragnąc uczcić świętego męczennika Wojciecha Adalberta, umieściłem w ołtarzu wznoszonej ku jego czci świątyni rękę cudotwórczą, o której myślałem, że ręką jest Bartłomieja apostoła. Okazała się być ręką świętego Paulina: lekkomyślnie zaniedbałem uprzedniego zbadania, czyja to naprawdę jest ręka.

Aron ocenił wagę swego zwycięstwa; Otto przestawał już traktować spowiedź jako nieznaczącą ceremonię: dużo wysiłku musiało go kosztować wyznanie, iż oto jego wspaniała majestat, nieomylnie swą wedle niego bezpośrednio z Bożego czerpiący majestatu, dał się oszukać kilku przewrotnym mnichom w Benewencie.

— Czyżeś nie zgrzeszył, synu, przeciw miłosierdziu? nie dopuszczałeś się okrucieństw? nie byłeś niesprawiedliwie surowy?

Otto pośpiesznie a z głębokim przekonaniem odparł, że do żadnego się nie poczuwa grzechu przeciw miłosierdziu.

— Przypomnij sobie, synu, dobrze przypomnij — naciskał Aron: — wgrzyź się w swą duszę, jak pies gończy się wgrzyza w dopadniętą zwierzynę.

— Nie, nie pamiętam, bym w czymkolwiek dopuścił się niesprawiedliwości, bym jakiegokolwiek popełnił okrucieństwo.

Aron westchnął.

— Pozwól, że pośpieszę z pomocą twojej pamięci, synu. Powiadają w Mieście, żeś okrutnie poranił w gniewie jednego z najdzielniejszych i najwierniejszych wojowników swej frankońskiej drużyny, setnika, który prowadził oddział swój do kąpieli w jeziorze Albańskim.

Cesarz uniósł wysoko głowę. W czarnych oczach znów dostrzegł Aron błyskawice gniewu. — Wtrącasz się do spraw, które nie powinny ciebie obchodzić, sługo Boży — syknął, szczerząc cienkie długie zęby: — Cezar Imperator wodzem jest wojennym nie tylko setników, ale królów i książąt: wedle woli swojej karze swych wojowników prawem wodza naczelnego.

— Przed obliczem wodza zastępów niebieskich nie więcej znacysz, niż setnik frankoński przed twoim obliczem; prawo wodza naczelnego niczym jest przed obliczem prawa miłosierdzia Bożego. Błądzisz przy tym, synu: nie masz takich spraw na całym okręgu ziemskim, z których by nie mógł żądać porachunku majestat Boży, dziś przez moje najniegodniejsze przemawiający usta.

I znowu oczy Ottona znalazły się na wysokości głowy spowiednika. Ale Aron już nie czuł tętnienia w skroniach, szumu w uszach, zimna w końcach palców: był spokojny — wiedział, że Otto nie przerwie spowiedzi.

— Nie masz tu na mnie winy, żadnej winy — szeptał cesarz gorączkowo — przeciwnie, żarliwość pobożna, miła Bogu żarliwość, by do grzechu, do zgorszenia nie dopuścić!

Znowu opadł na kolana. Ale szepł jego namiętny wzmagał się, rósł, przechodził w głośne wołanie, aż Aron zaniepokoił się, czy nie pochwycą go uszy kogós z modlących się przed głównym ołtarzem. Wezwał Ottona do sciszenia głosu. Cesarz jednak zdawał się nie panować nad sobą.

— Nie rozumiesz, nic nie rozumiesz, nigdy nie zrozumiesz — krzyczał nieomal, cały pełen jakiegoś istotnie niezrozumiałego dla Arona podniecenia: — Za głupis, za ciemnyś, byś mógł to zrozumieć. Ale majestat Boży, który nakazał surowo strzec się zgorszenia, zrozumie — zrozumie i pochwali to, co ty w głupocie swej i ciemnocie ośmielasz się ganić... Setnik ów, jakieś słusznie rzekł, do kąpieli wiódł wojowników, byliby więc obnażali się bezwstydnie w gromadzie, lamaliby święty nakaz czystości, kalając swe oczy i dusze widokiem nagości, co zwierzętom bezrozumnym jedynie przystoi, nie istotom, na podobieństwo Ojca najczystszonego stworzonym, krwią Syna najwstydlivszego odkupionym.

Umilkł, oddychając ciężko, przywiście. Aron nie wiedział, co ma odrzec. Po raz pierwszy od początku spowiedzi zmieszał się, zawstydził. Przecież i o jego uszy też obilo się niejednokrotnie, że obnażanie się pospólne nawet gdy o mężczyzn samych chodzi, niemile jest Bogu, jako obraza wstydlivosti chrześcijańskiej, jako źródło zgorszenia i droga do grzechu. Przecież sam był kiedyś pod Londynem świadkiem groźnej zwady między potężnym Etelmerem a młodziutkim przeorem Lifingiem: gdy dokonywano zaciągu nowych wojowników do drużyny królewskiej, Etelmer dla zbadania sprawności ich ciał, kazał im pozrzucić całe odzienie, jakie mieli na sobie; rozkaz ten wywołał rozruch ogromny na dworze królewskim: Lifing, przez innych mnichów potężnie poparty, oskarżył Etelmera, o bezbożne pogańskie obyczaje, o grzech ciężki przeciw nakazom świętym wstydlivosti i czystości. Przypomniał też sobie Aron, że przepisy klunjackiej wspólnoty doradzały unikanie mycia się, połączonego z całkowitym obnażaniem ciała; tym zaś, którzy za radą ową nie szli, surowo nakazywały kąpanie się w bezwzględnej samotności. Żądały także owe przepisy, aby zdejmowanie i wdziewanie szat odbywało się wyłącznie

w ciemności albo również w samotności zupełnej; surowo przestrzegano, aby w sypialniach mniszych nie stawiano beczki lub wiadra z wodą, w której by obnażający się mogli zobaczyć swoje odbicie. Arona przecież ogarnęło nie tylko zawstydzenie, ale przede wszystkim zdumienie: od rzymskości Ottonowej jak najmniej oczekiwał tak surowego przestrzegania wstydlivosti. Wszak jeszcze ojciec cesarza, Otto Czerwony, zamierzał podobno odbudować łaźnie Trajana, by wskrzesić starorzymski obyczaj kąpieli i ćwiczeń cielesnych — poniechał owego zamiaru jedynie pod silnym naciskiem klasztorów, ku wspólnocie klunjackiej ciężących. A przecież Otto Trzeci stokroć bardziej, niż jego ojciec, rozmiłowany jest we wszystkim, co przypomina obyczaje starego Rzymu!

Zawstydzony i zmieszany pragnął Aron co prędzej zadać cesarzowi nowe pytanie: już się zrodziło w jego myśli, już się kształtowało, przetwarzało w słowa. Ale nagle przypomniał sobie zlecenie papieża, by żadnej okazji nie zaniedbał puszczenia duszy kajającej się tropem spraw utajonych, dotąd głosowi sumienia niedostępnych, nieprzeczuwanych nawet. A że dziwił się niezmiernie owej mniszej zaiste wstydlivosti Ottona, tak bardzo odbijającej od rozmiłowania cesarza we wszystkim, co rzymskie — uznał ową okazję za najodpowiedniejszą, aby nakazać Ottonowi zagłębienie się w tajnikach najskrytszych własnej duszy. Powiedział, że choć nie pochwała poranienia setnika, nie może odmówić duszy cesarskiej, iż czyste istotnie i chwalebne kierowały nią pobudki. „Skoroś jednak stanął już, synu, na tym tropie, jak wyżeł na tropie zwierzyny, głęboko w gąszczu leśnym zaszytej, pomknij myślą pokutną tym śladem świeżym: zbadaj siebie, czy poza odrazą do pogańskiego obyczaju obnażania się nie kryją się inne jeszcze pobudki, tak utajone, że nawet ich nie przeczuwasz. Śmiało zapuść się w mroczną gęstwinę, a sługa Boży będzie ci towarzyszył z latarnią modlitwy, błagając Mądrość Przedwieczną, by latarnię tę zapalił Duch Święty błyskawicą rozumienia spraw utajonych.

Powiedziawszy to, przymknął oczy i istotnie pograżył się w modlitwie. Krótco jednak się modlił. Ale oczu długo nie otwierał: lżej mu było, nie patrząc na Ottona, przygotowywać się do następnego pytania. Cieszył się, że je zada, a jednocześnie serce mu zamierało na myśl, iż oto za chwilę stanie w obliczu tajemnicy, która przez tyle lat zadrezczała i jego, i Tymoteusza, i Jana Teofilakta, i Rzym cały. Targały nim na przemian i lęk przed postawieniem pytania, i groza sprawy samej, i upojenie się radosne własną mocą, która władna jest zmusić cesarza do mówienia szczerego o tym, co przed całym dotąd utajone było światem. Przez okamgnienie zdawało mu się, że nie, nie odważy się ani na zapytanie, ani tym bardziej na wysłuchanie odpowiedzi — pomyślał nawet, że jeśli choć ułamek najmniejszy prawdy tkwi w twierdzeniu, że majestat cesarski częstką jest Bożego majestatu, — popełni świętokradztwo i bluźnierstwo, wdzierając się w najstraszliwszą tajemnicę majestatu Ottonowego. Miał głębokie przesądzenie, że oto panuje już nad duszą cesarską, kieruje nią wedle swej woli, do każdego zmusi ją wyznania — powiedziały mu o tym oczy Ottona, powiedziało podniecenie, z jakim cesarz usprawiedliwiał się z poranienia frankońskiego setnika; nie był przecież pewien, czy wolno mu użyć swej potęgi do wtargnięcia w najstraszliwszą z tajemnic, tę która wstrząsnęła Miastem i światem, ale prawo do której przyznały majestatowi Ottonowemu i Miasto i świat, jak gdyby istotnie stanowił częstkę Bożego majestatu.

Otworzył oczy, spojrzał na Ottona. Przeraził się. Twarz cesarza przeobraziła się nie do poznania. Zdawało się, że to twarz konającego — tyle w niej było bólu, a równocześnie bezruchu, bezwładu. Oczywiście, żółtość przedśmiertną jak gdyby, powodować mógł nikły blask lampy, która słabo rozświetlała mroczną kaplicę; jednakże zanim Aron zamknął

oczy, nie była ta żółtość tak straszna, jak teraz. Bezwładnie rozchylone wargi odsłaniały język, daremnie usiłujący oderwać się od dolnych zębów — pot zlepił kosmyki jasnych włosów, pod na wpół opuszczonymi powiekami połyskiwały niesamowicie sinawe białka oczu — i tylko ręce, pośpiesznie gwałtownie splatane i rozplatanie, aż słychać było chrzęst stawów, pozwalały domyślać się, że raczej dusza Ottona cierpi, niż jego ciało. Policzki mokre były od łez — z bezwładnego języka spływał wraz z pianą jęklawy bełkot, w którym ucho Arona zdolało pochwycić tylko „Ja, ojczec... dla mnie, miły ojczec...” Im dłużej, im niespokojniej, im troskliwiej i serdeczniej patrzył Aron na przeobrażoną twarz cesarza, tym szerzej rozwierały się powieki Ottona, źrenice zaczynały powracać na zwykłe swe miejsce, spojrzenie ich nabierało na nowo życia, upodabniając się do dziecinnego spojrzenia: tyle w nim było ufności i błagającej o pomoc słabości. Ale właśnie ta słabość spowodowała, iż myśl Arona nie puściła się biegiem łowcy zbrojnego w owym kierunku, gdzie ją powoływało na wpół nieme błaganie, istotnie skamlanie wyzła, zranionego boleśnie przez bestię rozjuszoną, za którą w gąszcz mroczny się zapuścił.

Przez myśl Arona bowiem przemknęło: „Teraz albo nigdy. Postanowił: teraz.

— Nie wymieniles, synu, najcięższego ze swych grzechów. Nie rzekles nic o złamaniu uroczystego słowa cesarskiego, nie wyznales kajając się, iżes okrutnie stracił Jana Krescencjusza, który oddał się w twe ręce, używszy obietnicy łaski.

I znowu tętnienie w skroniach, szum w uszach, chłód w palcach. Tym silniejsze, im bardziej przybiera twarz Ottona wyraz opanowania i gotowości do oporu.

— Nie powinienes mnie o to pytać — szepczą przemagające bezwład usta — nie pierwszy to raz spowiadam się od dnia stracenia Krescencjusza — sprawę tę dusza moja dawno zostawiła daleko poza sobą.

Aron pochyla głowę. Drżącą dłonią dotyka swej szczęki, tak silnie napiętej, że aż tętniącej gwałtownie pod cienką suchą skórą. Czy cofnąć się? dać za wygraną?

— Cóż ci powiedzieli, synu, poprzedni spowiednicy, gdyś im wyznawał ów grzech? — zapytał cichym, zamierającym głosem.

— Nie spowiadałem się ze stracenia Krescencjusza przed nikim — nie uważam tego za grzech.

— Ale to był grzech, synu, i ciężki. Skoroś go żadnemu dotąd nie wyznawał spowiednikowi, nie został ci odpuszczony — nie masz więc prawa rzec, że dusza twoja dawno pozostawiła tę sprawę poza sobą. Ale oni — owi spowiednicy — czyż nie pytali ciebie o ten grzech?

— Żaden się nie ośmielił. Tyś pierwszy.

Powiedział to głosem głuchym, pełnym zdziwienia, urazy, prawie gniewu, a przecież równocześnie uznania. I ta fala uznania przełamała uprzednio już podkopaną tamę oporu; runęła na dumę, na przekonanie o boskości Ottonowego majestatu, na wiarę w nieomyślność cesarskich wyroków. Runęła tym potężniej, iż gnęła ją inna fala — ta, co przeszła niedawno i teraz znowu wracała, silniej wezbrana, niż poprzednio: fala dziecięcej ufności i błagalnej prośby o pomoc. Rwący potok słów, którymi wdarta się nagle dusza Ottonowa w słuch i myśl Arona, nie przypominał już wcale tych dumnych wyjaśnień, co miały odślonić przed spowiednikiem, za ciemnym, za głupim, by wszystko zrozumieć, — chwalebne pobudki poranienia frankońskiego setnika. Mówiąc o straceniu Krescencjusza, Otto wydawał się być dzieckiem, co prosi dorosłego, by jemu samemu dopomógł zrozumieć niezupełnie jasną, ogromnie zawikłaną sprawę. Istotnie, przyrzekł Krescencjuszowi łaskę — przyrzekł szczerze, żadnego nie knując podstęp. Chciał mu darować nie tylko życie, ale i wolność — posłałby go na wygnanie, wywyższyłby go nawet, zaszczycając jakimś

dostojęństwem na wschodnich czy północnych rubieżach Imperium. Nędznym kłamstwem są gadki, rozpuszczane przez wrogów cesarza, że udawał tylko przebaczenie, że pragnął wywabić podstępnie Krescencjusza z potężnej twierdzy, gdzieby długo jeszcze mógł się bronić. Wszak podejmował go po poddaniu się jak gością dostojnego, nie jak jeńca. Ale w czasie uczy spłynęło nań nagle natchnienie Ducha Świętego, otworzyło mu oczy, odkryło, że Krescencjusz nie przestaje knuć spisków przeciw majestatowi cesarskiemu, że przeciągnąć chce ku sobie nawet najmilszą Ottonowi duszę, chce ją użyć za narzędzie...

— Skądże, synu, owa pewność, że było to natchnienie Ducha Świętego? — surowo przerwał cesarzowi Aron — czy nie był to raczej podszept demonów?

Na policzki Ottona kapać poczęły świeże łzy. Nie wie, doprawdy nie wie — nie może powiedzieć, czy istotnie nie był to podszept szatański. Ale chyba raczej natchnienie Boże. Bo niech tylko wmyśli się ojciec czcigodny: jest w Rzymie kobieta, która zowie się Teodora Stefania. Kobieta ta gorąco miłuje cesarza, tak, jak chyba żadna kobieta nigdy nie miłowała żadnego mężczyzny. Kobieta owa była żoną Krescencjusza, posłubiła go, spała z nim, rodziła mu dzieci, bo takie było żądanie rodziny, rzecz to zwyczajna. On Otto wie, dobrze wie, na pewno wie, że cieszyła się, że była szczęśliwa, iż cesarz zabrał ją Krescencjuszowi. Ale on, Otto, nie jest okrutny, jak to o nim powiadają niektórzy — nie jest nawet złośliwcem, łagodną ma duszę: choć więc Krescencjusz ciężko zawinił przeciw majestatowi, ponieważ jednak był ojcem dzieci Teodory Stefanii, cesarza ucieszyło, iż może mu przebaczyć, że nie straci go, nie uwięzi, wygna tylko z Miasta, byle dalej od Teodory Stefanii.. Ale w czasie uczy, na trzy osoby zastawionej, spostrzegł nagle cesarz, że oto Krescencjusz porozumiewa się z Teodorą Stefanią podstępnym spojrzeniem... i żebyż tylko spojrzeniem — śmiechem się porozumiewał... Tak, Otto dobrze zauważył, choć bokiem siedział — śmieli się: zrazu Krescencjusz, potem oboje — z niego się śmieli, z majestatu cesarskiego... Śmieli się, myśląc radośnie a złośliwie o spiskach, jakie Krescencjusz knuć będzie przeciw Ottonowi, do jakich nakłaniać będzie słabą kobiecą duszą byłej swej żony... Niechże więc powie ojciec czcigodny, czy nie słusznie, nie roztropnie postąpiła Wieczność Cesarska, podcinając w gniewie szlachetnym korzeń zdrady ohydnej, zanim zdążył wyrósć z łodygi kwiat trującej zbrodni świętokradczej?!

— A czy nie mniemasz, synu, że może oni nie z ciebie się wcale śmieli? że może zdrada żadna w śmiechu się owym nie tała? Może wprost do siebie się śmieli — cieszyli się, że są znów z sobą...

Oczy Ottona poczęły szybko mrugać. — Co chcesz rzec? Jak to rozumiesz? Powiadasz, że cieszyli się, iż znów są ze sobą?

— Tak właśnie powiadam, synu. Czyś nigdy nie pomyślał, że może oni miłowali się bardzo?

Otto zaśmiał się.

— Synu, odprawiasz pokutę, — surowo upominał go Aron.

— Nie, nie...to niemożliwe, co powiadasz...głupcem jesteś...nie nie rozumiesz... Gdybyś wiedział...gdybyś słyszał, co ona mi mówi wtedy, gdy pośród nocy budzi mnie i prosi...nie, nie...mnie ona miłuje — tylko mnie — tak, jakem rzekł: tak, jak żadna kobieta nigdy nie miłowała mężczyzny...

— A dlaczegoś w takim razie powiedział, że przebacząc Krescencjuszowi, chciałeś go wygnać byle dalej od Teodory Stefanii?... Co znaczyły słowa „byle dalej od niej“?

Otto drgnął, nisko pochylił głowę.

— Nie, nie — powtórzył z uporem: — nie, nie to znaczyły, coś pomyślał... Wcale nie... Och, jakieżes głupi, jakiś ciemny... A były chwile, zem miał

cię za mędrca, prawie takiego, jak Pan Papież... Mówiąc „byle dalej od niej“, miałem na myśli troskę, by ją uchronić od pokusy, by słaba dusza kobieca nie dała się wciągnąć w sidła spisku podstępne... Bo widzisz, ona jest taka dumna z tego, że urodziła się Rzymianką, że jej ciotki i babki władaly Miastem, wynosiły i zrzuciły wedle swej woli papieży... Zaczęłam rozsnuwać przed nimi obojgiem — Rzymianinami z dziadów pradziadów — obraz wspaniałego Imperium, które dzięki mojej odradza się potędzie... Mówiłem, a on się śmiał: śmiał się zuchwale, szyderczo... Słyszysz? Ośmielił się, nędzny, wyśmiewać się z mojej rzymskości, pyszniąc się przede mną swoim tu w Mieście z dziadów pradziadów zadomowieniem się... O, jam go dobrze zrozumiał: za Sasa mnie ma, za przybłądę, za barbarzyńcę — mnie?! — mnie, o którym Pan Papież i Jan Teofilaktos powiadają, że rzymskość wspaniała majestatu mojego zaćmiewa pamięć Konstancyjna i Trajana i Augusta... A on się śmiał — i ona z nim, ona z nim...ze mnie ..., nie, nie ze mnie...ona nie ze mnie — nie... Z rzymskości mojej śmiała się przez niego podjdzona — musiał więc zginąć...

Urwał na chwilę, by nieoczekiwanie wyrzucić z siebie szeptem łekliwym, zawstydzonym, zaiste żalonym: — Ojczę, ojczę czcigodny, co ty naprawdę mnie masz o mojej rzymskości?

Aron zmieszał się. Struchlał. Nie wiedział, co odrzec. Nie mógł zresztą skupić się należycie: słowa cesarza przywołały nagle na nowo obraz gromady wesołej chłopców i dziewcząt, kąpiących się w stawie, mknących parami ku starym grobowcom, dumnie mówiących o sobie: — Prawdziwi Rzymianie to my, tylko myl...

Ale na szczęście dla siebie nie potrzebował odpowiadać. Myśl Ottona gorączkowo kręciła się dookoła owego „Byle dalej od Teodory Stefani!“ — Bo gdyby, mnichu, — rzekł głucho, a z taką zaciętością, że Aron drgnął — gdyby tak miało być, jak powiadasz, gdyby ona go kiedykolwiek, choćby nawet wówczas jeszcze, kiedym jej nie znał — miała miłować... miłować nie tak nawet gorąco, jak mnie dziś miłuje — za małoby dlań było tej kary, na jaką go skazałem... Gdybym choć raz przez chwilę myślał tak, jak ty myślisz, biedny głupcze, — miesiące by upłynęły całe, nimby święto mu głowę...takby go torturowano z mego rozkazu, że Węgrom, poganom najdzikszym, włosy z samego słuchania opowieści o tych torturach posiwałyby...

— Takby było, gdybyś pomyślał przez chwilę, że ona go miłuje? — drżącym głosem zapytał Aron.

Otto w milczeniu skinął głową.

— Ale dlaczego Krescencjusza tak straszliwie byś męczył, a nie Teodorę Stefanię? Przecież o jej mówisz miłowniu.

Chwila ciszy, długa chwila ciszy. A potem łkanie. Ciche, ledwo słyszalne, pełne zawstydzenia łkanie. — Bo...bo ja nie mogę być bez niej.

I znowu cisza. Tym razem za sprawą Arona. Bo oto nie wie, co ma rzec. Nie wie, jak powinien postąpić spowiednik po takim wyznaniu. Właściwie spełniając wolę papieża, powinienny spróbować nakazać Ottonowi, aby oddalił od siebie Teodorę Stefanię. Ale czuje, że nie stać go teraz na to. Teraz, gdy cesarz łkając powiedział: — Nie mogę być bez niej. Aron dziwi się sobie: przecież owo łkanie powinno napawać dumą: nic bowiem nie świadczy lepiej o zwycięstwie, jakie odniósł nad duszą Ottona. Czyż mógł kiedykolwiek marzyć, śnić nawet, iż Wieczny Pan Cezar Imperator, wódz naczelnny królów i książąt i drużyn potężnych, władca okręgu ziemskiego, będzie we łzach obnażał swą duszę przed nim, mnichem przybłądą, ojca nie znającym, matki nie pamiętającym? Przed nim będzie się tłumaczył z najtajniejszych, najwstydlivszych swoich uczuć? Do niego będzie wołał błagalnie o pomoc, o radę, o zrozumienie?! Osiągnął więcej, niż pragnął — więcej, niż Sylwester Drugi mógłby oczekiwać od stokróż bardziej doświadczonego spowiednika. Zarazem jednak osiągnął to,

czego ani spodziewał się ani pragnął: oto żywi już do Ottona jedynie współczucie przyjazne, które rozbija go z surowości, z poczucia przewagi, z wnikliwości i czujności. Milczy, bo nie może się zdobyć na dalszą walkę — nie chce już walczyć. Myśl jego już nie może się zdobyć nawet na dalszy wysiłek nazywania Ottona synem, a nie Cesarską Wiecznością. Tak bardzo pragnąłby uroczystym tytułem przywrócić łkającemu młodzieniaszkowi poczucie mocy i dumy. Ale rozumie, że nie wolno mu, więc milczy.

Otto zaś pojął jego milczenie, jako zapowiedź ukończenia spowiedzi. Westchnął — z wyraźną ulgą. — Ścierpły mi kolana, — wyszeptał, uśmiechając się poprzez łzy. W szepcie tym, pełnym zawstydzenia i przeproszenia tyle było dziecięcej pokory i zarazem żalącej się ufności, że Aron nie mógł powstrzymać łez. Najchętniejby wznosił rękę, by udzielić Ottonowi rozgrzeszenia, — ale pamiętając zlecenia papieża, z żalem zmusił się do powiedzenia sobie: jeszcze nie czas.

— Synowi Bożemu w ogróju i na Golgocie nie tylko kolana cierpły — powiedział, robiąc olbrzymi wysiłek, by głosowi swemu nadać jak najwięcej surowości: — a przecież on nie za swoje cierpiał grzechy — ale za nasze, także i za twoje, synu...

Urwał, by po chwili wyrzucić z siebie jednym tchem:

— Uczono ciebie, że grzechem jest obcowanie z kobietą choćby najmilszą, ale nie połączoną z tobą wedle nakazu prawa Bożego. Musisz sobie wziąć małżonkę, synu.

Przeląkł się własnych słów. Cóż uczynił? Zaprawdę współczucie przyjazne dla Ottona wszelkiej go pozbawiło wnikliwości i czujności. Pośpieszył się, by wykonać zlecenie papieża, ale zaiste trudno chyba o chwilę mniej odpowiednią, by właśnie to wykonywać zlecenie! Przecież dopiero przed chwilą Otto łkał, z zawstydzieniem się przyznając, że nie może być bez Teodory Stefanii! Na cóż się przydały Aronowi długie lata nauki logiki, jeżeli nie stać go było na uświadomienie sobie, że z dwu przesłanek „Nie mogę być bez niej“ i „weź sobie małżonkę“ najsluszniejszym, jedynie słusznym wnioskiem powinno być „poślubię Teodorę Stefanię“.

A przecież wniosek ów jak najbardziej się kłócił z życzeniami Sylwestra Drugiego: wystarczyło Aronowi przypomnieć sobie to wszystko, co papież mówił do Teodory Stefanii i do niego zaraz po jej wyjściu, by ze zgrozą uświadomić sobie, jak straszliwy popełnił błąd. Pomyślał z rozpaczą, że jednak papież niezasłużonym go obdarzył zaufaniem: nie, nie powinien był podejmować się zadania, któremu nie podołał. Brak mu nie tylko doświadczenia, ale wnikliwości i umiejętności rozumowania. Mniemając, że czyni dobrze, popełnia błędy nie do naprawienia.

— Nie, ojcz, nie wezmę sobie małżonki. Nigdy nie wezmę.

Takiej odpowiedzi Aron nie przewidywał, nie przeczuwał. Niosła mu ulgę, ale zarazem niepokój. Z niekłamaną surowością zażądał wyjaśnień. Ale zapytując „dlaczego“? — mało miał nadziei, iż odpowiedź cesarza będzie się wiązała z dumnym poczuciem, iż odkąd Bazyleusowie greccy odmówili mu siostry, niemasz na całym okręgu ziemskim księżniczki, godnej diademu cesarskiego. Z taką bowiem odpowiedzią można było walczyć, i Aron, pouczony przez papieża, wiedział jak walczyć. Był przecież pewien, że, niestety, odpowiedź cesarska nie będzie niczym innym, jak ponownym oświadczeniem: — Nie mogę być bez Teodory Stefanii... Tu zaś Aron czuł się zupełnie bezbronny.

Spostrzegł, że pytanie jego podrażniło ogromnie Ottona. — Mógłby jednak Pan Papież przygotować nieco wybranego przez siebie spowiednika do rozmowy z duszą Cesarskiej Wieczności, — rzekł prawie gniewnie: — mógłby ciebie oświecić, mnichu, o czym marzy, za czym tęskni, ku czemu dąży nasz święty majestat... Czy doprawdy nic nie wiadomo ci o naszej

woli wyrzeczenia się spraw wszystkich tego świata i oddalenia się do pustelni, by Bogu Samemu w pełni duszę poświęcić?

Teraz Aron już naprawdę szczerze żałował, że nie położył uprzednio kresu spowiedzi. Oto zapuścił się wraz z Ottonem w taką gęstwinę tajników jego duszy, że żadnej już nie widzi możliwości wybrnięcia. Nie tylko jednak siebie oskarżał w myśli, ale i papieża. I nie tylko to, że jemu, takiemu niedoświadczonemu, takiemu bezradnemu powierzył tak trudne zadanie. Miał nadto żal do Sylwestra Drugiego, że go ów zupełnie nie pouczył, jak ma się ustosunkować do marzeń cesarza o porzuceniu świata, o oddaleniu się do pustelni. Przecież jako spowiednik, jako kapłan Chrystusowy, nie może nie wyrazić pochwały dla takich świętobliwych zamierzeń. Powinienby gorąco namawiać Ottona, aby poszedł za owym głosem swej duszy. Ale co stanie się z Imperium? Zachęcając cesarza, on, Aron, rozstrzygałby o losach tylu królestw, o losach całego chrześcijaństwa! Jakież on ma do tego prawo? Skąd może wiedzieć, korzystne czy zgubne następstwa dla cesarstwa pociągnie za sobą wyrzeczenie się przez Ottona władzy? Mąciło mu się w głowie. Z polecenia papieża, aby w czasie spowiedzi namawiał cesarza do wzięcia sobie małżonki, niedwuznacznie wynikało, że Sylwester Drugi zupełnie nie bierze pod uwagę marzeń Ottona o wyrzeczeniu się władzy, o przeobrażeniu się w mnicha czy pustelnika. Jak gdyby papież nic o tych marzeniach nie wiedział! Z tego wynikałoby, że Aron powinien odradzać cesarzowi wyrzeczenia się świata i władzy. Ale czy wolno mu? Czy postąpiwszy tak, nie zgrzeszy ciężko? Nie będzie mógł nawet się dziwić, jeśli Otto podniesie się z kolan już ostatecznie i odejdzie, powiedziawszy na pożegnanie: — Nie jesteś godzien, by mnie spowiadać...nie jesteś godzien, by nazywać się sługą Tego, który rzekł możnemu młodzieńcowi: „Rozdaj wszystko, co masz, i pójdz za mną“.

Opanował przecież zamęt myśli. W natężeniu szukał dróg wybrnięcia, i wydało mu się, że znalazł. Pogodzi tęsknoty cesarza z zaleceniami papieża jednym zdaniem i położy kres spowiedzi. Tak jest wyczerpany, jak nigdy dotąd. Więcej nie wytrzyma.

— Chwalebne są twe zamiary, synu. Ale powinieneś iść za wzorami budującymi, jakie nam przekazują przykłady wieków minionych a i niedawne Bazyleusów greckich dzieje. Musisz wziąć sobie małżonkę, która ci urodzi dziedzica. Wychowasz go, przekazesz mu mądrość swoją i potęgę, poddasz jego władzy wszystkich tych, którzy tobie służą—wówczas dopiero spokojny o losy Imperium, troskę o które majestat Boży w twoje włożył ręce, rozłączysz się z małżonką, zdejmiesz z siebie diadem i purpurę, poświęcisz w pełni duszę swą Bogu. Mniemam, że możemy zakończyć święty obrzęd pokutny. Wszystkieś już wyznał grzechy, nieprawdaż?

D. c. n.

BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI

WIROWITNICA KAMIENNA

światy się obracają
wszystko wiruje w błędzie
błędne otacza nas koło
i błędny napęd je pędzi

obracają się błędne koła
na osiach tajemnicach
obraca się z zgrzytem życie
kamienna wirowitnica

młot młotem rozbija światy
kruszy na drobne kawałki
kamienna wirowitnica
na żwir rozciera je mialki

na kruchych wirowitnicach
dzieją się ludzkie dzieje
siedzą przy błędnych kołach
behradni kołodziejce

czemu tak jest nikt nie wie
i chyba się nie dowie
kołodziejce siedzą i milczą
behradni demiurgowie

kręcą się błędne koła
może się wszystko rozpadnie
siedzą milczący demiurdzy
i patrzą na koła bezradnie

kręcą się błędne koła
na osiach skrzypiących otchłani
siedzą przy kołach demiurdzy
kołodziejce majstrowie stroskani

czasem w kół błędnych obrotach
pustka zaskrzypi bezdena
i zgrzytem trwożnym zajęczy
wirowitnica kamienna

NIE PRZYJACIEIOWI

jest wielka siła nad nami
a my jesteśmy słabi
tobie dali karabin
i mnie dali karabin

dzieli nas teraz nicnawiść
czas długi męczące podróże
lecz czasem się nocą zjawiasz
przyjacielu we wrogim mundurze

przychodzisz czasem we śnie
i choć cię witam z lękiem
przez otchłani nicnawiści
wyciągasz bratnią rękę

choć otchłani gniewem zieje
choć wiara wiar walka niweczy
przecież jesteś synem człowieczym
i ja jestem synem człowieczym

na karcie z życia wydartej
rzuconej jak my ludzie słabi
piszę:
mnie dali karabin
i tobie dali karabin

POGRZEB EDYPA

ἀνδρία γὰρ τὸ μὴ δύνασθαι καρτερεῖν λυπούμενον

Słyszysz głos dzwonów greckich,
Leśne pasterskie piszczałki?...
Organami dyszy fara —
Niosą Edypa na marach.
Pod stosem stawili jadło:
Kwartę góralskiej gorzałki
I wianek kiełbasy krakowskiej.

Noc kropielniczą rękę macza w rosie...
Wszyscy zegnają się rosą
Na życie i na zmartwychwstanie
Dusz wielu, wielu ciał prócz króla Edypa,
którego na stos smutny niosą,
Bo co się stało, to się nie odstanie.

Krzaki wokół, drzewa wokół —
Czworograniaste krzewy...
Śpiew, śpiew rekwiwalny:
„My Dzieci Edypa i Ewy”.
Pogrzeb ciągnie, tłum się tłoczy:
Twarze dziwaczne, tyle twarzy!...
Chmury się żarzą. Niebo się żarzy...
Rodzina kroczy wśród ciżby:
Z adwokatem idzie Jokasta.
Ulica się wiję, wykręcić się stara
Z miazdzących objęć miasta.

Idą kapłani, na pół rozebrani,
Idą nadzy mnisi w łańcuchach.
Piszczą piszczałki, igrają organy
Nimf drzewnych skrzydłami kuropatw.
Ministrant obłądny, ministrant zaspany
Rękę dzwonną kieruje ku czołu,

I pyta bliźnich mową przerażeń:
„Czemu go pałą? Czemu go pałą
Zamiast go wrzucić do dołu?”

„Pijani Grecy — chrześcijanie — poganie
Czemu ten pochód żałobny?”
„Czemu się pytasz? — Wiozą Edypa
W karcie do twojej podobnej”.

Piszczą piszczałki, piszczałki...
Idą Grecy z chińskimi ogniami.

Cisza zakwitnie jutro na trawie.
Cisza gałązki zeschle połamie...

Cóż ja mam czynić,
Kiedy pałą króla,
Gdy do Tartaru odwożą Edypa?
Jeno mi druhów paru zostało
Po królu — królewska stypa...

TOWARZYSZOWI Z LIBIJSKIEJ POTRZEBY

nie było w tym patosu
nie było w tym tragedii
zginął przy peryskopie
gdy inni obiad jedli.

lekarz obejrzał trupa
ksiądz pacierz zmówił za duszę
powieźli bidadka na cmentarz
dwaj tłuści sanitariusze.

i postawili drażek
a potem drażek poprzeczny
by go odszukał anioł
gdy będzie sąd ostateczny

leży wśród samych chrześcijan
w kompanii leży pobożnej
przy drodze do ojczyzny
leży jak kamień przydrożny

i czeka aż go bóg polski
na wielki rzuci szaniec
cichutko czeka przy drodze
posłuszny żołnierz wygnaniec.

WALLENROD CZY QUISLING?

Znany aforyzm Oscara Wilde'a twierdzi, że sztuka wyprzedza życie. Gdy czyta się sprawozdania z procesu Pierre Pucheu, byłego ministra spraw wewnętrznych w rządzie Marszałka Pétain'a, mimo woli przychodzą na myśl urywki z Konrada Wallenroda. Zestawienie to może się wydawać zbyt ostre i nieoczekiwane, a jednak specyficzna atmosfera wallenrodzmu otaczała rozprawę sądową, która toczyła się przed trybunałem wojskowym w Algierze.

Francuski „Wallenrod” nie miał zresztą w sobie żadnej z cech romantycznego bohatera. Wręcz przeciwnie. Wyszedł on ze środowiska, którego nigdy nie musnęły skrzydła poezji. Pierre Firmin Pucheu był przed wojną jednym z potentatów Comité des Forges, czyli francuskiego Lewiatana. W tym wypadku asocjacja z naszymi rodzinnymi warunkami może wprowadzać w błąd. Lewiatan francuski był naprawdę potęgą, która trzęsła Francją. Pierre Pucheu do stanowiska potentata przemysłowego doszedł swym własnym uporem, torując sobie bezwzględnie własnymi łokciami drogę z École Normale Supérieure do Comité des Forges. Kariera jego — jak pisze pewien angielski biograf — „osnuta była mgłą wszelkiego rodzaju kuluarów”. W kuluarach Comité des Forges działo się w latach trzydziestych wiele rzeczy jeszcze niezbadanych, które zaciążyły nad położeniem Francji i Europy w latach wojny. Pucheu trzymał tam w swym ręku nici kontaktów między francuskim a europejskim przemysłem stalowym. Montował kartele i układał umowy. Przemawiał międzynarodowym językiem interesu wielko-kapitalistycznego do dyrektorów Kruppsa i Hermann Goering Werke.

Były to lata Frontu Ludowego we Francji i wojny domowej w Hiszpanii. W kuluarach Comité des Forges straszło widmo rewolucji. Magnaci przemysłu stalowego zastosowali sabotaż wobec rządu Bluma i przygotowywali odwet. Pierre Pucheu jeszcze w roku 1934 popierał spiskową organizację faszystowską Croix de Feu, której przewodził pułkownik de la Rocque. W latach Frontu Ludowego udzielał poparcia Doriotowi i jego Partie Populaire Française. Strach przed lewicą i nienawiść do demokracji coraz mocniej górowały nad rozreklamowanym patriotyzmem pewnych kół prawicy. „Niech już raczej będzie Hitler niż Blum” — powtarzano sobie w kołach wielko-kapitalistycznych i wśród wysokich kół wojskowych, zgrupowanych dokoła Pétain'a. Z tego właśnie nastroju zrodziła się owa nieszczęsna Révolution Nationale, która doszła w Vichy do głosu, gdy gmach Trzeciej Republiki walił się pod obuchem czołgów i samolotów niemieckich.

Pierre Pucheu znajdował się jak gdyby w samym ośrodku tego konfliktu między interesami klasowymi a narodowymi. Przed wojną zawierał był układy z niemieckim przemysłem stalowym i znajdował wspólny język z hitlerowcami. Lecz ta sięgająca poprzez granice sielanka wspólnoty interesów zakłócona była obawą przed ekspansją niemiecką. Zię przecucia trapiły Pucheu. Czy współdziałowcy ze swastyką na ramieniu nie spotęznieją za bardzo? Czyż nie wywłaszczą słabszego partnera francuskiego, kładąc sekwestr najpierw na Alzacji i Lotaryngię, a potem na cały kraj? Możliwe, że Pucheu bał się tego. Lecz w roku 1940, po klęsce i kapitulacji Francji wydawało mu się, że gra dobiegła już końca.

„... Chowany wśród Niemców

Znał potęgę Zakonu, wiedział, że mistrza wezwanie
Z całej Europy wyciąga skarby, orężę i wojska.”

Głos z Londynu, który wołał wówczas, że „Francja przegrała tylko jedną bitwę, lecz nie przegrała wojny” brzmiał zupełnie nieprzekonywująco dla

ludzi zahypnotyzowanych obrazem owej Europy z 1940 i 1941 roku. „Ręce osłabły i z nadzieją zwycięstwa z piersi uciekła odwaga”. „Sauve qui peut” — stało się wyznaniem wiary, hasłem i zawołaniem. Pucheu pogodził się z klęską. Comité des Forges miał już tylko jedną aspirację. Chciał odgrywać rolę „młodszego partnera” w nowym porządku zhitleryzowanej Europy. Z kularów Comité des Forges wychodzi wreszcie na światło dzienne mało jeszcze znany publiczności francuskiej Pierre Pucheu. Zostaje ministrem produkcji przemysłowej w rządzie Vichy. „Wallenrod” francuski nie przysięgał zemsty najeźdźcy. W odróżnieniu od swego poetycznego prototypu dążył jedynie do ustalenia skromnego i prozaicznego współzycia z najeźdźcą.

Miodowe miesiące Vichy były okresem apatii i upadku ducha wśród ludu francuskiego. W tej apatii lud francuski chwilowo godził się biernie na wszystkie eksperymenty zbawców, zgrupowanych dokoła Pétaina. Lecz oto zaczęły kielkować pierwsze ziarna buntu, zasiane przez Wolnych Francuzów w Londynie. Do ruchu oporu przyłączyli się z całą energią komuniści francuscy, którzy przed klęską 40 roku głosili defetyzm. Vichy znów ujrzało przed sobą widmo rewolucji. Resistance groziła zwinięciem owego współzycia z najeźdźcą, do którego dążył uparcie Pétain. Wypowiedziano więc wojnę podziemnej Francji.

Mickiewiczowski Wallenrod nie chciał i nie mógł walczyć przeciwko swym rodakom.

„... Szedłem z wojskami Teutonów,
Ale w pierwszej potyczce, ledwie zobaczył chorągwie,
Ledwie narodu mego pieśni wojenne usłyszał,
Podskoczyłem ku naszym...”

„Pieśni wojenne” Francji poruszyły inne struny w duszy Pucheu. Z ministerstwa produkcji przemysłowej przechodzi na stanowisko ministra spraw wewnętrznych. Obejmuje dowództwo nad policją, którą stara się zreorganizować na wzór święcącej tryumfy Gestapo. Ustanawia obozy koncentracyjne oraz ogłasza ustawy wyjątkowe przeciwko komunistom, przy czym, rzecz jasna, walka przeciw komunizmowi staje się parawanem dla walki przeciwko wszelkim przejawom oporu wobec Vichy. Nic nie zdaje się jeszcze zakłócać „sumienia narodowego” potentata z Comité des Forges. Wszak walka przeciw komunizmowi jest nakazem obowiązku patriotycznego, nawet wówczas gdy ten „komunizm” jest przede wszystkim skierowany przeciw najeźdźcy!

Jak dotychczas sylwetka Pucheu przypomina znacznie bardziej quislinga niż Wallenroda. W rzeczywistości politycznej występują jednak typy bardziej skomplikowane niż jeden i drugi. Pucheu niewątpliwie ma w sobie wiele z quislinga i wiele z Wallenroda. Jego działalność quislingowska wynikała z przekonania, że tryumf Trzeciej Rzeszy jest niezachwiany i ostateczny, oraz z nadziei na ustalenie znośnego współzycia z hitlerowcami. I ta pewność i ta nadzieja miały wkrótce być zachwiane. Ostatnie miesiące sprawowania władzy przez Pucheu zbiegają się z pierwszą zimową ofensywą rosyjską, odrzucającą armie Hitlera niemal od murów Moskwy. Perspektywa tysiąclecia swastyki wydaje się nikać w oczach. Nadzieję zaś na współzycie z Niemcami spotyka zawód. Pucheu dążył na swój sposób do ratowania suwerenności Francji, czy też, ściślej mówiąc, suwerenności polityki francuskiej. Przyrzeka Niemcom zwalczać nastroje proaliantkie we Francji nieokupowanej, lecz wzamian za to żąda dla siebie pełnej kontroli nad policją francuską we Francji okupowanej. Wykonuje swe przyrzeczenia, lecz nic wzamian za to nie otrzymuje. Odtąd jego działalność ulega jak gdyby rozszczepieniu. Nie wyrzeka się współpracy z Niemcami, lecz targuje się z coraz większą goryczą o jej cenę. Jedną ręką wydaje Niemcom zakładników, drugą zaś stara się ratować część tych samych zakładników sprzed łuf plutonów egzekucyjnych Stuelpnagla. Grzmi w dalszym ciągu

przeciwko Wolnym Francuzom, lecz sam coraz dotkliwiej odczuwa całą bezwzględność niewoli niemieckiej.

Z tych sprzeczności wynika postawa tak zwanego *attentisme'u*, czyli wyczekiwania. Na wiosnę 1942 roku Pucheu ustępuje ze stanowiska ministra spraw wewnętrznych.

Attentisme stanowi najbardziej niepokojącą i trudną zagadkę w życiu politycznym Francji ostatniej doby. Określenie to można zastosować do bardzo różniących się od siebie swą wartością moralną stanowisk politycznych. Istnieje *attentisme*, któremu niewiele stosunkowo zarzucić można jeśli chodzi o jego wartość moralną. Niejeden uczciwy Francuz poddawał się depresji psychicznej, która owładnęła ojczyznę jego latem 1940 roku i dopiero stopniowo ochłonawszy od wstrząsu i odrętwienia postanawiał rozpocząć walkę od nowa.

„Wolnym rycerzom — powiedział — wolno wybierać orężę
I na polu otwartym bić się równymi siłami;
Zostań jeszcze i przyjmij sztuki wojenne od Niemców,
Staraj się zyskać ich ufność, dalej, obaczysz co począć.”

Ruch Wolnych Francuzów rósł, wchłaniając w siebie wielu spośród tych co natychmiast po klęsce postanowili czekać, by „obaczyć co począć”. Lecz istnieje również inna odmiana *attentisme'u* — *attentisme* karierowiczów, oportunistów, koniunkturalnych patriotów oraz kameleonów, zrzucających skórę totalizmu i strojących się w demokratyczne piórka w przeddzień wielkiego krachu wszechuropejskiej imprezy dyktatorskiej. To gorliwe zrzucanie z siebie błyszczącej tandety totalitarnej nie odbywa się zresztą tylko we Francji. W ogromnym i bezładnym lamusie kostiumów politycznych, który pozostanie po ostatnim akcie tragedii, znajdą się wszystkie możliwe stroje narodowe. O takim typie *attentysty* można by powiedzieć słowami Moliera:

„Voilà l'homme en effet. Il va du blanc au noir,
Il condamne au matin ses sentiments du soir.
Importun à tout autre, à soi-même incommode,
Il change à tout moment d'ésprit comme de mode.”

Lecz jakżeż można odróżnić od siebie te dwa rodzaje *attentisme'u*? Jak rozpoznać tragicznego Wallenroda w tłumie pospolitych quislingów? Przed tymi właściwymi pytaniami stanął trybunał wojskowy, sądząc byłego ministra spraw wewnętrznych Vichy. Są to pytania naprawdę niepokojące. Będą je sobie stawiali nie tylko Francuzi, ale i Belgowie, Holendrzy, Norwedzy i inni. Niejeden quisling będzie sięgał po wawrzyny Wallenroda, a niejeden Wallenrod stanie być może pod pręgierzem hańby. Prawnicy mogą tu ustalać sposoby rozpoznawcze. Prawo nie ogarnie jednak wszystkich niesłychanie skomplikowanych wypadków. Jest to w istocie rzeczy problem psychologiczny, a nie prawniczy.

Proces algierski ujawnił jak bardzo krętą jest tu linia podziału. Sam Pucheu w świetle rozprawy ukazywał się w pewnych momentach jako pospolity quisling, w innych zaś wallenrodowskie jego cechy występowały bardzo wyraziście. Przed trybunałem sądzącym przewinał się korowód świadków, mówiących o zakładnikach, egzekucjach i obozach koncentracyjnych. Ofiary polityki Pucheu rzuciły mu w twarz swą nienawiść i swe oskarżenie. Obrona oskarżonego nie była w stanie zaprzeczyć faktom przytaczanym przez świadków oskarżenia. Lecz przed tym samym trybunałem przewinał się inny korowód świadków, którzy mówili o zasługach, jakie położył Pucheu w walce przeciwko Niemcom. Generał Giraud, naczelny wódz armii francuskiej oświadczył, że już we wrześniu 1942 roku, a więc na dwa miesiące przed desantem alianckim w Afryce Północnej, Pucheu oświadczył mu, że okres *attentyzmu* skończył się. Generał Bethouard, dowódca wojsk francuskich w Marokku stwierdził, że o wiele

wcześniej, bo jeszcze z początkiem roku 1942 Pucheu namawiał go do wszczęcia walki przeciwko Niemcom na wypadek gdyby Niemcy próbowali okupacji Afryki Północnej. W listopadzie 1942 roku, gdy wojska amerykańskie lądowały w Afryce Północnej, Generał Bethouard współpracował potajemnie a Aliantami. Za tę współpracę postawiony był przed sąd wojenny przez wiernego Pétainowi Generała Nogués. Generał Bethouard oświadczył: „Gdy oskarżony o zdradę i bunt stałem przed Trybunałem w Meknes, nie mogłem nie pomyśleć o tym, że pierwszą osobą, która mnie do buntu podburzała był właśnie minister spraw wewnętrznych”.

Ponura zagadka wikła się jeszcze bardziej, gdy czyta się uważnie przebieg samego procesu. Okazuje się mianowicie, że „przepaść” między oskarżonym a oskarżycielem jest dość wątpliwa. Oskarżycielem Pucheu był członek Komitetu Narodowego, Generał Lotnictwa Francuskiego Weiss. Jednym z najbardziej dramatycznych momentów procesu był ten, w którym obrońca Pucheu przypomniał, że sam prokurator kroczył niegdyś śliską ścieżką *attentisme'u*. W 1941 roku, a więc w okresie, gdy Pucheu rządził ministerstwem spraw wewnętrznych Vichy, Generał Weiss apelował do lotników francuskich, by „odegrali swą rolę w Rewolucji Narodowej rozpoczętej przez Pétain'a”. Sam Pucheu w swym ostatnim słowie zwrócił się wprost do swego oskarżyciela: „W lutym 1941 roku, gdy ja brałem na siebie niezmierne ofiary, mój prokurator przemawiał na rzecz Rewolucji Narodowej. 28 października 1942 roku, osiem dni przed lądowaniem Aliantów, Pan brał udział w defiladzie z Darlanem i oddawał Pan cześć Darlanowi. Tego samego dnia ja byłem tropiony przez policję niemiecką w Paryżu”.

W ten sposób pytanie „Wallenrod czy quisling?” przeniosło się z oskarżonego na oskarżyciela. Pytanie to często zresztą powraca, gdy słucha się kolei losów niektórych dowódców, będących obecnie pod rozkazami Generała de Gaulle.

Trybunał wojskowy w Algierze skazał byłego ministra spraw wewnętrznych na karę śmierci. Przedtem zresztą wyrok śmierci wydany został na niego przez władze ruchu podziemnego we Francji. Nie ulega wątpliwości, że ogromny odłam opinii francuskiej wyrok ten przyjął jako słuszny wymiar sprawiedliwości. Prawnicy zgłaszali swoje zastrzeżenia, prasa angielska dawała wyraz swym wątpliwościom i skrupułom. Lecz te skrupuły i zastrzeżenia nie przemawiają zdaje się do Francuzów. Krzywdy wyrządzone Francuzom przez rządy Vichy są zbyt krwawe i sięgają zbyt głęboko, by nie wołały o pomstę. Jedno z pism angielskich tak charakteryzowało atmosferę procesu algierskiego:

„Ze ściśle prawniczego punktu widzenia wina Pucheu nie jest być może jednoznacznie udowodniona. Z politycznego punktu widzenia w rejestrze jego znajduje się i zbrodnia i skrucza. Lecz spóźniona skrucza nie posiada żadnej siły przekonywującej dla ofiar policji Pucheu, dla ludzi, którzy wypełniają cele więzień we Francji, dla rodzin zakładników, wydanych w ręce niemieckie za czasów gdy Pucheu był jeszcze ministrem spraw wewnętrznych... Oskarżony, jego obrońcy i świadkowie mówili o prawie i wołali o zimną bezstronność sprawiedliwości. Prokurator i jego świadkowie powoływali się na wolę ludu i na gniew ludu. W ciągu lat wojny prawo w całej Europie deptano i gwałcono. Sama Temida w brudnych łachmanach i ze złamaną wagą w swym ręku wędruje od sądu do sądu. W pałacu sprawiedliwości w Algierze stanęła ona za sędziami wciąż ślepa lecz nie głucha. Krzyk ludu wołającego o pomstę przesywał jej uszy”.

Trudno odpowiedzieć na pytanie w jakim stopniu proces Pucheu ma stanowić precedens dla innych procesów w przyszłości, w których na ławie oskarżonych znajdują się członkowie rządu w Vichy oraz kolaboracjoniści i attentyści. Sam wyrok algierski sformułowany jest w ten sposób że zdaniem niektórych, nie stwarza on żadnego precedensu na przyszłość,

Sąd bowiem nie skazał Pucheu za jego udział w rządach Vichy. Nie stanął tym samym na stanowisku, że rządy Vichy są w zasadzie nielegalne. Tylko w wypadku, gdyby trybunał algierski zasadniczo postawił rządy Marszałka Pétain'a poza prawem, można by proces Pucheu uważać za wstęp do całej serii procesów, których bohaterami byłiby „guilty men” Francji. Trybunał algierski przyjął jednak, zdaje się, zasadę sformułowaną przez obrońcę ministra Pucheu, zasadę, że rząd w Vichy jest „legalny lecz nie prawowity”. Wyrok skazujący oparty był na stwierdzeniu dwóch przestępstw oskarżonego. Jego udziału w formowaniu Legionu Anty-bolszewickiego, który wspólnie z Niemcami walczył na froncie rosyjskim, oraz na jego współpracy z policją niemiecką. Oba te przestępstwa zakwalifikowane zostały jako współdziałanie z nieprzyjacielem w czasie wojny. Niektórzy krytycy widzą sprzeczność w tym sformułowaniu wyroku. Jeśli bowiem rząd w Vichy jest uznany za legalny, to zachodzi pytanie w jaki sposób można stwierdzić co w jego działalności jest zgodne a co niezgodne z kodeksem karnym.

Ten spór prawniczy jest na pewno bardzo ważny dla prawników. Lecz znaczenie procesu w Algierze polega na ukazaniu owego moralnego i politycznego zamieszania w jakim znajdują się wszystkie kraje europejskie, posiadające quislingów. Jest to jedna z najboleśniejszych spraw w spadku jaki Europa przeżyje po latach niemieckiej okupacji i po krótkotrwałym tryumfie hitleryzmu.

ZYGMUNT HAUPT

ENTROPIA WZRASTA DO ZERA

Kto zajmował się termodynamiką natknął się zapewne na pesymistyczną formułę powiadającą że „entropia wzrasta do zera.” Różne temperatury dążą do wyrównania. Takie same zjawisko inwolucji zachodzi wszędzie. Napięcia elektryczne chcą się wyładować, kolory zmieszane dają jeden kolor szary, jesteśmy świadkami powolnej niwelacji ziemi, prowadzącej do tego że kiedyś góry wypełnią doliny i z morzami stworzą jedną wielką płycznę. W sferze spraw ludzkich takie zszarzenie i płycizna da powolny proces ujednostajnienia i zestandaryzowania nie tylko przez zmechanizowaną cywilizację która staje się, nawet z drobiazgami powszedniego życia i strojem jednakowa i tandetna ale radio, prasa i kino robią z nas powoli milionami i miliardami jednakowo zaopatrzonych w sztancowane idee ludzi. Entropia wzrasta do zera.

Kiedy się tak wędruje po świecie wydaje się że nawet pory roku tracą swe oczywiste granice i zlewają się w jedną szarą, gdyby nawet była wieczną kalifornijską wiosną, porę roku.

Mój kraj — od doliny jednej rzeki do drugiej, od jaru do jaru, od Moiodoborów i Pantalichy do zębiastej sierry Karpat — mój kraj w soczyste lato kiedy zieleń kopol drzew idzie w zawody z zielenią łąk a srebro falujących łąków żyta odbija niebo, w czerwoną jesień kiedy w Wieczór Zaduszny palą się naokoło widnokregu cmentarze jak ognie alarmowe, w matowo-białe noce zimowe, kiedy zadyмка porywa z zasp śnieżnych sztandar kurzawy, wyjącego tryumfu nad bezsiłą człowieka a nagie gałęzie drzew smagają bluźnierczo niebo, w dniu przedwiosenne kiedy znad kałuż błota nadlatuje najbardziej mistyczny, upajający zapach, mój kraj roślin sprzyjających człowiekowi i ścielących się u jego stóp i rozwieszających nad głowami w bezcenne tło, kraj zwierząt najłagodniejszych i naj-

przedziwniejszych w formie i czarze ruchów, kraj ludzi naiwnych i prostych, od urzędnika XI kategorii Izby Skarbowej, kowala i powroźnika miasteczkowego, astmatycznego rządcy folwarku, policjanta zgarbionego na powodzie, dziewczyny o złotych kosmykach włosów na karku i czerwonych, rozchylnych ustach kiedy pochylona nad okopywaniem ziemniaków, kłusownika spotkanego na przesieci leśnej, nieogolonego kierowcy żydowskiego, odrapanego autobusu — mój kraj jest krajem czterech pór roku.

Jest gorące lato. Z granatowej kopuły nieba leje się żar. Pola z nieporuszonymi kłosami zbóż są w południowej porze puste upiornie. Jedynie strzyga Południcy tańczy i wiruje na rozstajach miedz. Ultramarynowy cień nad przyzbą chaty. Mała i ciemna sień i puste ubóstwo izby z wonią starych wianków i zaduchem chłopskiej biedy. Muchy gęsto popstrzyły obłupaną emalię tarczy tandetnego zegara, wiszącego na oddrzwiowej ścianie, tarczę z naiwnym, jarmarczonym malowidełkiem kwiatów. Od garnków na dymiącym ognisku na zgrzytających dwańście uderzeń, odrywa się młoda, zdrowa kobieta, z kapryśnym niemowlęciem na rękę. Patrząc w górę na zegar, podnosi ciężarki, pordzewiałe i czarne.

Na wiórach i plewie podwórza stoi rozkraczony wóz, podniesionym dyszlem celujący w zenit. Piasta i dzwony kół nieomylnie wykreślone cyrklem, wyrobione bardą i toczydłem kołodzieja, który umiejętność swoją odziedziczył w niezapisanych prawidłach od całych pokoleń nauczycieli, wykonujący je w ociekającym potem trudzie, w zimowe, krótkie dni. Nie wiem czy czoło jego marszczyła myśl, raczej sądzę że w hierarchicznych sposobach i nakazanych ruchach było więcej jakby instynktu i odruchu. Ściosywał włókna drzewa ośnikiem, parzył grabowe kręgi dzwonów, jakby odprawiał nabożeństwo o swoistej liturgii. Oto wytaczał dzieło swych rąk na światło dzienne, osądzał okiem nieomylnie proporcje i stosunek rozworthy, luśni, kłonic, wag.

Brony pod ścianami szczyrzyły swe kły do słońca, ściągnięte łykowymi obręczami putnie z drzewa poczerzniętego od starości i wody wiszą u żurawi nad czarnym lustrem krynicy. Pod okapem strzech, na tle białych i farbko-wato-sinych ścian, lepionych z warkoczy słomy umazanych w glinie, wiszą złote kaczany kukurydzy. Azur liści jesionowych przepuszcza promienie słoneczne w japońskie obicie liści bambusa. Około chat rosną pokrzywy, lopiany, burzany, tłum roślin homotropijnych, towarzyszące człowiekowi, pariasy śmietniskowe. Przywędrowały tu z nim ze stepów środkowo-azjatyckich, sprzyjacielone z nim na dolę i niedolę. Malwy pną się pretensjonalnym ornamentem na tle ścian i wdzięczy się drzewko wiśni, cudowne zawsze i zachwycające „w opłotkach brudnych wsi”.

W gorące lato kiedy się szło do dalekiej kąpieli, całym naskórkiem spragniony zanurzenia się w stojące wody stawów, wspominam ścieżki do nich wiodące, elastyczne i miękkie odbijające wiernie ślady stóp ludzkich, malutkie podkówki butów chłopek, wśród zwisających gałęzi wierzb, czered białopiórych gęsi na rozległych wygonach. Stojąca w szuwarach woda wydziela ostry zapach butwiejących trzcina, ostry i rybi. Z rozkoszą pomieszana ze wstrętem zanurzałem się w ciemną toń porośłą trzcina i żabim skrzekiem. Żuki na szczydłowatych nogach pobiegały po jej powierzchni. Grube, skórzane liście lilij wodnych leżały płasko na wodzie. Łodygi wodorostów oplątują i łaskocą nogi i pęcherzyki gazu błotnego z bulgotem pryskają naokoło mnie. Grobla zamykająca stawy szczyrzyła się próchnięjącymi patykami faszyny i leniwie przeciekała woda w brodatym od mchów wodnych jazie. Mokną obręcze kół wozów po osie w wodzie stojących i kręgi rozchodzą się z miejsc gdzie kąpią krople z pysków pijących koni.

Potem leżałem nago na stratowanej trawie brzegu, mając gęsią skórkę od zetknięcia się z taką surowizną, bez izolacji ubrania. Patrzyłem w prześać nieba, rozwartą nade mną czy pode mną?

Patrzyłem na obłoki. Podobno była to ulubiona zabawa królów perskich — patrzeć na chmury, na obłoki. Te najczarowniejsze wykwitają na południo-wschodzie. Układają się w głąb zdecydowanie wyraźnie. Ta stereoskopowość zależy w znacznej mierze od oświetlenia słońcem w porze popołudniowej. Rzucają na siebie wzajem cienie i te w cieniu nabierają fiołkowej barwy, w odróżnieniu od różowej bieli ich partii oświetlonych. Nagrzany słońcem słup gorącego powietrza zaczyna znaczyć swój komin wznoszącym się kłębem kumulusu, przeradza się niewidocznie w kształty, które kaprys i wyobraźnia przyodziewa w porównania od banalnych asocjacji wzrokowych do surrealistycznych kompozycji. Rozpływa się potem w charakterystycznym kowadle chmur. Sztuka obserwacji chmur jest nieodłączna od stanu rozleniwienia, który absolutnie nie pozwala na rzeczowe skojarzenia i logikę trzeźwości.

Albo inne, kiedy z wujem mym Mamertem Górskim wyjeżdżałem małym wózkiem o jednym dużym siedzeniu, t.zw. ameryką, w pole do robót. Przy niebiosiężnych stertach zboża dymił komin lokomobili i w straszliwym pyle i kurzu młocarni zwijały się dziewczyny w czerwonych „zapaskach” a bęben młocarni wyl ponuro w chwilach wolnych między jednym a drugim kęsem chrzęszczących snopów. Tymczasem fornalskie czwórki na gorąco zaotywały ścierniska między stertami i czarnoziem na lśniących skibach dymił w zachodzie słońca. Jakies drzewa rozczapierały się wzdłuż drogi i ja czekając na koniec rozmowy jaką miał mój wuj z ekonomem patrzyłem na obłoki południowozachodu, obłoki układające się kompozycyjnie jak dalekoplanowe pejzaże u malarzy quattrocenta, wydłużające się w dalekie perspektywy, w dale, kłębiące się kopułami i minaretami Bagdadu chmur, stwarzające dantejskie kręgi, przestylizujące się w feerie o klasycznej harmonii.

Nie miałem świadomości, patrząc tak, nie miałem wycucia przepłyającego czasu, czy też wydawało mi się, może najśluszniej że ta chwila, sama jedyna w sobie powinna mi wystarczyć na zawsze, że urągając przemijalności pozostanie moją nieodpartą własnością, raz utrwaloną i jedyną

Chodziłem popołudniami na długie wędrowki po wzgórzach. Towarzyszył mi w tych peregrinacjach młody pies, bastard legawej sukki i jakiegoś kundysa po którym odziedziczył ordynarny czarny włos a po niej piękne kształty. Imienia jego nie przypominam już sobie. Jak wszystkie młode psy miał ciężkie, grube łapy i zdyszany opierał je na mnie, brudząc mi błotem ubranie.

Chodziliśmy ścieżką wspinającą się na południowe garby wzgórz. Z tyłu za nami pozostawał tor kolejowy, z wzniesionymi na przejeździe barierami. Potem mijano się zabudowania cegielni, z całym otaczającym ją terenem dolów po wybranej glinie. A potem zaczynały się równoległe biegnące pasma wzgórz. Pokrywał je jakiś nieświetny rodzaj gleby wapiennej i szczyrzył się na niej nijaki plon. Dalej smużyły się lasy.

Wiódł mię mało uczęszczany szlak-ścieżka. Schodziło się z garbu w niezbyt rozległe alluwialne doliny i zaczynało się podchodzić na nowy wał. Doliny były przepiękne w maju. Zarastały wspaniałą trawą, przetkaną kwiatami, których świeżość i delikatność nieziemska chwytiała wzruszeniem za gardło. Nad biegnącą środkiem strugą wyrastały pochylone pnie wierzb które okaleczone w młodości strzyszyły się kulami gałęzi. Ich wicie o młodej połyskującej korze krzyżowały się i splątywały z sąsiednimi. Trawa rosła prosto i strzeliście i nadawała całemu terenowi urok jakiejś dziewiczości i wrażenie że to kraina nietknięta przez człowieka od stworzenia świata. Potok sączył się między urwistymi brzegami

i chlupotał na wyrwiskach lub napotkanej, spadłej, zagradzającej przepływ gałęzi. Dmuchawce znaczyły pole nierwałymi punktami i polatywały płatki motyli-kapustników. Cały przedziwny, rozrzutnie rozmaity świat kwiatów zalegał dolinę. Było tam dobrze aż do niepokoju, do niemożności pozostania w miejscu, można było w tym przesyć harmonii i spokoju wytrwać czas ograniczony.

Odchodziłem stamtąd z niezmiernym żalem i ulgą.

Ten czar trwał określone terminy wiosenne. Ale w jesieni łąka stawała się pusta i łysa, jej cały wyraz ulatywał wraz z kulami dmuchawców, jej starca martwota nie miała w sobie ani szczypty atrakcyjności. Przebywałem doliny z mym wiernym psem, szybko i wstydzając się niezrozumiałych i miękkich uczuć czasu wiosny.

Mieliśmy ważniejsze sprawy. Ciekawił nas niezauważalnie zmieniający się w oczach koloryt pejzażu w jesieni. Po zbiorach kiedy grunty zostały zaorane a oziminy jeszcze nie wzeszły, ziemia jak odarta ze skóry czerwieniła się kolorem gliny. Lasy czerniły się nieregularnymi plamami i przechodziły w kobaltowe smugi na horyzoncie.

Panował już ostry chłód i bielili się urwiska gliniastych wzgórz plamami pierwszego szronu kiedy ja i pies zawędrowaliśmy tam jednego dnia. Przedzieraliśmy się dzunglą nieprzebytą pni leśnych, zagajników i polan, z wysoką na wzrost człowieka, żółtą, jeszcze letnią trawą. Graby i dęby, świerki i dzikie grusze. Wjazdy do tajemniczych swymi perspektywami linii leśnych, zamknięte z gruba ociosanym pniem na którym płoszymy złotopiórego bażanta. Sokół jak Hawker-Hurricane unosi się wysoko w zenicie. Zapuszczamy się w gąszcz z drgnieniem i uciskiem serca. Wieje od lasu pustką i pełnią spraw które są nie do poznania dla człowieka. Jest niezrozumiały i upokarza mię jego zamknięcie się w sobie. Tylko kojące są wdzięczne i smukłe jak panny drzewka brzoź. Błyskają jedwabiem kory i obsypują się pyłem drobnych, żółtych listków. Żółtość ta jest specjalnego rodzaju, bardzo ciepła, jakby dla brzoź tylko zarezerwowana.

Pochylam się na krętej drodze leśnej nad ścierwem lisa. Jego futerko płomieni się, w wyszczerzeniu się śmiertelnym zębów naśmiewa się i odgradza od świata, zanim milczący koniec sprawią mu kroluce i wrony.

Wracaliśmy pod wieczór w pobok wsi. Ze wzgórz, z kęp drzew, z osiedli i samotni wyrastały cerkwie. Trzy piętrzące się piramidy dachów, czworo i ośmiościanów. Stare gonty zastępuje często sina biel blachy cynkowej. Wyglądają z daleka jak galeony z rozpiętymi wszystkimi żaglami. Płyną ze wschodu na zachód po tajemniczych farwaterach, według niezgłębianych róż wiatrów. Czerwienią się w zachodach słońc, czernią na tle wygwieżdżonego nieba, kołyszą w tłumie świątecznego, pośpiesznego bełkotu dzwonów, palą się w nich ikonostasy i carskie wrota, wierna załoga diaków, popów i dziadów okadza ich święte przyciesie i zręby. Ich zewnętrzne okapy osłaniają wyparte przez jarmarczne oleodruki naiwne prymitywy sztuki malarskiej Bizancjum. Wyobrażona na nich Trójca Święta surowo odgraniczy dobro od złego, niebo od czeluści piekielnych na których czerwonym tle straszni i komiczni szatani wykonują smutny obowiązek dręczenia potępionych. Budowane są bez użycia funta żelaza. Ich ściany z dyli kładzionych wieńcem łączone są na zawily zamek, którego skomplikowany, uświęcony wiekami zacios został przyniesiony tu z pamięcią, cedrowych słojuw drzew Pamiru czy od czasów kiedy Wikingowie porzuciwszy swe kościoły z przewróconych dnem do góry łodzi zaczęli stawiać swe pierwsze gontyny. Cmentarz około cerkwi, święty teren zabaw i gier tak starych prawie jak alluwalne doliny w których stoi cerkwiszczce otacza sędziwy parkan o deskach wypuczonych i stałych od starości.

Kiedy wracaliśmy do domu to już ostre ćwieki gwiazd nabijały dekoracje strato-cumulosów na południu.

Siadywaliśmy wieczorami w pokoju na dole, pokoju który w miesiące zimowe służył za salon, jadalnię, pokój lekcyjny itp. Był urządzony ze spartańską prostotą, pozwalającą na połączenie kompletu wiktoriańskich mebli, ciężkiego gdańskiego kredensu i wyplatanych trzciniowych foteli. Na kaflowym gzymsie kominka stało kilka greckich, miniaturowych dzbanuszków z bladymi śladami malowanych liści akantu i srebrny komplet do czarnej kawy z zimnymi błyskami na polerowanych płaszczyznach.

Salon był pomalowany na różowy, „pompejański” kolor i na tych ścianach odcinały się jedynie złocone, owalne kopie Fragonarda, wycięte ze świątecznych numerów „l'Illustration”. Ciężka zasłona z zielonego wołjoku dzieliła salon od sieni-hallu. Tu czerni się podłużna szafa stojącego zegaru. Pociemniały mahoń lśni w blaskach ognia. Za szkłem bezszelestnie chodzi tam i z powrotem dysk wahadła. U góry błada, matowa tarcza z wydłużonymi rzymskimi XII, I, II, III, IV, VIII jak szprychy koła zbiegającymi się do środka. Pośrodku wyczelowany napis: *John Wait London*.

Wśród blaszано-suchych dożynekowych wieńców roztaczają swe skrzydła wypchane orły i rybołowy. Pełno gratów ze wsi i szlacheckiego gospodarstwa. Jakieś panwie miedziane i pokryte grynszpanem, do smażenia ryb, rogi kozłów, wieńce jelenie, utwierdzone na drewnianych tarczach z wypaloną na nich datą i miejscem zdobycia trofeum, „Hurcza 1878”, „Zielony Kąt w marcu 1838”, „1867 Halileja”, kły i czaszki dzików, wyleniałe skóry borsucze, muszle morskie białe i kolorowe, gładkie i nakrapiane z niezapomnianym szumem dalekich mórz kiedy ich różowe konchy zbliżyć do ucha, szatkownice do kapusty, becзки, kufry, skrzynie, meble i fotele z wylazącym włosiem, przesiąknięte zapachem cygar, rozmaitego rodzaju bibeloty, świeczniki, fajki, popielniczki, dywany stare i wytarte, na których utkane były i wyobrażone sceny z tawern, gdzie kawalerowie w kapeluszach ze strusimi piórami i w butach z wywiniętymi cholewami umizgali się do piersistych i koronkami przybranych Flamandek albo psy monstrualne i rasowe obracały swoje łagodne oczy na pawie i perlice. Sztuchy, litografie kolorowe i staloryty.

Na zewnątrz tło stanowią potężne drzewa. Wyrosłe przy domu, osiadły słupami pni, przechodzących w górze w czarną i fiołkową siatkę gałęzi i gałązek. Na trawniku przed domem, trawniku pocukrowanym teraz śniegiem, na kamiennym, empirowym postumencie, zegar słoneczny. Szara poczerniała od deszczów płyta ma rysowany, wryty sun dial osadzony śpiżowy wskaźnik jest pokryty zielonym nalotem.

Kiedy na świecie jest ponury, zaciągnięty chmurami dzień kiedy smugi śniegu wlezione wiatrem siekają szare mury i okna domu wydaje się że zegar słoneczny emanuje z siebie akumulowane w gorące dni lata światło słoneczne.

Odwoziłem Pannę na stację kolejową kiedy wyjeżdżała do Lwowa. Było niedzielne popołudnie a właściwie wieczór, kiedy tak szybko zapada zmrok na zsiniałe w mrozie pola śniegu. Nie chciałem psuć fernalowi niedzieli i sam poszedłem do stajni „zakładać”. Wrota stajni zawsze otwarte, zima czy lato kryły czeluść mroku. Ostry zapach końskiego nawozu. Po ciemku zachodzę konie od tyłu. Na pamięć odnajduję uprząż. Parciane szleje z guzowatymi postronkami, szorstkie lejce; naszelniki z dzwoniącymi łańcuchami zostają zawsze u dyszla sań. Konie posłusznie na głos „nastap!” przypierają się do przedzielników, na chwilę odrywają pyski od chrupiącego obroku. Nakładając uprząż obejmuję ich drgające życiem szyje oburącz. Opierają się kiedy je kieltnam i wyprowadzam ze stajni. Trudno jest zaczepić stwardniałe jak żelazo pętle postronków o orczyki.

Wodze rozdzielone. Przysiadam bokiem niskie sanie, przysykanie podściółką słomy, tak że nie widać niskich płóz w śniegu. Popuszczam wodzy niecierpliwym się koniom i zrywają z miejsca. Łukiem zajeżdżam przed ganek. Panna jest w dużym futrze, w lisim kołnierzu znika jej twarz oczy tylko błyszczą pod kresą kapelusza. Uduje mi się przykryć słomę kraciatą derą a nam nogi ciężką baranicą. Konie ponoszą z miejsca. Sanie płyną między niewyraźnymi brzegami drogi. Śnieg jest kopny i sypki. Kiedy wyjeżdżamy poza ostatnie płoty zabudowań dostajemy uderzenie wiatru i niesionego śniegu. Widzę przed sobą tylko buchające parą kłęby końskie w rytmie wyciągniętego kłusa. Biel śniegu zlewa się z mleczną kopułą nieba w jedną białą kulę. Powietrze łopocze jak sztandar na wietrze i huczy jak żagle brygantyny. Wychynie od czasu do czasu cień samotny przydrożnej wierzby, ledwie widoczny za muślinem zadymki. Mróz pali twarz i czuję jego kleszcze w końcach palców, mimo rękawiczek. Koło oczu przelatują grudy wyrwanego kopytami śniegu.

Kiedy pierwsze wiosenne promienie słońca tają śnieg na wydeptanych drogach ludzkich, górą w zenicie przeganiają się obłoki w pośpiechu gnane przez ciemnoniebieskie zatoki nieba. Wicher zimny potrząsa nagimi gałęziami drzew. Czarne wody rozlewisk wiernie odbijają niebieskie gonyty. Jest to może okres kiedy niebo jest najbliższe ziemi. W innych porach roku dotkliwie odczuwam „splendid isolation” przepaści niebieskich, odosobnienie olimpijskie ich spraw od tak zwanego ziemskiego padolu.

O wiosnie jest bardzo trudno pisać, bardzo łatwo jest wpaść w banał, emfazę i patos. Wobec jej wspaniałego zjawiska powtarzalnego cudownie co roku stajemy popodpierani zewsząd pleonazmami i truizmami, wydawałoby się że jest to wszystko znane i otrzaskane do znudzenia.

Wychodziłem rano na gazon gdzie stał okaleczony pień, kadłub kasztana. Był skośnie ścięty piłą na wysokości półtora metra, ale oszczędzono mu jakiejś gałęzi, która groteskowo i kapryśnie powykęcana, jak namalowana tuszem na chińskim obrazku odstrzelala w bok od martwej masy pniaczyska. Jej zgrubienia i zakończenie wypuściły pęki skupione, brązowe i lepkie, Czulo się w nich niebywale skupione, zamagazynowane życie. Co ranka widzieć można było postępy uparty i samolubny w ich rozwoju. Oto pąki nie są już zbite i caliste ale zaczynają się delikatnie rozluźniać i rozczapierzać. Brązowa łuska odchyła się i ukazuje delikatną zieleń wnętrza. Jeżeli pochodzi się tak przez tydzień do tego wybranego pnia i myśli się potem w skrócie to ma się efekt filmu „au ralenti“ jakby jakiegoś naukowo-popularnego filmu z życia roślin. Przymknąć tylko oczy i gałąź rusza się i wije przerażająco i rośnie w oczach i wydłuża, bezwstydnym poród na oczach odbywa się z całą siłą i energią natury. Pszczoły, wczesne i odważne, pszczoły pierwszych dni wiosny dają się nabierać na ostre zapach pęków i przyklejają się do ich ociekających roślinną posoką łusek. A potem rozprostowują się pierwsze listeczki. Są jasnozielone, mają jeszcze swe delikatne fałdy i złożenia i dopóki nie podrosną są trochę wstrętne i miniaturowo zniekształcone jak embriony wczesnych miesięcy poczęcia, widziane w słojach kliniki położniczej.

Potem już wybuchają w zawrotnym tempie pierzaste skupiska liści rezolutnych i tak naturalnie się czujących jakby tu trwały od czasu lasów paprociowych okresu dewońskiego. Kiedy będzie to rok różki chrabąszczów to niedługo będzie ich pyszny żywot. Zostaną po nich objedzone łodygi i drzewo długo przecierpi zanim wyda ich następną edycję, anemiczną i schorzałą, już w pełni upalnego lata.

Nie można zapatrywać się na wyłączone zjawisko wiosenne kasztana, choćby to dla nas było łatwe takie ześrodkowanie, ale należy patrzeć uważnie co się dzieje dokoła. Trawa naturalnie już dawno i niepostrzeżenie wybujała po rowach, sadach, łąkach, skarpach, pastwiskach, między grządkami,

na starych dachach i murach. Wszędzie gdzie jej nie posiali. Jest pierwsza ale ustępliwa. Toruje drogę daje przykład tysiącu fantastycznych bylin i roślin które zaczynają prześcigiwać się w konkursie kształtów, oryginalności i ekskluzywności wyglądu, odcieni zieleni, pór kwitnienia i umierania. Rośnie to wszystko na grobach swych przodków sprzed roku, tu odbywa się ceremoniał ich aktów miłosnych, tu popieleją potem w blaskach gorącego słońca i gniją w wilgoci wielodniowych słót. Depcze po nich stopa niecierpliwego człowieka i kopyto cierpliwego zwierza. Chylą się w wietrze dmącym od północo-zachodu i plami je centkowany cień słońca. Patrzą kwiatami jednych w niebo i zamysłają pochyłonymi kielichami innych nad próchnicą. Upadają gdzie je stratowano i podnoszą się tem gdzie słońce i woda najbardziej sprzyjają. Pachną nazwami jakie im nadali uczeni maniacy, znachorzy leśni lub zakochani.

Do miasteczka jechało się przez tak zwane „Czarne”. Droga powoli wspinała się na płaski garb, na którego szczycie rozpinął ramiona krzyż zapomnianego cmentarza wojennego. Potem biegła wśród akrow zielonej oziminy, przechodziła rozlewiska strugi, zające podrywały się spod miedz i daleko podlatywały z najsmutniejszym krzykiem czajki. Koło karczmy na rozstaju wózek miękko kołyszący się w cieście błota chwycił wartki rytm na bitym gościńcu. Siedzący na koźle Pańko sztywny i poprawny, umiejętnie wybierał lepsze miejsca zle utrzymanej arterii komunikacyjnej. Ściśnięty pasem, z podwiniętym, kraciastym kocem podróżnym nigdy się nie oglądał i oszczędnie zażywał bata rwącym i tak koniom.

Droga znaczona pryzmami tłucznia, szła zdecydowanie prostą linią od zakrętu do zakrętu. Po obu stronach zieleniała, przetykana plamami piasku, trawa. Dął wiosenny wiatr i lśniły wiosenne kałuże. Sosny małe i rozkrzaczane chyliły swe srebrno-siwe korony. Z turkotem mijały się młost młynówki, w cieniu wielkiego gmaszyska młyna. Na bramie wjazdowej widniał runiczny Lis, herb jakiegoś magnackiego właściciela. Znow zakręt i wjeżdżało się w zwarty las sosnowy. Nadbiegały dalekie i świetliste perspektywy linii i przesieków leśnych. Wśród drzew rządziły się sroki o długich ogonach i błyskały białymi piórami.

Potem las kończył się i niespodziewanie ukazywały się zabudowania miasteczka. Chaos dachów, beznadziejne słupy telegraficzne z lśniącą bielą porcelanowych izolatorów. Trzeba było długo czekać przed zamkniętym przejazdem kolejowym za którym sapała spocona lokomotywa.

W końcu z budki nastawniczego wychodził zgarbiony kolejarz i kręcił korbą mechanizmu rampy.

Miasteczko ze swymi domami, które słoty ubóstwo poplamiały trądem było szare i płaskie pod sklepieniem niebios. W uliczkach biegnących do rynku cisnęły się do siebie żydowskie sklepiki. Otwierały swe drzwi z luszczącą się na deskach farbą, obwieszone żelaziwem, łańcuchami, tandetą manufaktury, wiankami cebuli i krzykliwymi reklamami cykorii z emaliowanej blachy. Ubóstwo i codzienność tego miasteczka przenosiły je prawie w sfery mistyczne. Chodziliśmy z Panną wśród tych uliczek za jakimiś interesami, ale właściwie byliśmy jak zac zadzeni. Niebieskie niebo przeziarało ponad dachami, które przeżarła rdza tam gdzie znikło posrebrzenie cynkowe. Ściany domów bładoniebieskie lub bladorożowe popstrzone były odpryskami błota i gliny.

Obszerny rynek jest źle zniwelowany i podle zabrukowany ale dzieje się to w cieniu wspaniałej kolegiaty, o liniach renesansu tak czystych że doznaje się po prostu fizycznego ukojenia. Harmonia gmachu, jego spokój, дума, skończoność dają wrażenie zamkniętej myśli ludzkiej. To nic że dzieje się ta architektura na najbardziej ubogim tle, że ubóstwo i pustka jej towarzyszące, zapomnienie i nieuchronna groźba czasu nad nią zawieszane, chciałyby pomniejszyć tę wspaniałość. Chodzimy naokoło tego kościoła, dotykamy ukradkiem chropawych murów, zanurzamy się w cień

jego wnętrza. Różowy marmur jest świeży i rumiany jakby nim okładano ściany nie trzysta lat temu ale wczoraj. Ciężkie płótna obrazów Altamontego czernią się kolosalnymi kwadratami na murach naw i u dołu wiszą fałdą jak żagle. Alabaster pomników nagrobkowych ma ciepło skóry kobiecej. Kopuła na transepcie pęka i wpuszcza wodospad światła.

Stoimy w otoczeniu żydowskich dzieci i niedojdy nosiwoży miasteczkowego i podziwiamy jeszcze portal kościoła, który jest już barokowy, z wrzeźbioną infułą i herbem biskupa, którego czarny szki:let leży pod wydeptaną płytą w głównej nawie, potem znów chodzimy po zaułkach miasteczka, zaglądamy w bezdenną studnię u zejścia nad stawy, mijamy domki i drewniane i oszklone ganeczki mieszczan, chodzimy zabloconymi drewnianymi chodnikami niedostępnymi dla dostojnych i szanownych jak w Indiach krów.

To było żydowskie święto Hamana i te dzieci ciągnące się za nami były niezdarnie i litościwie śmiesznie poumazywane na twarzach prymitywnymi kolorami i węglem i w papierowych przybraniach głów. Dzieci były krzykliwe i wyraźnie nami urzczone. Trzymaliśmy się z Panną pod rękę, z trudem zachowywaliśmy równowagę nad kałużami które otwierały pod nami przepaście z błękitniejącym niebem. Chodziliśmy po składach drzewa gdzie żywiczno-terpentynowe wonie rozlewały się między stosami desek. Trociny zasypywały błoto żółtawą mąką. Wychodziliśmy ze składów i znów natykaliśmy się na dziecięcopakalipytyczne pochody.

Słońce przetaczało się ponad miasteczkiem i rzucało urzekające blaski na dachy i płoty. Pańko odmotywał wodze od słupa i kielznał niecierpliwie się konie. Długie skośne promienie leżały w poprzek drogi. Szczyty drzew złościły się jak unurzane w złocie. Furman nie oglądał się wstecz.

FLORIAN SOKOŁÓW

OBITER DICTA

*„Jeżeli jeszcze czego tam w Europie pragnę,
To błotnistej kałuży, gdzie w zmrokowej chwili,
Dziecina, pełna smutku, kucnąwszy nad bagnem,
Puszczą statki, węższe od pierwszych motyli”.*
Arthur Rimbaud, „Bateau Ivre” tłum. Miriama.

Ojciec mój, który szedł przez życie z pobłażliwym uśmiechem dla słabości ludzkich, mawiał często, że głupców można podzielić na dwie kategorie: zimowych i letnich. Zimowego głupca niełatwo zidentyfikować. Jest on, jak człowiek w ciężkim futrze, czapie nasuniętej na uszy, otulony, zakapturzony przyrodziewkiem frazeologii, cytat, terminów naukowych i różnych zewnętrznych efektów, mogących wywołać wrażenie mądrości i przez to wprowadzać w błąd. Poznaje się go powoli, gdy się na dobre rozbrzyże, a może to potrwać dość długo. Letni głupiec jest jak człowiek, ubrany „do figury”. Powie kilka słów i od razu widać, że dureń. Ci są najmniej szkodliwi.

Parabolę tę można byłoby zastosować nie tylko do głupców. Stokroć bardziej niebezpieczny jest kamuflaż, jakim posługują się dla ogłupiania swych bliźnich ludzie, którym nie brak rozumu, ani sprytu, którzy umieją doskonale dbać o swój interes, czy też o interes swej partii lub doktryny. Mają oni zawsze do rozporządzenia zimowy kamuflaż słów i hasel, działających na szerokie masy, który stał się jedną z plag ludzkości. Oparta jest na tym cała technika demagogii. Hamulce, jakie nakłada demokracja,

nie istnieją w krajach totalistycznych. Tę dymną zasłonę wielkich słów, za którymi kryją się bądź kłamstwa, bądź — co jeszcze gorsze — półprawdy, tym trudniej zwalczać, im silniejsze wywołują one reakcje emocjonalne. Pewne kanonizowane słowa, zwłaszcza z dziedziny frazeologii „patriotycznej” są jak dzikie zwierzęta, wypuszczone z klatek. Szerzą spustoszenia o nieobliczalnych następstwach. Zaciemniają umysły, rozpalają namiętności, rodzą masowe przesady i psychozy, na długie lata zatruwające życie społeczeństw. Nie wiele pomoże obalenie dyktatorów, jeśli nie zniesiemy tyranii, czy też magii słów, która stała się ich najskuteczniejszą bronią, jeśli nie rozładujemy, zdezynfekujemy, pozbawimy mocy sugestywnej całego leksykonu sloganów, takich czy innych, które kierują przeciętnego obywatela po linii najmniejszego oporu myślowego, rozbrajając jego zdrowy „common sense”, zabijając krytycyzm, czyniąc zeń powolne narzędzie w ręku rządzących klik.

Obok słów, które Stuart Chase w swej doskonałej książce „The Tyranny of Words” dzieli na trzy rodzaje: „terms of indiscriminate abuse, sacred dogmas, terms of visionary escape”, istnieją również słowa, które zaliczyłbym do kategorii wyrazów usypiających. Jednym z nich jest słowo „Europa”, jako pojęcie polityczne. Nie schodzi ono z ust mężów stanu, polityków i publicystów, powtarzają je chóralnie wszystkie papugi ludzkie, a używane jest dla najróżniejszych celów. Nikt nie potrafi dokładnie zdefiniować jego treści. Jaka Europa? Gdzie się zaczyna i gdzie kończy? Czy jest istotnie czymś więcej, niż nazwą geograficzną? Szczycimy się cywilizacją europejską. Pięknie wygląda ta cywilizacja, która doprowadziła do tego, że Bogu ducha winni ludzie spędzają bezsenne noce na czekaniu, aż bomby im spadną na głowy. Jeszcze przed tą wojną, podczas rewolucji hiszpańskiej, biskup Chelmsfordu pisał pod wrażeniem morderczych nalotów gen. Franco na miasto Guernica, że należy dobrze zastanowić się, czy tę cywilizację, mieniając się bluźnierczo chrześcijańską, warto ratować. Już znacznie dawniej słowo „Europa” budziło poważne zastrzeżenia w krytycznych umysłach. Angielski mąż stanu, Sir Charles Dilke, bardzo dosadnie je scharakteryzował w r. 1879. „They talk of Europe. What is Europe? A number of wicked old men assembled round a green table”.

Od wieków kontynent europejski był terenem wzajemnego wyrzynania się narodów. Jakież więc uzasadnienie ma kompleks wyższości moralnej „europejczyków” wobec mieszkańców innych części świata? Falszem historycznym, a co najmniej grubą przesadą jest nazywanie chrześcijaństwa produktem cywilizacji europejskiej. Nadużywanie słów Europa, zachodnia kultura i t.d. byłoby zresztą rzeczą obojętną, gdyby nie łączyła się z tym jakaś niczym nieusprawiedliwiona pogarda dla cywilizacji innych kontynentów.

Terminologia ta prowadzi do zupełnych absurdów. Stosując ją ściśle należałoby twierdzić, że Tolstoj lub Ghandi stoją na niższym poziomie moralnym, niż Bismarck lub Hitler, którym nie można przecież odmówić prawa do reprezentowania wielkiego narodu historycznego w samym sercu Europy. Należałoby również mniej szafować słowem Europa, jako symbolem doskonałości, choćby ze względu na Amerykę, która ma przecież też cywilizację nie ostatniego rzędu, w wielu dziedzinach przecięgającą swą starą macierz.

Pozwoliłem sobie tu zwrócić uwagę na jeden z popularnych, a nic nie mówiących sloganów, które najmniej nadają się do tego, by operować nimi na tutejszym gruncie, szczególnie jeśli chodzi o obronę słusznych praw mniejszych narodów przeciw ekspansji mocarstwa rosyjskiego. Można znaleźć bardziej przekonujące opinie angielską argumenty. I w ogóle, jeśli będziemy upajać się sloganami, istnieje obawa, że statki, jakie budujemy na przyszłość okażą się jeszcze wątlejsze, niż statki owego smutnego dziecka z wiersza Rimbaud'a.

Wracając do zimowych głupców, należy stwierdzić, iż są oni niewinnymi barankami w porównaniu z zimowymi draniami (*sit venia verbo*) od których roi się na świecie. Linia ich podziału bynajmniej nie zbiega się całkowicie z linią frontów obecnej wojny.

Nie ludźmy się, że to jest jedna wojna. Toczy się cały szereg wojen zsynchronizowanych. Jest wojna mocarstw anglosaskich i ich pomniejszych sprzymierzeńców z Niemcami, wojna Rosji z Niemcami, wojna na Dalekim Wschodzie bez Rosji, wojny na frontach podziemnych. Niemcy, którzy stracili już nadzieję, że uda im się wyjść obronną ręką z wojny głównej, wierzą jeszcze, że na boiskach drugoplanowych powetują swe klęski. Liczą oni na konflikty między sojusznikami, na zmęczenie psychiczne walczących demokracji, na ich takie czy inne rozterki wewnętrzne, osłabiające wspólny wysiłek. Jakkolwiek nie brak elementów zakłócających jedność aliantów, rachuby Niemiec, iż uda im się skapitalizować je na swoją korzyść przed ostateczną klęską, są z gruntu fałszywe.

Faza wojny, w jaką wkroczyliśmy, jest najcięższą dla ludzi, którzy już teraz szukają w obecnych zmaganiach światowych hasel, wypisanych na sztandarach aliantów. Czy stanowi to niespodziankę? Kryzys ideologiczny, jaki zarysował się i jest najdotkliwiej odczuwany przez t.zw. małe narody, był do przewidzenia. Wojna ma swoją logikę. Najmocniejszym jej argumentem są nie cele, lecz środki, nie deklaracje, lecz względy strategiczne, wobec których sprawy inne schodzą na dalszy plan. *Inter arma silent non solum Musae, sed etiam principia*. Cóż znaczą oderwane zasady Karty Atlantyckiej, wobec konieczności pokonania wspólnego wroga? Rozczarowanie wynika w dużym stopniu z pomieszania celu wojny, którym jest zwycięstwo, z celami pokoju — ugruntowaniem nowego, sprawiedliwego ładu. Praktyczny zmysł Anglików stara się nie wybiegać myślą za daleko, podporządkowuje wszystkie sprawy zwycięstwu nad Niemcami, które z hierarchii celów stawia na pierwszym miejscu. *First thing first*. Pod tym kątem patrzy na politykę swego rządu w stosunku do sojuszników opinia brytyjska. Wychodzi ona z założenia, że decyzje ostateczne powzięte zostaną po wojnie, a tymczasem należy unikać wszystkiego, co mogłoby narazić i tak niezbyt idealną koalicję aliantów na ciężkie próby. Wypływa stąd, iż stanowisko, jakie zajmuje ona w stosunku do poszczególnych problemów, w szczególności do sprawy polskiej, uważanej za „*test case*”, jest nie tyle zasadnicze, ile koniunkturalne.

Nie brak przykładów z poprzedniej wojny, wskazujących na to, że przyrzeczenia, jakie dawali sobie wzajemnie sojusznicy, nie miały efektu wiążącego, a rozstrzygnięcia definitywne zapadały dopiero na konferencji pokojowej pod wpływem układu sił po zakończeniu działań wojennych. *Dopóki trwają walki, nigdy nic w tych sprawach nie jest przesądzone*.

Czy wojna dobiega kresu? Nie ma rzeczy bardziej zawodnej, niż prorocztwa na ten temat. Churchill i Roosevelt ostrzegają przed zbitnym optymizmem. Wiele jednak przemawia za tym, że wkroczyliśmy w jej końcową fazę, kiedy już żadne niespodzianki nie odwrócą biegu wypadków, staczających się dla Niemiec po pochyłej równi. W ciągu ostatnich dwóch miesięcy sytuacja ich fatalnie się pogorszyła na wszystkich frontach: lądowych, morskich i powietrznych. Niemcy twierdzą, że olbrzymie straty w ludziach i sprzęcie wojennym, jakie ponoszą w odwrocie z Rosji, dobrze się kalkulują, bo przez to zyskują na czasie. Drogo płacą oni za czas, a jeśli tak dalek pójdzie, nie prócz czasu im nie pozostanie, a będą go mieli aż nadto na rozpamiętywanie swych błędów, grzechów i zbrodni. Cofają się oni w Rosji z innych zgoła powodów. Przede wszystkim dlatego, że nie są w stanie powstrzymać ofensywy rosyjskiej. Po drugie dlatego, że tylko tam mogą skrócić swój front, tylko tam mają jeszcze wolną przestrzeń

dla manewrów odwrotowych — już nie Lebensraum, lecz Rueckzugsraum. Nie mogą przecież cofnąć się z zachodniego lub południowego wału fortecy Hitlera i wpuścić tam armie inwazyjne aliantów. Nie mogą z zachodu i południa ściągać posiłków na wschód. Niemcy nie wiedzą, gdzie i kiedy spadną na nich nowe ciosy, ale wiedzą, że może to nastąpić w każdej chwili i dlatego muszą rozpraszać swe siły od Norwegii do Biarritz, od Riwery do Bałkanów — wzdłuż kilkunastu tysięcy kilometrów wybrzeża Europy. Nie mogą oni również pozwolić sobie na zmniejszanie garnizonów w krajach okupowanych, gdzie trzymają się tylko terrorem i gdzie każde osłabienie ich wzmacnia fronty podziemne. Klęska Niemiec na zachodzie jest równie nieunikniona, jak na wschodzie, niepodobieństwem jest bowiem, by byli oni w stanie przez dłuższy czas jednocześnie zablokować lawinę rosyjską, stawiać opór sojusznikom na południe od Rzymu, znaleźć dostateczne siły na obronę przeciw Blitzowi powietrznemu aliantów, opanować sytuację na Bałkanach i zabezpieczyć się przeciw wielkiej inwazji wyzwolenia Europy. Wprawdzie Niemcy biją się jeszcze z determinacją i właściwą sobie umiejętnością i nie ma jeszcze oznak ich załamywania się od wewnątrz, lecz los ich jest przesądzony i prędzej, czy później ta cała machina wojenna Hitlera musi pęknąć z trzaskiem. Nie tylko narody zjednoczone, lecz kraje neutralne, jak również satelici Niemiec nie mają już dzisiaj co do tego najmniejszych wątpliwości.

W sierpniu zeszłego roku Włochy faszystowskie wytracone zostały z wojny. To pierwsze pęknięcie osi było tylko początkiem procesu rozkładowego, który przerzucił się obecnie na północ. Finlandia ma dosyć wojny. Po ostatnich klęskach niemieckich jej sytuacja, jako strony wojującej, stała się zupełnie beznadziejna. Wszyscy satelici i wasale Niemiec, którzy wierzyli w zwycięstwo Hitlera, znaleźli się w tym samym położeniu. Czekają oni z upragnieniem chwili, by jak najprędzej wydostać się z kleszczy swych niemieckich rozkazodawców. Im prędzej to uczynią, tym więcej nieszczęść zaoszczędzą swym krajom, zaprowadzonym na manowce przez oddanych Hitlerowi quislingów. Bułgaria nosi się z zamiarem pójścia w ślady Finlandii. Ruch domagający się zawarcia pokoju jest coraz silniejszy na Węgrzech, w Rumunii, na całym froncie bałkańskim Niemiec. Węgry zostały już okupowane przez armie Hitlera. Ten sam los czeka Bułgarię i Rumunię.

Różnymi argumentami stara się propaganda niemiecka uspokoić własny naród i zatrwożonych wasalów. Jednym z nich jest powoływanie się na „zmiennosc kolej wojny”. Alianci — twierdzi ona — byli również w sytuacji krytycznej, a jednak udało im się z niej wydostać. Czemuż więc nie miałyby to samo szczęście uśmiechnąć się Niemcom? Tu właśnie tkwi błąd, fałszywej analogii. Sojusznicy, mimo całej serii klęsk, nieustannie wzrastali na sile. Niemcy po swych klęskach nieustannie słabną. Nie są oni w stanie w żaden sposób wyrównać poniesionych strat. Stracili miliony najlepszych żołnierzy, stracili przewagę broni, stracili inicjatywę. Armia niemiecka bije się wciąż dobrze, ale duch jej nie jest już taki, jak na początku wojny. Bezpieczeństwo jej tyłów jest coraz więcej zagrożone. Przemysłowi i rolnictwu niemieckiemu brak własnych rąk roboczych. Muszą one posługiwać się przymusową pracą milionów robotników z podbitych krajów, którzy staną się owym Koniem Trojańskim, rozsadzającym fortecę od wewnątrz.

Spełnia się też na Niemczech *Fluch der boesen Tat*. Rozpętana przez nich wojna powietrzna uderza teraz w Niemcy ze stokroć większą siłą. Po jedenastu latach rządów Hitlera, u kresu wędrówki niemieckiego Herrenvolku na podbój świata, stolica Rzeszy przedstawia obraz nie dającego się opisać zniszczenia. Ulica po ulicy, dzielnica po dzielnicy zrównywane są z ziemią przez lotnictwo sprzymierzonych, które dzień w dzień, noc w noc zasypuje gradem bomb najważniejsze ośrodki przemysłu niemieckiego,

ich porty, stocznie, lotniska i linie komunikacyjne zarówno w samych Niemczech, jak i na okupowanych terytoriach. Ta ofensywa powietrzna, wzmagająca się bez przerwy na sile i zasięgu, skutecznie przygotowuje grunt do wielkiego decydującego ataku armii lądowych z wszystkich stron, który jest tylko kwestią czasu.

Istnieje cała defilada problemów, nierozwiązanych a może i nierozwiązalnych, wobec których sprawa granic wydaje się mniej istotną. Cóż z tego, że dane państwo będzie miało granice, uznane za najlepsze przez ekspertów wojskowych i gospodarczych, jeśli powrócimy do systemu przedwojennego, kiedy nie tylko male, lecz i wielkie państwa nie były zabezpieczone przed agresją. Wszelkie próby, zalecane przez t.zw. realistów, celem powierzchniowego tylko zmodyfikowania tego systemu a sprowadzające się właściwie jedynie do hegemonii wielkich mocarstw zwycięskich, nie trafiają w sedno rzeczy. Jest to nie tyle *common sense* ile *uncommon nonsense*, jako fundament trwałego pokoju. Trzeba być zupełnie pozbawionym zmysłu rzeczywistości, by nie rozumieć, że w dzisiejszym świecie nie ma problemów izolowanych, że jest tylko jedno międzynarodowe rozwiązanie wszystkich spraw narodowych. Dotyczy to w szczególności małych narodów. I dlatego w interesie ich niepodległego bytu leży, by wraz ze zwycięstwem aliantów zwyciężyły jednocześnie jak najszerze koncepcje organizacji międzynarodowej świata. Są to wszystko już truizmy, lecz te właśnie truizmy bywają najczęściej lekceważone w polityce. *Video meliora proboque, deteriora sequor* — tendencja do rozwiązań gorszych wbrew oczywistym faktom i doświadczeniu trzyma się uparcie w głowach nowych potentatów. Lord Morley mądrze kiedyś powiedział, „there is no worse jingo than a Jacobin turned jingo”. Mam tu na myśli tendencje do ekspansyj terytorialnych, do stref wpływów, do rozgrywek wielkomocarstwowych, krótko mówiąc do imperializmu w nowej postaci, jakiegokolwiek są jego motywy. *Stary Blimp angielski był jeszcze szczytem liberalizmu* i tolerancji w porównaniu z *Blimpami dernier cri*, niezależnie od ich barw.

Jeśli polityka ma być nadal grą kombinacyjną, a nie sztuką społecznia-
nia i pokojowego współzycia całej ludzkości, to przynajmniej trzeba, że jedną z najlepszych książek na temat nowego ładu świata napisał p. Ely Culbertson, słynny mistrz bridżowy. Książka ta p.t. „*Summary of the world federation plan*” daje bardzo misterną konstrukcję regionalnych związków z ogólnosiwiatowym aeropagiem na czele, z kontyngensami armii międzynarodowych, proporcjonalnie rozdzielonymi i zręcznie przetasowanymi, tak aby zablokowane młódki mogły być zabezpieczone przeciw najgroźniejszym atutom. W powodzi niezliczonych projektów planowania pomysł p. Culbertsona korzystnie wyróżnia się swą precyzją. Autorowi można raczej poczytywać za zaletę, że eliminuje z tej łamigłówni historię i etnografię. Utopijność jego polega na samym podejściu do problemu, który nigdy nie da się rozwiązać z góry, w sposób mechaniczny, bez brania pod uwagę procesów wewnętrznych, zachodzących w poszczególnych państwach międzynarodowego kolektywu. Ale ten domek z kart zbudowany został przynajmniej przez fachowca, co czyni książkę jego szczególnie zajmującą lekturą.

Goethe powiedział u schyłku swego życia, że czuje się, jak spóźniony gość w miejscowości kuracyjnej. Pusto i chłodno. Krótkie dni, długie wieczory. Prawie wszyscy już rozjechali się. Rzadko spotyka się znajomą twarz.

Uczucie to nie jest obce dzisiaj nawet tym, którym daleko do starości. Coraz większa pustka dokoła, aczkolwiek trudno nazwać świat dzisiejszy miejscowością kuracyjną. Dlaczego ci najlepsi odchodzą? Dlaczego

Maelstrom wojny ich właśnie porwał, wyrzucając na bezpieczne brzegi z odmętów swych wielu gorszych, mniej godnych istnienia? Już przed kilku miesiącami nadeszła wiadomość o śmierci w więzieniu sowieckim ś.p. Stefana Grosterna. Wydaje się ona, niestety, prawdziwą i chciałbym na tym miejscu poświęcić kilka słów pamięci mego kolegi i serdecznego przyjaciela, wybitnego dziennikarza polskiego, który był chlubą swego zawodu. Oddawał on mu się z zapalem i poświęceniem od wczesnej młodości, początkowo, jako korespondent petersburski „Nowej Gazety”, później, jako redaktor „Dziennika Petersburskiego”. Po powrocie do Warszawy ś.p. Stefan Grostern był kolejno jednym z głównych współpracowników „Kurierza Polskiego” pod redakcją Ignacego Rosnera, redaktorem „Epoki” i szeregu innych pism. Z wykształcenia filolog klasyczny, Stefan Grostern nie szukał, jak wielu innych, łatwego rozgłosu w swej pracy dziennikarskiej, ani też odskoczni dla kariery osobistej. Pracował ciężko i niezmordowanie przez całe życie, nie szczczędając sił, by postawić zawód, który umiłował, na najwyższym poziomie moralnym. Należał on do tego raczej rzadkiego typu dziennikarzy, którzy traktują prasę, jako obowiązek społeczny w najszlachetniejszym znaczeniu tego słowa. Nie znałem człowieka o bardziej nieposzlakowanym charakterze i większym uroku osobistym. Był najlepszym wychowawcą młodego pokolenia dziennikarzy polskich, którym zawsze starał się służyć swą radą i doświadczeniem. Ś.p. Stefan Grostern położył wielkie zasługi na polu organizacji zawodowej dziennikarstwa i był prezesem syndykatu dziennikarzy warszawskich. Zgon jego wywoła niewątpliwie najszczerzy żal wśród licznych jego przyjaciół i kolegów.

Spośród wielu wspomnień, które łączyły mnie ze Stefanem Grosternem, jeden drobny epizod żywo stoi przed moimi oczami, gdy słowa te piszę. Pragnę go odtworzyć, nie stracił on bowiem nic ze swej aktualności.

Któregoś dnia, jeszcze przed tamtą wojną, gdy siedzieliśmy przy biurku w redakcji „Dziennika Petersburskiego”, woźny wręczył nam kartę wizytową z nazwiskiem: Książę Piotr Kutuzow. Po chwili wszedł wysoki jegomość ze zwisającymi bokobrodami, w surducie, trzymając w ręku cylinder i rękawiczki. Staromodny gentleman, jak gdyby wycięty ze szytchów angielskich. Zaczął on od tego, że zawsze sympatyzował z Polską, aczkolwiek nie jest fanatykiem wolności narodów. Napomknął, że cierpienie uszlachetnia i że tylko narody uciskane wydają geniuszów, którzy mogą zbawić ludzkość. Czekaliśmy cierpliwie, co dalej. Książę wyjął z kieszeni sążnisty rękopis. Wielkie było zdumienie nasze, gdy zapoznał nas z jego treścią. Był to protest przeciw wyodrębnieniu Chełmszczyzny z Królestwa Kongresowego. Książę tłumaczył się, że wiedziony sympatią dla Polski tym razem odstępuje od swej zasady niesprzeciwiania się złu.

Szlachetny grafoman — pomyśleliśmy — obiecując umieścić jego utwór, jeśli cenzura na to pozwoli. Brak było czasu na wdawanie się w długą rozmowę, bo wybieraliśmy się właśnie, by po raz pierwszy w życiu zobaczyć pokaz lotniczy. Książę zauważył nasz pośpiech, wstał i zapytał czy nie udajemy się w tym samym kierunku, bo chętnieby nas podwiózł.

Gdy dowiedział się, o co chodzi, rzekł: „A więc do tego Panom tak się śpieszy. Bardzo Was żałuję!” Dlaczego? — zapytaliśmy, nic nie rozumiejąc.

Książę pomyślał przez chwilę i odparł tubalnym głosem: „Dotychczas przynajmniej niebo było czyste, nieskalane zbrodniami ludzkimi. Do nieba wdychaliśmy. Zsyłało ono nam życiodajną mannę. A teraz chcą nam splamić zbyszczęścić, skrwawić niebo”. Nie wiem, co się później z tym księciem stało, czy dożył rewolucji i jakim ciosem rażony przeniósł się na tamten świat, ale słowa jego były prorocze.

OPIUM W CELULOIDZIE

Starsi panowie nie zauważyli kina. Nie jest to złośliwość pod adresem starszych panów, ale wychowani oni byli w świecie, gdzie kino było czymś w złym guście, rodzajem dzisiejszych zachodnich „amusements saloons”. Kino, jakie dziś jeszcze zobaczyć można w amusements przy Piccadilly — wrzuca się pensa i widać przez szparę takie arcydzieła jak „Zuzanna i starcy”, „Ewa w kąpiel” lub „Niedyskretny parawan”. Obok co prawda stoją pałace kinowe — Odeony, Empire’y, Pavillony — i w nich pokazuje się znacznie udoskonaloną wersję innych nieco tematów lub tematów pokrewnych — lecz tego starsi panowie nie widzą. Nie dziwny się, rządzą światem, prowadzą wojny, biją Hitlera, nie mają czasu na kino. Ileż razy słyszałem od starszych panów — proszę pana, ja się na tym nie znam, ja do kina nie chodzę, ja od czasu wybuchu wojny miałem możliwość tylko 2 razy być w kinie. Ale masy walą. Żołnierze, dziewczyny, młodzież — chodzą do kina milionami. Tam w ciemne wojenne noce płynie jeszcze z ekranu srebrne światło — majaki narkotyczne w celuloidzie. Tam się ucieka od wojny i życia. Tam wielcy handlarze wzruszeń zbudowali nowe kościoły i nową religię kontrolowaną przez t.zw. „box-office success” — przez kasę i forszę. Kościół ten ma swoich cadyków w Hollywood, ma i w Londynie. Cadyki dyktują dogmaty, widzowie walą jak w dym, płacą forszę, kartele i koncerty rosną, rządy mocarstw z szacunkiem i strachem kłaniają się cadykom nisko w imię świętej Prywatnej Inicjatywy. Jest piąty rok wojny i czy rządy wielkich demokracji umiały użyć kina dla swych celów wojennych? Prawie wcale. Rząd brytyjski robi filmy ale kiniarze ich nie pokazują. Są to filmy o wiele lepsze od normalnego „towaru”. Jak kiedyś było bardzo źle — w r. 1940 — to jeszcze kina łaskawie dawały po 5 minut w programie filmom oficjalnym — jako wyraz „obywatelskiego poczucia”. Ale też pokazywano je nie wszędzie i czasem tylko rano na pustej sali. Teraz i tego nie ma. Kinowi cadycy powiadają, że publika nie chce wojny na ekranie — i nawet tych 5 minut nie dają. Rząd zadawała się własnymi pokazami „nontheatricals” — na wąskiej taśmie, w szkołach, fabrykach, obozach — pokazy te rozrosły się do ogromnej cyfry 15.000.000 widzów rocznie w W. Brytanii, ale daleko im jeszcze do popularności, doskonałości i przepychu przeciętnego widowiska w kinie.

W „X-muzie” w r. 1924 Karol Irzykowski napisał „Rozwój sztuki kinowej da się porównać z rozwojem rośliny przygniecionej kamieniem. Tymi kamieniami są przemysł i handel, które jej narzucają swoje warunki”. Nic się przez 20 lat nie zmieniło. Jest raczej gorzej nawet. W r. 1937 pisaliśmy w naszym piśmie Spółdzielni Autorów Filmowych — F.A. „Kino staje się elementarnym pokarmem duchowym młodzieży, mieszczan, robotników, bezrobotnych. Pojęcia etyczne i estetyczne mas kształcą się w kinach. W odpowiednim sensie użyte kino stać by się mogło potężną pomocą w przygotowaniu lepszego i pogodnego jutra narodów”. No i co, czy w piątym roku wojny przeciw zwierzęcym nacjonalizmom kino robi coś, aby przygotować lepsze jutro narodów? Nic a nic. Ani jeden film (nawet ani jeden dodatek) nie powstał jeszcze na temat braterstwa narodów — czy potrzeby

głoszenia ideałów nadnarodowych. Jedyna rzecz jaką się czasem propaguje to przyjaźń dla Sowietów — bo w oczach niektórych polityków na Zachodzie przyjaźń do Sowietów wydaje się uniwersalnym lekarstwem na wszystkie bolączki.

A przecież, jeśli istotnie kres tej wojny otworzyć ma epokę międzynarodowej współpracy w skali światowej (jasne, że jeśli jej nie otworzy to będzie niedługo trzecia wojna światowa — wobec której dwie pierwsze zbledną) — to współpraca ta musi dotrzeć do świadomości mas, masy trzeba wychować — a po szkołach i druku — kino najwięcej tu zrobić może.

Każdy krok w wielkim mieście Zachodu pokazuje co zdziałało kino. Sposób mówienia, ubrania, zachowania się, typ fizyczny niemal — wszystko to wzoruje się na ewangelii głoszonej w kinie. Jest to ewangelia zasad bardzo specjalnych — nie ma problemów, jeśli są, to się je zbywa cukierkową błagą „happy-endów” — bogactwo i uroda są szczytem dążeń, każdemu należy się niebo — zwłaszcza bogatym nicponiom, nawet jeśli mają wątpliwości co do tego jak Don Ameche w Lubitchowskim „Heaven can wait”. Poszedł do diabła po śmierci, czuł instynktownie że tam mu się miejsce należy. Żył po głupiemu, blichtrzem i tanim sentymentalizmem, nie miał w społeczeństwie miejsca tylko zawsze dość pieniędzy (zwykły los aniołów z Hollywoodskiego raj) — czuł jednak coś marnego w tym życiu — więc do Lucyfera po „accomodation”. Ale się zawiódł biedak, posłano go do nieba. W niebie tym — łatwo to sobie wyobrazić — są salony, jazz, suknie wieczorowe i bez przerwy wyświetlają filmy. Tak „Heaven can wait” — ten film i ten tytuł symbolizują cały prawie film współczesny. Niebo może poczekać — narazie będziemy tani, głupi i banalni. W tym świecie kinowym pełnym szpiegów, nicponiów, darmozjadów i — okazjnie w wojennych tematach — taniach bohaterów, tańczących lotników, śpiewających marynarzy i baletowych komandosów — rzeczywistość pojawia się o tyle tylko o ile się ją chce świadomie spacyfikować i przekształcić — jak to na przykład stało się z książką Hemingwaya — *For whom the bell tolls* — czy w filmie bezczelnie apoteozującym militarystykę typu skompromitowanego w wieku 19-tym już — „*The life and death of Colonel Blimp*”. Jak świetny karykaturzysta Low zgodził się aby wysmianą przez niego postać reprezentanta wymierającej kasty „apoteozować” — zrozumieć to trudno. Autorzy i producenci posuwają się tu nawet dalej — stara „rycerskość” pruskiego oficera staje tu w obronie ośmieszonoego Blimpa — symbolu kastowej niezaradności, niezyciowego i staroświeckiego bytowania wygodnych, krótkowzrocznych reakcyjnych oficerów, którzy wojny dzisiejszej nie rozumieją i sprawili, iż tyle w niej popełniono błędów i tyle zadano ludzkości krzywd. W innych filmach wojennych — które niektórzy uważają za propagandę dla krajów podbitych — apoteozuje się quislingów, zniekształca rzeczywistość europejską, w „*Casablance*” np. w atmosferze szpiegostwa, korupcji i rozpaczliwie idealizuje się sprzedajnego francuskiego oficera i robi się to wszystko po to, aby piękną piosenką, dobrym technicznie opracowaniem i świetną grą aktorów uzyskać sukces kasowy.

Gdzież kino zaszło? Od czasu gdy w tamtej wojnie Dawid W. Griffith zrealizował „*Intolerance*” — epopeę ludzkiego obłędu, od czasu gdy Chaplin w „*Brdącu*” pierwszy odważył się odtworzyć tragicomedieję nędzy społecznej, gdy w Rosji Eisenstein i Pudowkin stworzyli kinowy język, którym głosili wszystko to co

było piękne i wielkie w rosyjskiej rewolucji — cóż się stało? W ramach oficjalnego handlowego kina bardzo mało. Ideowo cofnęło się na wszystkich odcinkach. Po krótkiej świetności filmu francuskiego — po upadku René Claira — po zglajchsztaltowaniu filmu sowieckiego — Ameryka pozostała prawie bez konkurencji. Anglia stworzyła przemysł — lecz ileż słabszy.

Pamiętam spotkanie z René Clairem w Londynie w r. 1937. Było to po filmie „Ghost goes west” — w którym wielki satyryk i poeta, na próżno starał się przenieść swój paryski esprit na teren Londynu. Był smutny, zblazowany, pesymistyczny. Ach tak — „Le Million”, „A nous la liberté” — to były filmy. Teraz — ach to wszystko pieniądze, pieniądze — tak trudno jest robić filmy — powiedział. I rzeczywiście trudno. Dziś jest w Hollywood — przysłał nam stamtąd „The Flame of New Orleans” i „I married a Witch” — ale to już tylko echa wczesnej twórczości tego genialnego anarchisty.

Upadek kina nie jest jednak kompletny. W Ameryce John Ford zrealizował przed paru laty „Grapes of Wrath” i dał tym dowód, że sztuka i odwaga w tematyce mogą iść razem i że poza fikcyjnym hollywoodskim rajem jest świat prawdziwy — i wiele bardziej fotogeniczny. Orson Wells wprowadził nowe elementy formalne. W Anglii bracia Boulting zrealizowali „Thunder Rock” i wskazali drogę tym którzy w czasie tej wojny chcieliby zrobić niebanalny film o tej wojnie. A młodzi reżyserzy poszli na służbę wojenną — w Anglii grupa reżyserów z Crown Film Unit i z Ealing potrafiła stworzyć reportaż wojenny i społeczny o wartości nieprzemijającej. Niestety niektóre tylko te prace idą do kin. Resztę ogląda jedynie publiczność nieteatralna.

Cadykowie jednak nadal uważają, że „Niebo może zaczekać”. Niebo czeka cierpliwie, prują je zresztą samoloty niosące śmierć i fale radiowe niosące nienawiść, pogardę, i obelgi i wieść o śmierci i nędzy milionów. Tak więc w tej idącej rewolucji kino, radio, samolot są nadal na służbie ludzkiego samobójczego szaleństwa, które trwać będzie tak długo, jak długo na śmierci i nędzy ludzkiej i nienawiści robić będzie można forsę i karierę.

Pewnego jednak dnia ludzie rozsądni i uczciwi zechcą usunąć źródła zła, które nas nęka. Czy zrobią to po tej wojnie — czy po następnej — nie wiadomo — będą jednak musieli w planach swoich uwzględnić kino. Bo nic nie osiągną jeśli nie wychowają ludzi na nowo — w ideałach międzynarodowych. Glob jest jeden — samolot i radio otoczyły go nierozzerwalną obręczą, film połączył masy chińskie i hinduskie z brazylijskimi czy francuskimi. Dziś wszyscy szaleją za Ingrid Bergman — gdyby tak Ingrid Bergman powiedziała wszystkim coś rozsądnego i uczciwego — byłoby może łatwiej się dogadać. Cóż ci rozsądni i uczciwi ludzie przyszłości uczynią? Czy odbiorą kino cadykom i oddadzą je rządowi? Jeśli rządy będą uczciwe i mądre, zapewne będzie to dobrze? Ale czy rządy mogą być uczciwe i mądre? Czy artyści, uczeni, technicy — sami nie wiedzą lepiej czego trzeba kinu? Czy nie mogą się zrzeszyć, połączyć, pracować aby kino stało się pełniejsze jako sztuka i cenniejsze jako „pokarm duchowy”? Sądzę, iż jest forma w której kino prędzej czy później znajdzie w nowym świecie pełną szansę rozwoju. Jest nią spółdzielcza forma produkcji, eksploatacji i wyświetlania filmów. Bo przecież film jest twórczością zbiorową — i zamiast służyć producentowi — analfabecie czy ślepej biurokracji — w spółdzielczości mogłoby kino znaleźć formę wolnej i czystej ideowej pracy.

STULETNI RECTOR Z TORONTA

Jest starszy od Dominium Kanady, więcej lat sobie liczy niż zamek i Uniwersytet w Torontcie. Młodość jego przypadła na czasy Abrahama Lincolna, mógł flirtować ze Scarlet O'Hara, jeździć na pikniki do Tary, ruszać na wojnę z bliźniakami Tarleton. Churchill i Smuts to są dla niego szczęśliwi młodzi ludzie, co mogą jeszcze palić cygara i pić whisky bez ograniczeń — nic dziwnego on sam posłował do parlamentu w epoce Disraeliego i Gladstona. On pana Kinga — patriarchę premierów świata, gdyż od ćwierć wieku sprawującego funkcje premiera Kanady — w świat wprowadzał.

Czego ten człowiek w ciągu swych stu lat życia nie robił, czym się nie interesował? Syn doktora, traci w wieku lat kilkunastu ojca i musi pracą fizyczną na farmie pomagać matce. Zarabia nieco pieniędzy, to mu umożliwia wstąpienie na uniwersytet w Torontcie. Następne osiemdziesiąt lat życia dzieli między kanadyjską wieś, uniwersytet, sądownictwo i politykę.

Kanada to kraj gdzie na rolnictwie dorabiać się jeszcze można milionowych fortun. Szczęście posłużyło młodemu Williamowi Mulock. Pierwszy swój majątek ziemski pod Torontem kupił za 6 tysięcy dolarów. Miasto się rozbudowało, majątek sprzedał po latach za 100 tysięcy. Drugą swą posiadłość, bezleśną farmę kupił w r. 1882 za kilkadziesiąt dolarów. Lubił drzewa, sadił orzechy. Dziś rośnie ich coś około 30.000 a cena jednego drzewa wynosi sto dolarów.

Miasto Toronto, o ilości mieszkańców dorównujące Warszawie a wiekiem młodsze znacznie od Trembowli czy Środy ma dwie chluby. Jedną jest Royal York Hotel, drapacz, którego by się Nowy York nie powstydzil, hotel o kilkudziesięciu piętrach i tysiącach pokoi, przez którego lobby,

salony, restauracje, bary, kawiarnie, mezzaniny, przewala się dziennie tysięczny tłum zaafetowanych cywili, beztroskich wojskowych, smukłych jak sosny Kanadyjek — największy hotel na terenie Brytyjskiego Imperium. Drugą chlubą Toronta jest Uniwersytet. Otóż głównym twórcą toronckiego uniwersytetu jest William Mulock. Gdy w r. 1859 zapisywał się na wydział sztuki, był to pierwszy rok istnienia Uniwersytetu, na który składał się wówczas: jeden budynek, stu studentów i siedmiu profesorów. William Mulock od owego 1859 roku bez przerwy pozostawał w związku ze swą alma matris: jako student, jako absolwent, sator, wicekanclerz, wreszcie kanclerz, którą to funkcję pełni w chwili gdy piszę te słowa. Poszczególne college i fakultety były wówczas niezależnymi instytucjami. Sir Williama wiekopomną dla Uniwersytetu Toronckiego jest zasługą, że on to głównie się przyczynił do połączenia tych odrębnych fakultetów w jeden uniwersytet. Nie było to zadanie łatwe. Trzeba było przewyciężyć nieufności wzajemne protestanckich i katolickich college'ów, interesiki materialne lepiej wyposażonych wydziałów, ambicyjki rektorów. Dziś Uniwersytet Toroncki jest największą wyższą uczelnią Imperium Brytyjskiego i jedną z najważniejszych instytucji naukowych świata. Tu dokonano swego czasu odkrycia insuliny a w ciągu ostatniego roku wynaleziono pigułkę usuwającą radykalnie chorobę morską. Za to ostatnie odkrycie osobiście bardzo Uniwersytet ten sobie cenię.

Anglosaska Ameryka jest to kraj, gdzie rządzi nie siła, nie wojsko, ale prawo, sędziowie. Historia Johna Browna jest pod tym względem wiele mówiąca. John Brown był obywatelem Stanów w okresie niewolnictwa, był bardzo szlachet-

nym, odważnym, zdecydowanym na wszystko człowiekiem. Niewolnictwo Murzynów uważał za hańbę i postanowił przeciw niej zaprotestować, choćby w sposób niezgodny z prawem: w nocy z 16 października 1859 r. na czele 18 ludzi napadł na miasteczko Harpers Ferry, w którym znajdował się arsenał, zatrzymał pociągi, opanował telegraf, sprawował rządy w miasteczku przez 24 godziny. Potem przemaszerował oddział pułkownika Lee, dziesięciu podwładnych Johna Browna poległo, on sam stanął przed sądem. John Brown zachowywał się w czasie procesu wspaniale: wierzył że sprawa o którą walczył, słuszną była, ale gotów był ponieść konsekwencje przekroczenia prawa. Swą szlachetnością zyskał szacunek swych przeciwników, całej opinii amerykańskiej. Niemniej sąd go skazał i John Brown już drugiego grudnia zawisł na szubienicy. I dzięki między innymi temu wyrokowi anglosaska Ameryka nie wie co to są zamachy stanu i rządy wojskowe od których cierpi od stulecia Ameryka łacińska.

Toteż kariera wojskowa Sir Williama była krótka i spokojna — w czasie incydentu ze statkiem Trent w r. 1861 był inicjatorem utworzenia na Uniwersytecie akademickiej kompanii strzelców (Rifle Company obecnie kompania „K” w pułku Queen’s Own Rifles) a w czasie rajdu Feniana w 1866 zaciągnął się do niej. Natomiast kariera sędziowska Sir Williama była długa, trwała lat sześćdziesiąt. Dopiero w dziewięćdziesiątym drugim roku życia zrezygnował ze stanowiska Chief Justiceship swej prowincji Ontario.

Sir William wreszcie był namiętym politykiem. Przez dwadzieścia parę lat posłował do parlamentu z ramienia partii liberalnej, która do dziś dnia rządzi Kanadą. Był ministrem poczt. Z jego urzędowaniem wiąże się urentownienie kanadyjskiej poczty przy pomocy radykalnej obniżki taryfy. Za jego rządów poczta kanadyjska przodo-

wała zagranicą, pierwsza wprowadzała wynalazki Marconiego. Dzięki temu ministerstwo poczt w Kanadzie stało się tradycyjną własnością rodu Mulockow — przypominając pod tym względem niektóre katedry Uniwersytetu Jagiellońskiego. Obecnie ministrem poczt w gabinecie Kinga jest Honorable William Pate Mullock, wnuk Sir Williama.

Sir William ma białą długą brodę i w głębi swego fotelu wygląda tak wspaniale jak Pan Bóg na obrazie w prowincjonalnym kościele. W swym wyglądzie zewnętrznym nie ma nic z roztargnionego profesora o zwichrzonej czuprynie i ubraniu w nieładzie. Przeciwnie — ubiera się wyszukanie, przywiązuje wagę do najmniejszych szczegółów garderoby, ma starannie wymanicurowane ręce, na przyjęciach i obiadach występuje w znakomicie skrojonym fraku. Fizycznie trzyma się dziarsko. Rok temu na doroczną radę Senatu uniwersyteckiego zajął samochodem wyładowanym rybami — właśnie wracał ze wsi gdzie oddawał się rybołówstwu. Po czym wygłosił przed Senatem cztery długie przemówienia, pełne treści i dowcipu.

W Toronto Sir William jest najpopularniejszą postacią miasta. Gdy kierowcy taksówki podają numer 518 Jarvis Street, wie do kogo mnie wiezie i pyta zaraz o zdrowie Sir Williama. Obywatele Ontario cieszą się z długowieczności tego człowieka — uważają ją za wymowny dowód przedłużania się życia ludzkiego wskutek postępów medycyny, higieny, dobrobytu. I mnie ucieszyła rozmowa z Sir Williamem — nim go poznałem uważałem się za starca, po niej doszedłem do wniosku, że mam jeszcze w życiu nieco czasu przed sobą. Długowieczność Sir Williama winna również uradować mych rodaków, bohaterów spod Łowczówka i Krzywopłotów, którzy od lat dwudziestu kierują losami narodu polskiego z tak znakomitymi rezultatami: mają szanse uszczęśliwiania nas swymi rządami jeszcze przez pół wieku!

Dla kanadyjskiego farmera życie Sir Williama jest miłym dowodem że praca i zasługa w panującym demokratycznym ustroju otrzyma nagrodę w postaci szczęścia osobistego, dobrobytu, licznego potomstwa, zaszczytów doczesnych.

Wraz z mym towarzyszem wycieczek po Libii i Kanadzie, Adamem Lipińskim siedzimy w głębi wygodnych foteli na piętrze starej willi, w gabinecie Sir Williama. Za oknami wiatr jesienny zrzuca z drzew ostatnie pożółkłe liście. Setna jesień życia Sir Williama. Na kominku wesoło pali się ogień, rozchodzi się miłe ciepło. Burza szalejąca w Europie, Azji, Australii nie dochodzi do tego zacisznego gabinetu.

Sir William częstuje nas cygarami, o wstydzie, żaden z nas nie pali. Gospodarz sam zaciąga się tylko. Rozmowa toczy się na tematy Kanady, Polski, świata.

— Może wyjaśni nam pan, Sir Williamie, kto właściwie rządzi Kanadą — pytam, pamiętając co mi onegdaj mówiono o roli wielkich przedsiębiorstw z Canadian Pacific Railway na czele, w tym kraju. — Business, intelektualiści, farmerzy?

— Naród, rządzi tym krajem, lud cały. Rząd jest odpowiedzialny przed parlamentem, a parlament zależny jest od ludu, farmerów, robotników, sklepikarzy. Rząd realizuje tylko wolę obywateli. Tak powinno być na świecie.

Tak, ale jakieś ugrupowania ludzi przeprowadzające w społeczeństwie swe ideały, postulaty, istnieją chyba i w Kanadzie. Przychodzi mi na myśl niedawna wizyta w toronckiej loży. I napis pod portretem wielkiego obywatela Ameryki: „Brother George Washington, initiated in Frederickburg Lodge November 4th 1752, passed March 3rd 1753, raised August 4th 1753, W. M. Alexandria Lodge, Virginia, April 28th 1788. Died December 14th 1799”.

Gdy zagadnąłem o masonów, Sir William uniósł się w fotelu. Błysk

przeszedł po jego jasnych oczach. I rzekł:

— Sam jestem masonem, I pochytuję to sobie za wielki zaszczyt. Masoni wiele zrobili dla szczęścia tego kontynentu.

Rozmowa przechodzi na tajne organizacje, sekty i walki tychże w ciągu ostatniego wieku historii Kanady. Sir William wydaje się być tak dobrze poinformowany o historii Kanady jak profesor Kot o historii Polski.

— Jak wytłumaczy sobie fakt — pyta Lipiński — że p. King utrzymuje się na stanowisku premiera już ćwierć wieku? Czy jest to wynikiem jego genialności czy też braku pasji politycznych mieszkańców Kanady?

— Mój przyjaciel p. Mackenzie King jest niewątpliwie wybitnie zdolnym — pada odpowiedź. Po czym dowiadujemy się, że ideałem systemu politycznego Sir Williama są dwie partie polityczne, na zmianę sprawujące rządy i na zmianę znajdujące się w opozycji, co zapewnia najlepszą kontrolę nad rządzącymi i gwarantuje możliwie najuczciwsze na długą falę rządy. Tylko ci co sami rządzili, i co sami będą rządzić, mogą być rzeczową, konstruktywną, a nie tylko demagogiczną opozycją. Kanadzie, zdaniem naszego rozmówcy, brak jest dwu wielkich partii. Premierowi Kingowi brak jest właśnie silnej opozycyjnej partii. Wzrostu ilości głosów oddawanych na socjalistów przy ostatnich wyborach nie obawia się Sir William. „Te rzeczy przychodzą i odchodzą; na długą falę nie utrzyma się w naszym kraju po'liyka, kóra by nie była opar a na zdrowym rozsądku”.

Przechodzimy do zagadnień przyszłego pokoju. Pytam Sir Williama, czy uważa, że kolaboracja anglosasko-rosyjska będzie w stanie zapewnić niepodległość państwową mniejszym narodom.

— Tak, niewątpliwie tak — pada odpowiedź. Rosja w czasie tej wojny ewoluowała w dobrym kierunku. W ciężkich chwilach przekonała się, o potrzebie kolaboracji z Imperium Brytyjskim i Stanami Zjed-

noczonymi. Wierzę też, że po tej wojnie Rosja nie będzie przeszkadzała polskiemu narodowi w jego niezależnym bycie państwowym. You Poles are a most gallant people. W czasie tej wojny zyskaliście sobie szacunek wszystkich kulturalnych narodów świata.

Rozmowa przechodzi na wojnę i armię. Wnukowie Sir Williama poszli na wojnę w r. 1914. Teraz kolej na prawnuków. Kłopot jest tylko ze spamiętaniem stanu liczbowego tych prawnuków, stan ten tak się waha... Sir William nie bardzo wie czy ma ich trzynaścioro czy czternaścioro. Życie publiczne widocznie bardziej go pasjonuje aniżeli te szczegóły życia prywatnego. Usłużna sekretarka ustala stan prawnuków na 14.

Nasze mundury lotników wzbudzają w nim pewne zainteresowanie. Polska emigracyjna armia, stworzona przez Sikorskiego, tak wie, słyszał, czytał. Bronili Londynu, a jakże, tak jak kanadyjscy chłopcy. Panowie byli w Egipcie, Libii? A teraz trenujecie w Ontario? Bawią go nasze podróże poprzez Francję, Norwegię, kraje wschodu, Amerykę. Ciekawia go nasi koledzy, którzy dojechali do Kanady. Pada pytanie:

— Czy jest w wojsku panów wielu gentlemanów?

Niewierzę w waszym uszom. Gentlemanów?... W tym ultranowoczesnym mieście amerykańskim, u stóp modernistycznego drapacza Royal York Hotelu — takie pytanie. Byłem tak zabawiony nim, że uśmiechnąłem się i przez chwilę nie dawałem odpowiedzi. Wynik był ten, że do rozmowy wtrąciła się sekretarka — przypuszczając że nie zrozumiałem pytania, usiłowała mi je wyjaśnić:

— Sir Williamowi idzie o ludzi wykształconych, o ludzi z warstwy inteligencji.

Sir William machnął nieco zniecierpliwiony ręką i powiedział:

— Wcale nie. Mnie idzie o gentlemanów. To znaczy bynajmniej nie o ludzi tylko wykształconych. Ale rozumie pan: o ludzi

wychowanych w pewien sposób, umiejących się odpowiednio zachować, pochodzących z pewnej sfery. Wykształcenie samo nie wystarczy by być gentlemanem. Niewątpliwie w Polsce też musieliście mieć klasę gentlemanów? Czy wielu ich jest w wojsku waszym?

Odpowiedziałem, że gentlemeni mając ułatwione podróże zagraniczne z natury rzeczy w większym procencie opuścili Polskę by dołączyć do armii emigracyjnej. Toteż na najniższych szczeblach naszej armii, wśród szeregowców i podoficerów jest wyższy nawet aniżeli w innych, armiach odsetek gentlemanów.

Na dworze się ściemnia, wiatr jesienny coraz głośniejszy szumi. Przy ogniu kominka, w głębokim fotelu czuję się miło i wygodnie. Nie tylko fizycznie. Ten milioner kanadyjski, kanclerz największego w Imperium Brytyjskim Uniwersytetu, był członkiem rządu Dominium, z którym mnie właściwie wszystko dzieli: i Atlantyk i religia, i 70 lat życia i miliony dolarów — wydaje mi się jednak dziwnie bliski. Te jasne, pełne przyjaźni i dobroci oczy, ta wielka, biała broda, nawet to dopalające się powoli cygaro, ta pedanteria w szczegółach, to pouczanie młodszych — dziwnie mi się kojarzy z dalekim Wołyniem sprzed ćwierć wieku, z postaciami mych dawno już nieżyjących stryjów. I oni też wydawali mi się wtedy, dziecku, strasznie starzy. Kiedyś przed stu laty, dzieje ziemian prowincji Ontario i Wołynia układały się podobnie. I tu i tam szumiały wielkie bory, nikła garstka ich mieszkańców czerpała w wojazach do zachodnich krajów, nowe, lepsze ideały. I na Wołyniu mieszkał pradziad Erazm, kawaler maltański a jednocześnie brat wolncmularaz z epoki postanisławowskiej. Łącząc na krzemienieckie Liceum. Ci ziemianie ze Starokorstantynowskiego czy Owruckiego powiatu, ci wszyscy Ilińscy, Chamcowie, Chojeccy, Iżyccy, Żukowscy, też byli na najlepszej drodze do rektoratów w Kijowie, prezesury apelacji w Żytomierzu, rady mi-

nistrów w Warszawie, łoży w Edynburgu czy w Londynie. Tylko że po 1831 r. wschodnia ręka caratu zniszczyła szkoły w Wilnie i Krzemieńcu, zamknęła wielkie szlaki prowadzące z Wołynia na Zachód. Zamiast nich otworzyła wąskie, małe ścieżki wiodące do Petersburga, do gwardyjskich pułków, wróciło nimi na Wołyń bałagulstwo, wkraczała powoli ciemnota. Rosyjskie czarnoseciństwo, bar-

barzyństwo nie mogło pozostać bez wpływu. Ontario wznosiło się na wielkich szlakach ludzkosci, Wołyń się cofała. Wreszcie przyszła burza jedna i druga i zmiotła na Wołyniu zachodni dorobek wieków. Z semerynieckich dębów już nie pozostało śladu. Zaś orzechy w Ontario sadzone trzy ćwierci wieku temu ręką młodego Williama Mulocka rozrastają się coraz bujniej.

Z PRACOWNI MALARSKIEJ ALEKSANDRA ZYWA



SPIS RZECZY

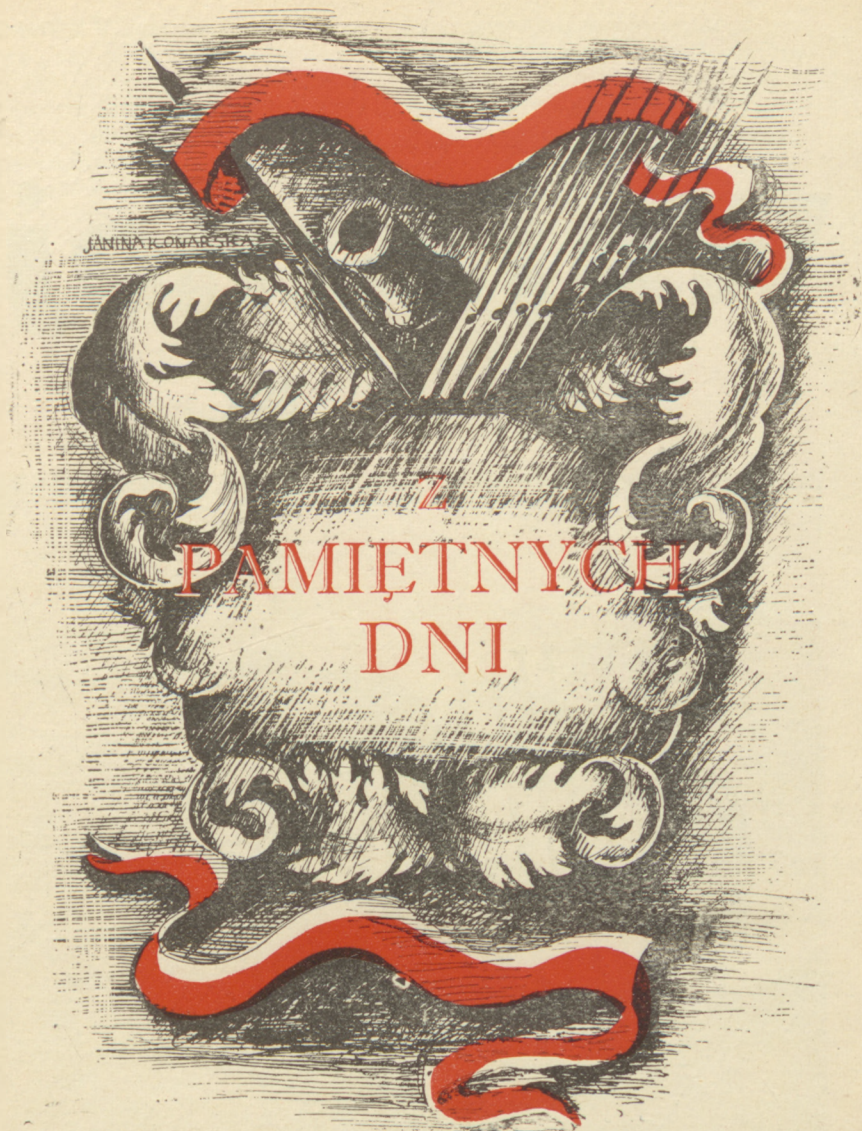
	Str.
JÓZEF WITTLIN — <i>Tadeusz Kościuszko</i>	161—175
MARIA PAWLIKOWSKA — <i>Rozmowa z sercem</i>	175—176
MARIAN CZUCHNOWSKI — <i>Wiersze</i>	176—181
KSAWERY PRUSZYŃSKI — <i>Margrabia Wielopolski</i>	181—192
KAROL ESTREICHER — <i>Zyczenie</i>	192—202
TEODOR PARNICKI — <i>Spowiedź Ottona Trzeciego (fragment powieści „Srebrne Orły)</i>	202—212
BOGUMIŁ ANDRZEJEWSKI — <i>Wiersze</i>	212—213
DOROTA FALSKA — <i>Wallenrod czy Quisling?</i>	214—218
ZYGMUNT HAUPT — <i>Entropia wzrasta do zera</i>	218—225
FLORIAN SOKOŁÓW — <i>Obiter dicta</i>	225—230
EUGENIUSZ CĘKAŁSKI — <i>Opium w cel ludzkie</i>	231—233
MIECZYŚLAW PRUSZYŃSKI — <i>Stuletni Rektor z Toronta</i>	234—238

J. KONARSKA

Z **Poezji**
Wojennej



CZECHO-
SŁOWACJI



Mieczysław Lisiewicz

LEON VERDIER

4 Greek Street, London, W. 1.

Telephone: GERard 7301

Podarunki, kartki z życzeniami,
Książki dla dzieci, Artystyczne
malowidła i rzeźby na drzewie.

Zapraszamy odwiedzić nasz skład.

JUŻ UKAZAŁ SIĘ
TOM WIERSZY

**ANTONIEGO
SŁONIMSKIEGO**

p. t.

„WYBÓR
POEZJI“

Cena 12/6

TOWARZYSTWO

UBEZPIECZEN



ALLIANCE ASSURANCE COMPANY LTD.

of BARTHOLOMEW LANE, LONDON, E.C. 2.

oddział którego znajdował się w Polsce w Warszawie przy ulicy Wiśniowej 44 zasyła pozdrowienia swoim polskim przyjaciołom i żywi nadzieję, iż będzie miało możność utrzymywania z nimi nadal stosunków po wojnie.

SMACZNE
DANIA POLSKIE

U

DUDZICA

11-13 Parkway
London, N.W. 1



Dojazd: Podziemną do
Camden Town

ROCZNIKI OPRAWNE ,NOWEJ POLSKI

za 1943 Rok

Cena z przesyłką
i oprawą £1.15.0

KALENDARZYKI „44“
NA
1944 r.

POSIADAJA

Kalendarz z wykazem imion świętych według wydania z Kraju, a ponad to zawierają około 100 stron na notatki osobiste, wszelkie aktualne adresy i telefony urzędów, instytucji i klubów polskich, wreszcie dojazdy komunikacyjne w Londynie do każdego z Ministerstw. Nie przeładowane w treści i ograniczone w kształtach, są niezbędnym przewodnikiem informacyjnym w codziennym życiu każdego Polaka.

Cena 3/- Cena 3/-
SKŁAD GŁÓWNY
W LONDYNIE
91, Great Titchfield Str., W. 1.
Tel. MUSEum 1409

ESPLANADE HOTEL RESTAURACJA

2, WARRINGTON CRESCENT, LONDON, W.9. Tel. CUN 1052

W pokojach ciepła i zimna woda oraz telefon. Centralne ogrzewanie. Doskonała kuchnia polsko-rosyjska
MOWI SIĘ PO POLSKU

Dojazd: Stacja kolei podziemnej Warwick Ave. na brązowej linii.

.... A TYMCZASEM
ZABAWIAJCIE SIĘ W DOMU
PRZY DŹWIĘKACH PŁYT **DECCA**

COSMO RESTAURANT 5-6, North Ways Parade, London, N.W.3

niedaleko Swiss Cottage (stacji kolei podziemnej)

tel. PRImrose 2627

Pierwszorzędna kuchnia domowa

Potrawy angielskie, polskie i wiedeńskie

Ciastka domowe

Menu od 1/6 wzwyż

Miła atmosfera

Otwarta od godz. 9 rano Ciepłe potrawy do godz. 11 wieczorem

POD NOWYM ZARZĄDEM!

**RESTAURACJA
FRANCUSKA**

LACOQUILLE

**79, ST. MARTINS LANE.
LONDON W. C.**

TEL.: TEMple 8768

W niedziele zamknięta

L'ESCARGOT

BIENVENU RESTAURANT
maison française

Partners:

GEO GAUDIN ALEX GAUDIN
(French)

**48, Greek Street, Shaftesbury Av.
London, W 1**

Tel.: GERrard 4460

POLONIA RESTAURACJA

**29, Grosvenor Gardens,
London, S.W.1.**

Wyborna kuchnia polska pod
kierownictwem pań
M. Harris i A. Polakowej

Polonia londyńska i zamiejscowa mile
widziana.

3

popularne restauracje z prawem wyszynku

BERTORELLI

19, Charlotte Street, London W.1
tel. MUSEum 4174

70-72, Queensway, London, W.2
tel. BAYswater 3160

**23, Shepherds Bush Garden,
London, W.12**
tel. SHEpherds Bush 2802

RESTAURACJA

CHEZ AUGUSTE

Kuchnia francuska

Kierownictwo francuskie

38, Old Compton Street, W.1,
tel. GER. 2655

otwarta w niedziele

Wyłączne przedstawicielstwo ogłoszeń, Ad-
vertising Offices, The Carlton Berry Co.,
Grand Buildings, Trafalgar Square, London;
W. C. 2. Tel.: ABBey 5108.

3/-

Published by „Nowa Polska“ 91 Great Titchfield Street London W 1 and Printed by
JOHN BALE & STAPLES LIMITED (A STAPLES PRESS COMPANY)
83-91 Great Titchfield Street London W 1

3/-

30302

II

NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM III

NEW POLAND MONTHLY

ZESZYT 5

D. W. BROGAN

STANISŁAW BALIŃSKI

MARIA PAWLIKOWSKA

ANTONI SŁONIMSKI

KSAWERY PRUSZYŃSKI

STEFAN THEMERSON

TEODOR PARNICKI

JERZY KUNCEWICZ

CZESŁAW POZNAŃSKI

H. S. DOMINIK

MARIA KUNCEWICZOWA

TADEUSZ RÓŻYC

TADEUSZ POTWOROWSKI

Wyczerano z Archiwum
Bibl. PAN
w Krakowie

LONDYN

M A J

1944



★
**BILLIONS OF BRISTLES
 MASTERED EACH MORNING**

by the **SOFTENING, SMOOTHING, SOOTHING**
 lather of Palmolive Shaving Cream

1/6 & 2/6
 Including Tax

★ **WORLD'S
 LARGEST SALE**



Wilerbys

Kawiarnia — Restauracja

Obiady — Podwieczorki taneczne

Kolacje z tańcami

Kuchnia i ciastka domowe

Orkiestra kontynentalna

Melodie polskie

6, Hanover Str., London, W. 1

Tel. MAYfair 0826

VANĚK'a

krawiectwo i futra na zamówienie cieszą się uznaniem międzynarodowym ze względu na doskonale materiały i znakomity krój. Jego wyjątkowe doświadczenie, zdobyte w Londynie i na kontynencie, daje mu możliwość wykonywania pierwszorzędných kreacji. Przerabia, farbuję i przechowuje futra.

4, WILLIAM STREET,
 KNIGHTSBRIDGE, S.W. 1

a także w Bournemouth

!!
**JEZYK
 ANGIELSKI**

Kursy korepondencyjne. Doświadczona nauczycielka udziela specjalnych lekcji angielskiego drogą korespondencji — również kursy dla zaawansowanych. Powodzenie zapewnione. Proszę napisać: „Tutor“
 64, Finchley Court,
 London, N. 3

FUTRA

czyści, odnawia i przerabia według najnowszych modeli po cenach przystępnych

**CHARLES
 TANUR**

48-50 Mortimer Street
 London W. 1.

Tel: MUSEum 2789

Dom zastawny
 i jubiler

**B. BOSHER
 & SONS**

464, Edgware Road,
 London, W. 2
 tel. PADdington 1482

Pożyczki na futra i biżuterie
 Kupno i sprzedaż używanych futer
 Przechowywanie i konserwacja futer